Walczyłem w powstaniu '44
Sensacyjny wywiad z bohaterem Armii Krajowej

Wojna szyfrów
Jak Polacy złamali tajne sowieckie kody

Zabójcy U-Bootów
Klęska podwodnej floty Adolfa Hitlera

NR 8(90)/2020 SIERPIEŃ 2020

CENA 8,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

DO RZECZY
MIESIĘCZNIK LISICKIEGO

ISSN 2299-9155
DO RZECZY HISTORIA
Nr indeksu 296 031

100-lecie Bitwy Warszawskiej

BOLSZEWIKA BIJ!

FILMOWA PODRÓŻ W GŁĄB HISTORII

OGLĄDAJ FILMY ONLINE ZA DARMO!

TYLKO NA KANALE YOUTUBE MUZEUM HISTORII POLSKI:

YouTube MUZHPTV

PORTAL DZIEJE.PL JEST DOFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

DZIEJE.PL PORTAL HISTORYCZNY

MUZEUM HISTORII POLSKI

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
PROWADZĄCY: PIOTR WŁOCZYK

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy: **Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**

Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska**
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**, **Sandra Skibniewska**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express")

WYDAWCA:
Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA: **Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska**
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów.
Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, 15 listopada 1920 r.

Józef Piłsudski na pl. Zamkowym po wręczeniu mu buławy marszałkowskiej

FOT. NAC

Od redaktora

Piotr Zychowicz

Obrońcy Europy

Część polskich historyków bardzo sceptycznie podchodzi do uprawiania historii alternatywnej. Czyli próby odpowiedzi na pytanie: „Co by było, gdyby?". To niepoważne i niepotrzebne! – przekonują owi badacze. Nic bardziej mylnego! Historia alternatywna to znakomite i bardzo pożyteczne narzędzie.

Tylko poprzez rozważenie innego potencjalnego biegu wydarzeń możemy ocenić, czy dana decyzja polityczna lub militarna była słuszna. Tylko w ten sposób możemy również ocenić wagę wydarzenia historycznego. Doskonałym tego przykładem jest Bitwa Warszawska, której stulecie właśnie obchodzimy.

Co by było, gdyby wojska dowodzone przez Józefa Piłsudskiego nie zatrzymały bolszewików? Co by było, gdyby Polacy przegrali wojnę i Tuchaczewski zajął Warszawę oraz całą Polskę? Odpowiedź na to pytanie jest niewesoła. Oznaczałoby to bowiem wielką katastrofę dla Rzeczypospolitej i całej Europy.

Wielu Polaków ma tendencje do megalomanii narodowej, przeceniania roli Polski. W tym przypadku była ona jednak kolosalna. Gdyby Wojsko Polskie w 1920 r. przegrało z Armią Czerwoną, hordy bolszewickie zalałyby Niemcy. Niemcy – dodajmy – w których raz po raz wybuchały lokalne rewolucje komunistyczne. Niemcy złamane niedawną klęską w wielkiej wojnie.

Zgodnie z zamysłami Lenina i Trockiego „ogień rewolucji" – po trupie Polski – miał zostać również przeniesiony na Węgry i dalej, na Bałkany, w stronę Morza Śródziemnego. W najlepszym więc razie w 1920 lub 1921 r. powtórzyłaby się sytuacja z roku 1945. Pół Europy znalazłoby się pod czerwonym butem.

Czy w takiej sytuacji sowieckiemu naporowi długo oparłaby się Francja, w której komuniści i inni radykałowie byli zawsze bardzo silni. Czy oparłaby się Hiszpania? Jedno jest pewne – Europa znalazłaby się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Oddając hołd żołnierzom wojny 1920 r., oddajemy więc hołd nie tylko polskim bohaterom. Także obrońcom Europy. ©℗

eprasa.pl 91c3417b27

II. SZWADRON
MIERCI

/ TEMAT NUMERU

.6 TOMASZ STAŃCZYK
Wojna cywilizacji

.10 MICHAŁ MACKIEWICZ
Arsenał Armii Czerwonej

.12 MAREK GAŁĘZOWSKI
Bohaterowie 1920 r.

.16 MACIEJ ROSALAK
Radiowywiad: triumf w eterze

.20 MIROSŁAW SZUMIŁO
Zapomniany sojusznik Polski

/ CZASY I LUDZIE

.24 JAKUB NOWAKOWSKI
Na ratunek Starówce

.28 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Tajemnica Vichy

.32 JAKUB OSTROMĘCKI
Rzeź białych w USA

.36 SŁAWOMIR KOPER
Obsesje Wyspiańskiego

.39 PIOTR SEMKA
Sprawiedliwy z miasta Breslau

.42 PIOTR ZYCHOWICZ
Masakra w Kondomari

.46 MACIEJ ROSALAK
Zagłada imperium Inków

.50 IAIN BALLENTYNE
Zabójcy U-Bootów

.54 MIKOŁAJ IWANOW
Polska Republika Sowiecka?

.58 MARIAN ZACHARSKI
Wrzesień '39 oczami Szwajcara

.62 PIOTR KOSMALA
Pamiętając o Cecorze

.80 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Paszport

/ CO CZYTAĆ

.66 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Pierwsza partia Warszawy

/ FELIETONY

.74 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Trafić w czas

.75 PIOTR SEMKA
Brzemię Białych Lilii

.83 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
Oskar Lange – ich patron!

/ KRESY

.76 TOMASZ STAŃCZYK
Krew na lwowskim bruku

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Hollywoodzka ucieczka z obozu

eprasa.pl 91c3417b27

#LatoZKsiążkąIPN

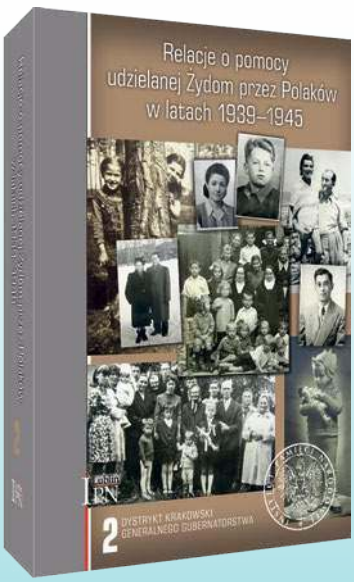

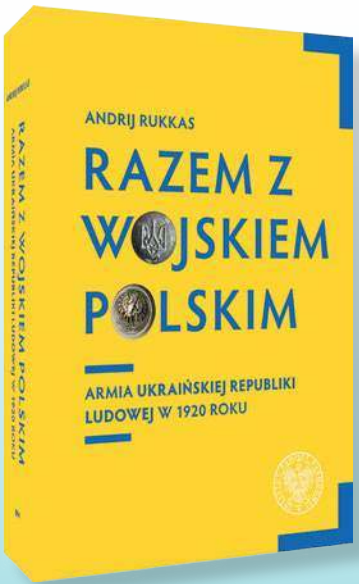

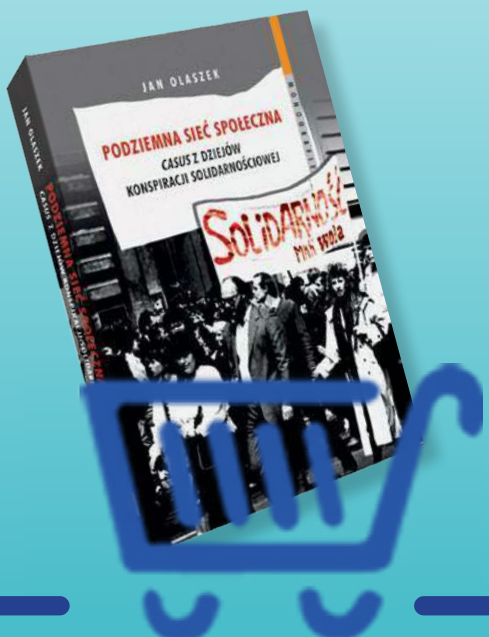

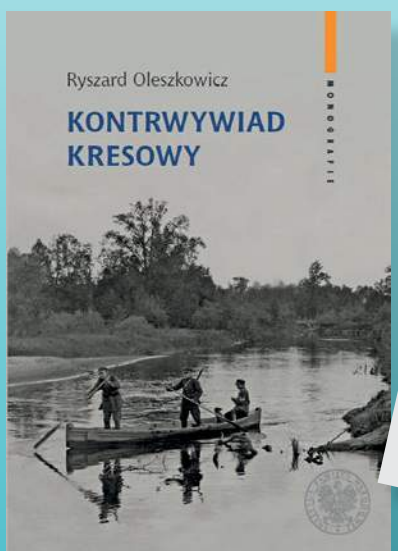

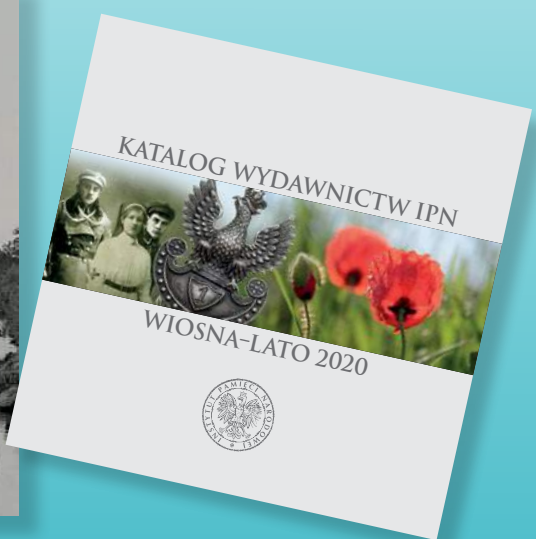

Szukaj w księgarniach IPN i punktach sprzedaży w całej Polsce!
#ZostańWDomu kup na ipn.poczytaj.pl

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

eprasa.pl 91c3417b27

Tomasz Stańczyk

Wojna 1920 r.

Zwycięstwo Polski ocaliło Europę przed bolszewickim najazdem. To była jedna z kluczowych bitew w dziejach

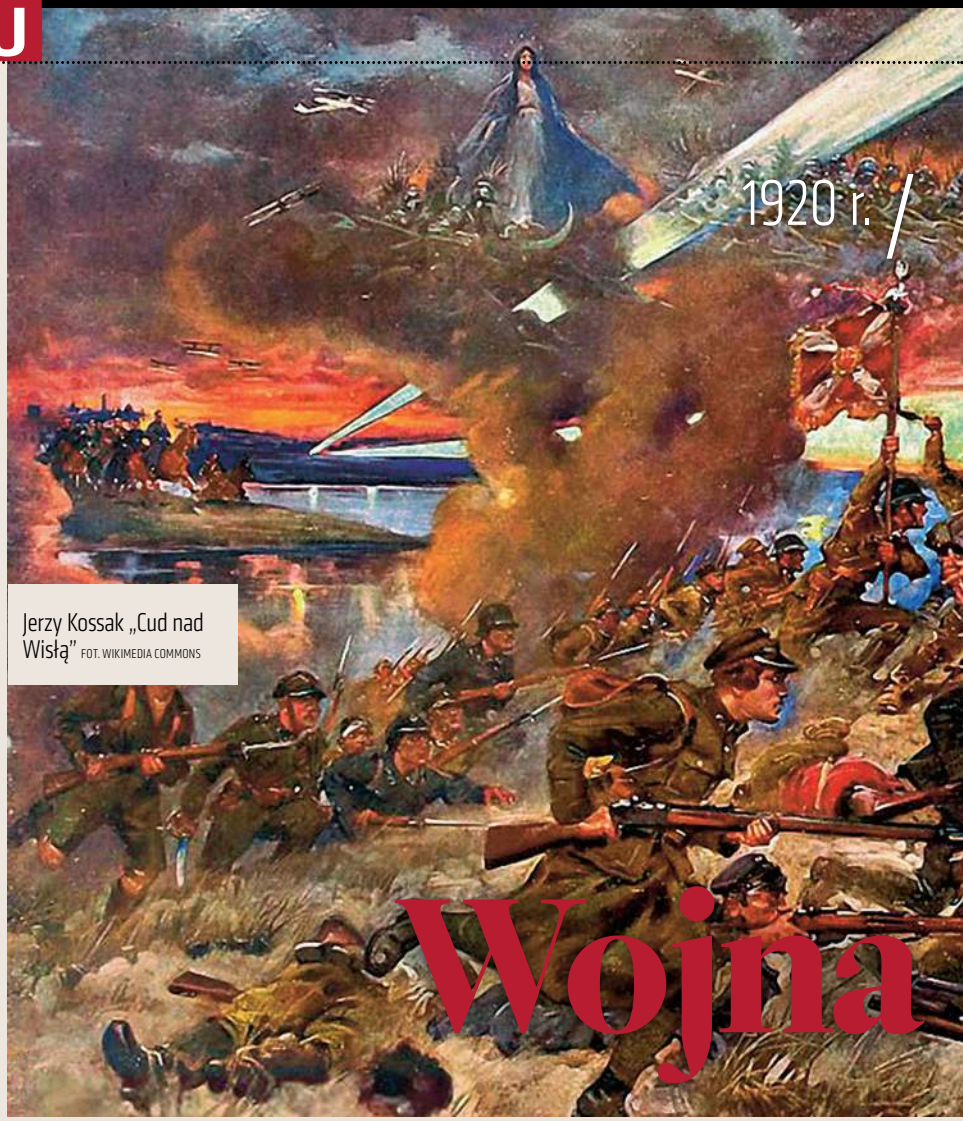

Jerzy Kossak „Cud nad Wisłą" FOT. WIKIMEDIA COMMONS

To nie my doszliśmy do wniosku, że najprawdopodobniej uratowaliśmy w 1920 r. Europę, a w każdym razie jej część, przed komunizmem. Zrobił to niemal na gorąco lord Edgar Vincent d'Abernon, członek alianckiej misji sojuszniczej w Polsce, świadek wydarzeń, nazywając nasze zwycięstwo 18. decydującą bitwą w dziejach świata.

Gdyby w sierpniu 1920 r. Armia Czerwona weszła do Warszawy po trupach polskich żołnierzy spod Radzymina, Ossowa, Leśniakowizny, to kto wie, gdzie by się ostatecznie zatrzymała.

D'Abernon uważał, że „bolszewizm ogarnąłby Europę Środkową, a być może przeniknąłby i cały kontynent". Anglik przypuszczał, że zwycięstwo Józefa Piłsudskiego w Bitwie Warszawskiej było nawet ważniejsze niż zwycięstwo Karola Młota pod Poitiers (Tours) nad Arabami w 732 r. Gdyby bowiem „Karol Młot nie zahamował podbojów saraceńskich w bitwie pod Tours, to niewątpliwie wykładano by dziś Koran w uczelniach Oxfordu [...]. Bitwa natomiast pod Warszawą, rzec można śmiało, wybawiła [...] Europę od jeszcze bardziej wywrotowego niebezpieczeństwa, to jest od fanatycznej tyranji Sowietów". Innymi słowy, gdyby przegrał Piłsudski, zapewne wykładałoby się dziś wyłącznie marksizm na Sorbonie. Oczywiście, jako jedyny obowiązujący światopogląd.

W 1920 r. nad Dnieprem, Wisłą i Niemnem toczyły się znacznie ważniejsze niż pierwsza wojna światowa zmagania. Była to „wojna światów", czyli – jak stwierdzał d'Abernon – dwóch cywilizacji. O ile można nazwać komunizm cywilizacją. Polska reprezentowała w tej wojnie cywilizację europejską i wówczas jeszcze chrześcijańską. Bolszewicka Rosja chciała tę cywilizację zniszczyć.

Nie możemy wiedzieć, jak potoczyłaby się historia Europy, gdyby nad Wisłą zatriumfowali żołnierze z czerwonymi gwiazdami na czapkach. Wiemy natomiast, że uratowaliśmy siebie, a także istnienie niepodległej Litwy, choć wbiła nam wówczas bagnet, a raczej niewielki scyzoryk w plecy. Gdyby bowiem czerwony sztandar załopotał nad Warszawą, pojawiłby się i na Górze Zamkowej w Wilnie.

Europa wobec nas

Na wieść o polskim zwycięstwie korki od szampana nie strzelały w Londynie. Premiera Lloyda George'a nie obchodziło, co Rosjanie (bolszewicy) zrobią własnemu narodowi, i tak samo nie obchodziło go, co zrobią Polakom, których spisał na straty. Stwierdził, że tym, co go najbardziej interesuje, jest przywrócenie stosunków handlowych z czerwoną Rosją a resztą Europy, do której nie zaliczał naszego kraju. Brytyjskiemu premierowi marzył się – jak pisał prof. Andrzej Nowak w „Pierwszej zdradzie Zachodu" – Wersal bis, z udziałem bolszewickiej Rosji.

Gdybyśmy ponieśli klęskę, mógłby założyć koszulkę z napisem: „Nie płakałem po Polsce". Takie same koszulki mogliby nosić politycy czescy, niemieccy i litewscy.

W Berlinie, Pradze i Kownie szampana chowano na inną okazję – klęskę Polski, której sobie życzono. Politycy litewscy już się dogadali z czerwonymi władcami Rosji, zawarli z nimi traktat, dostali w prezencie Wilno, a w rewanżu wsparli Armię Czerwoną. Berlin rozmawiał z Moskwą, dając do zrozumienia, że liczy na przywrócenie granicy między Niemcami a Rosją z 1914 r. A to ozna-

eprasa.pl 91c3417b27

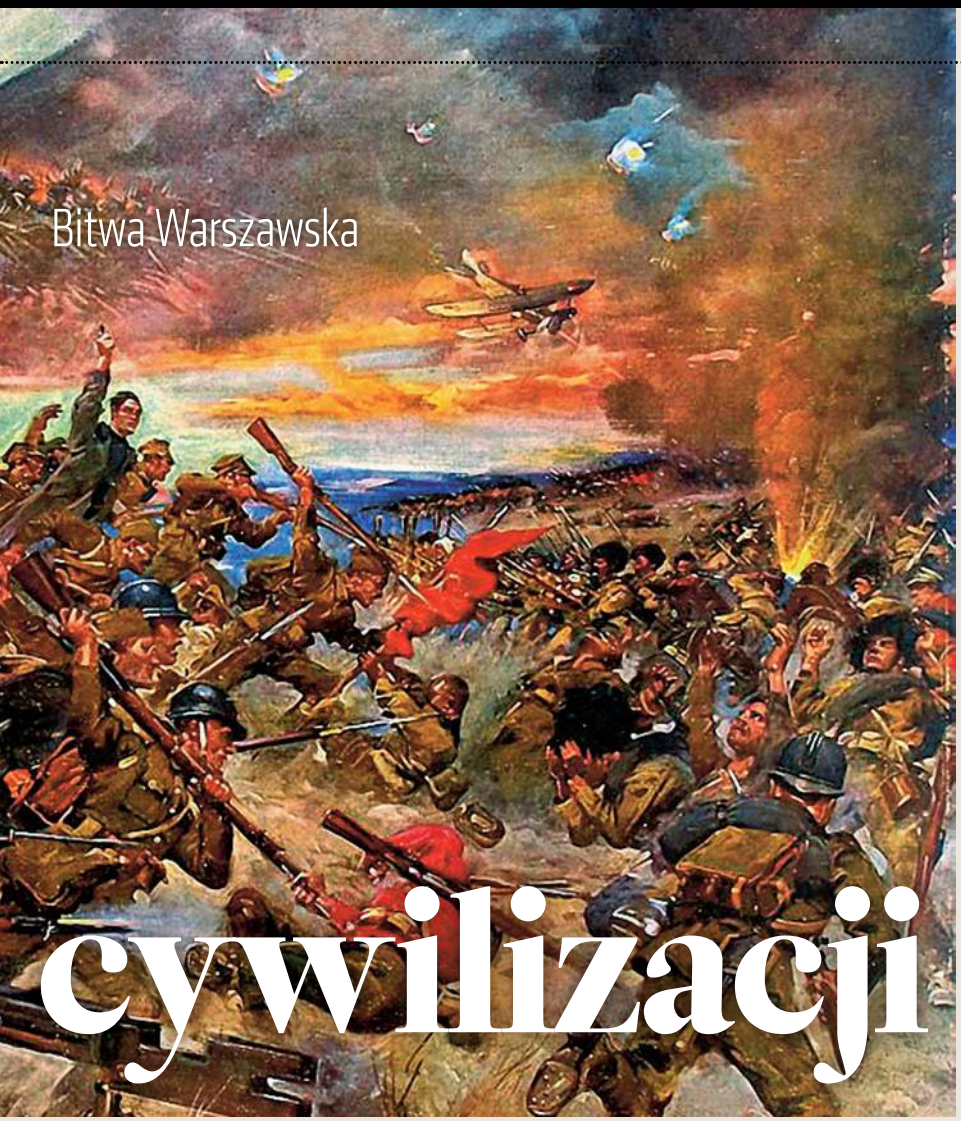

Bitwa Warszawska

cywilizacji

Członkowie misji alianckiej w Polsce. Pierwszy z lewej: lord d'Abernon FOT. WIKIPEDIA

czało, że miejsca dla Polski na mapie nie było. Kiedy Armia Czerwona zdobyła w 1920 r. Działdowo, przekazała je Niemcom jako zapowiedź przywrócenia starej granicy rosyjsko-niemieckiej po zmiażdżeniu Polski.

Praga miała nadzieję, że jeśli Polska zostanie pokonana, to cały Śląsk Cieszyński stanie się czeski. Polskie zwycięstwo pozbawiło złudzeń naszych sąsiadów. A starali się pomagać Armii Czerwonej – Niemcy i Czesi blokowali transporty broni i amunicji do Polski.

Francja i Stany Zjednoczone udzieliły Polsce pomocy w materiale wojennym, a także w postaci pożyczek, ale Francuzi zamierzali obłowić się przy okazji na sprzedaży i tak już niepotrzebnych zapasów broni i dopiero twarde negocjacje spowodowały, że obniżyli ceny do rozsądnych rozmiarów. Spośród naszych sąsiadów Rumunia pomagała, przepuszczając transporty broni i amunicji.

Szampan pienił się natomiast w kieliszkach w Budapeszcie. Węgrzy odczuli już na własnej skórze w 1919 r., co to znaczy rewolucja bolszewicka, gdy powstała Węgierska Republika Rad. Nie tylko sprzyjali Polakom, lecz także czynnie pomagali. Bez francuskich generałów i oficerów – z całym szacunkiem dla ich pomocy – najpewniej byśmy sobie poradzili. Bez węgierskiej amunicji – a Węgrzy przekazali nam jej cały zapas – być może nie. Gdyby Madziarzy nie znajdowali się pod butem ententy, która rażąco niesprawiedliwie ich potraktowała po pierwszej wojnie światowej, zapewne węgierskie dywizje walczyłyby na polskiej ziemi przeciw Armii Czerwonej.

Węgrzy wiedzieli, że jeśli polskie armie ulegną, to przez karpackie przełęcze wleją się na ich ziemie potoki czerwonoarmistów, a był to zamiar Lenina, chcącego przez Węgry przenieść na bagnetach płomień rewolucji do Włoch. A tam, w 1920 r. na północy, socjaliści niekryjący fascynacji bolszewizmem mieli w praktyce władzę w swoich rękach, opanowali samorządy, robotnicy zajmowali fabryki i organizowali produkcję, chłopi terroryzowali ziemian. Zabrakło im tylko bolszewickiej odwagi, by proklamować rewolucję i zorganizować marsz na Rzym.

Z Węgrami łączyła nas wspólna sprawa, wspólny wróg. Tak samo jak

eprasa.pl 91c3417b27

Stanowisko karabinu maszynowego Colt--Browning. Miłosna pod Warszawą, sierpień 1920 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

z Ukraińcami naddnieprzańskimi. Ich wielki przywódca Symon Petlura doskonale rozumiał konieczność polsko-ukraińskiego sojuszu w imię walki o niepodległość własnego kraju, nawet za cenę bolesnych ustępstw terytorialnych na rzecz Polski. Dlatego ukraińskie dywizje walczyły w 1920 r. po stronie polskiej.

Decydujące 22 miesiące

O Bitwie Warszawskiej mawiano i mówi się nadal, że był to „Cud nad Wisłą". Początkowo określenie to, autorstwa endeckiego publicysty Stanisława Strońskiego (ściśle: „Cud Wisły"), miało zdyskredytować marszałka Józefa Piłsudskiego, Wodza Naczelnego. Tylko bowiem interwencja niebios miała uratować Polskę. Później zapomniano o intencji, z którą mówiono o cudzie. Dzisiaj używa się tego pojęcia jako określenia niezwykłej odmiany losów wojny, która nastąpiła w połowie sierpnia 1920 r. A przypominała tamta wojna wściekłego kontredansa – jak mówił Piłsudski.

Pierwszą figurą tego wojennego tańca był marsz nad Dniepr, czyli wyprawa kijowska, której celem była pomoc w odbudowie niepodległej Ukrainy. Drugą – ciężki, dramatyczny odwrót polskich armii, spychanych przez Armię Czerwoną ku Wiśle. Trzecią figurą była polska ofensywa, zwycięska Bitwa Warszawska. Czwartą – kończącą morderczy taniec – bitwa nad Niemnem.

Przełomowe zwycięstwo nad Wisłą to zbiorowe dzieło Polaków, i to nie tylko tych setek tysięcy w żołnierskich szynelach, lecz także milionów tworzących i budujących przez poprzednie 22 miesiące niepodległe państwo polskie. Armia wygrywa wtedy, gdy ma za sobą działające, a nie istniejące tylko teoretycznie państwo, z niego czerpie swoją siłę.

Jeden z najgłupszych, bezmyślne powtarzanych stereotypów głosi, że Polacy wprawdzie doskonale potrafią walczyć i lubią bohatersko ginąć, ale nie potrafią budować, organizować się, gospodarować. Dwadzieścia dwa miesiące, które upłynęły od listopada 1918 do sierpnia 1920 r., zaprzeczyły temu i pokazały, że jest wprost przeciwnie. Stworzenie państwa i armii, zszycie kraju z trzech różnych kawałków, opanowanie totalnego chaosu, powstrzymanie zapaści gospodarczej, są, niestety, niezauważanym, a przez to niedocenianym polskim fenomenem. A to właśnie te 22 miesiące umożliwiły zwycięstwo w Bitwie Warszawskiej i wojnie z bolszewicką Rosją.

Andrzej Chwalba w książce „1919. Pierwszy rok wolności" pokazał przerażający obraz początków niepodległości. Ziemie polskie po zniszczeniach pierwszej wojny światowej były jedną wielką ruiną. Panował powszechny głód, napadano na sklepy spożywcze, szalał bandytyzm, liczące łącznie kilkadziesiąt tysięcy ludzi szajki bandyckie terroryzowały wsie i miasteczka. Trzeba było uruchomić koleje, a w każdym z zaborów obowiązywał inny system hamulców. Nakładały się na siebie epidemie grypy hiszpanki, tyfusu i czerwonki, które dziesiątkowały ludność... COVID-19 jest niczym w porównaniu z hiszpanką w Polsce w latach 1918–1920, na którą zmarło 100 tys., a może nawet 200 tys. ludzi. A umierali w znakomitej większości ludzie młodzi, a więc ci, którzy powinni trafić do wojska. Wielu polskich żołnierzy zmarło z powodu chorób epidemicznych.

Przez 22 miesiące, od listopada 1918 do sierpnia 1920 r., Polacy w zdumiewający sposób pokazali, że potrafią wydobyć kraj z chaosu, podnieść go z ruin, zapewnić warunki nie tylko do prowadzenia wojny, lecz także do zwycięstwa w niej.

W latach 1919–1920 Europa zobaczyła ze zdumieniem, że Polacy potrafią nie tylko bić się i umierać, lecz także zorganizować zwycięską armię. Dwadzieścia dwa miesiące przed Bitwą Warszawską Józef Piłsudski, obejmując najwyższą władzę wojskową, miał do dyspozycji ledwo 10 tys. żołnierzy Polskiej Siły Zbrojnej. Z tego zalążka siły zbrojnej rozwinęła się błyskawicznie silna armia polska, wysiłkiem oficerów pochodzących z armii trzech państw zaborczych i z Legionów Polskich. A nie było to łatwe, gdyż reprezentowali przecież różne poglądy na sposób organizacji wojska i prowadzenia walki. Wielką trudnością było też to, że – jak pisał prof. Chwalba w „Roku 1919" – na wsi był dość powszechny opór przeciw poborowi, nie stawiało się do niego od 30 do 70 proc. wezwanych, a Żydzi stanowiący znaczną część poborowych (10 proc. społeczeństwa) w zasadzie gremialnie uchylali się od poboru. Stan fizyczny wcielonych do wojska był marny, liczne były dezercje.

Porównanie zmagań Polski i bolszewickiej Rosji do Dawida i Goliata jest może nieco na wyrost, ale faktem jest, że Armia Czerwona była co najmniej trzykrotnie liczniejsza niż Wojsko Polskie, które ją pokonało, i miała nieporównywalnie większe rezerwy ludzkie. A pokonaliśmy Armię Czerwoną niezwykłą zbieraniną broni różnych typów i kalibrów odziedziczonych po armiach państw zaborczych, a także przysłaną z Zachodu.

Krew i niepodległość

O zwycięstwie w wojnie decydują jednak nie tylko karabiny i działa, czołgi i samoloty, lecz także morale społe-

eprasa.pl 91c3417b27

czeństwa przekładające się na morale wojska, wola walki i gotowość poświęcenia własnego życia dla ojczyzny. Jeśli znaczna część polskiego społeczeństwa miała wolę i determinację bronienia niepodległości w latach 1919–1920, to w dużej mierze jest to zasługa Józefa Piłsudskiego. To on przekonywał przez niemal 10 lat przed pierwszą wojną światową, że o niepodległość trzeba walczyć i liczyć się z tym, iż będzie kosztowała drogo. Tymczasem – jak z żalem i gniewem wówczas mówił – Polacy, owszem, pragną niepodległości, ale chcą, by kosztowała nie więcej niż jedną kroplę krwi, może dwie. Piłsudski ubolewał, że do związków strzeleckich, budujących kadry wojska polskiego, napłynęło mało młodych ludzi, a jego „agitacja militarna" była przyjmowana najczęściej obojętnie, sceptycznie, a nawet niechętnie.

A jednak udało mu się zaszczepić wśród wielu Polaków zrozumienie, że walka zbrojna jest koniecznością. To prawda, że nie wywalczyliśmy niepodległości w tym sensie, iż nie pokonaliśmy naraz trzech mocarstw rozbiorowych ani nawet żadnego z nich. Nie o to chodziło zresztą Piłsudskiemu. Jego „agitacja militarna" okazała się natomiast bezcenna, gdy niepodległość stała się faktem i trzeba było jej bronić, walczyć o kształt, a więc o granice Rzeczypospolitej. To Piłsudski przekonał Polaków, że nie da się utrzymać niepodległości za cenę dwóch kropli krwi.

Zapewne także nie byłoby zwycięstwa nad bolszewicką Rosją, gdyby nie dekrety lewicowego, powołanego w listopadzie 1918 r. przez Józefa Piłsudskiego rządu Jędrzeja Moraczewskiego, wprowadzającego szereg praw socjalnych, ustanawiających ośmiogodzinny dzień pracy, wprowadzający inspekcję pracy, ochronę lokatorów. Pierwszy rząd Rzeczypospolitej tymi dekretami postawił tamę agitacji bolszewickiej, zapobiegł niebezpieczeństwu rewolucji komunistycznej. A pod koniec 1918 r. w Polsce powstawały Rady Delegatów Robotniczych, w części z nich dominowali komuniści. Jednak o postawie większości robotników decydował kilkunastoletni wpływ na nich niepodległościowego nurtu PPS.

Ogromną rolę w przygotowaniu zwycięstwa odegrała wieloletnia praca endecji. To właśnie ona w dużej mierze, niezależnie od ruchu ludowego, spowodowała, że chłopi identyfikowali się coraz bardziej z polskością i niepodległością. A był to przecież proces trudny, trwający dziesięciolecia. Rabacja galicyjska w 1846 r. wykazała, że chłopi i szlachta, choć mówią jednym językiem oraz wyznają jedną religię, nie są jednym narodem. Podczas powstania styczniowego były liczne przypadki wydawania przez chłopów powstańców w ręce carskich żołnierzy.

Bez trwającej przez ćwierć wieku pracy ruchu ludowego, endecji, niepodległościowego nurtu socjalizmu wielu Polaków uległoby bolszewizmowi, jeśli nie zaraz po odzyskaniu niepodległości, to podczas wojny 1920 r. A to mogłoby się okazać fatalne dla naszej wolności.

Nie można też zapomnieć o wielkiej roli Kościoła katolickiego w procesie identyfikowania się mas ludowych z polskością, a także z pragnieniem niepodległości, wyrażanym m.in. przez abp. Józefa Teodorowicza oraz bp. Władysława Bandurskiego.

Proporzec Armii Ochotniczej

FOT. WIKIPEDIA

Fenomenu polskiego zwycięstwa w roku 1920 nie można też zrozumieć bez wiedzy o przemianach w myśleniu Polaków o sobie, swoim państwie, niepodległości i cenie, jaką trzeba zapłacić za jej utrzymanie. Do dziś pojawia się głupi stereotyp, że Polacy uwielbiają mówić o swoich przegranych powstaniach, o martyrologii bojowników o wolność. A jednak właśnie dzięki temu, dzięki szacunkowi dla poległych bohaterów (gloria victis) kształtowała się siła moralna i odpowiedzialność za niepodległość, którą Polacy wykazali w 1920 r.

Gdy w krytycznym momencie wojny z bolszewicką Rosją zdecydowano się sięgnąć po ostatnie rezerwy, tworząc Armię Ochotniczą, wstąpiło do niej 105 tys. Polaków. Mogli pozostać w domach, przeczekać bez ryzyka, aż ich rodacy w mundurach pokonają Armię Czerwoną. Zdecydowali się dołączyć do nich z pewnością w dużej mierze dlatego, że byli wychowani w tak szyderczo do dziś ocenianym kulcie martyrologii. Ochotniczo wstępowali do armii liczni studenci, całe klasy szkolne.

Proces przywracania pamięci narodowej po niemal pół wieku panowania komunizmu w Polsce wciąż nie doprowadził, niestety, do tego, by w powszechnej świadomości wojna z bolszewicką Rosją i zwycięstwo w Bitwie Warszawskiej zajęły należne jej miejsce. Wiedza znakomitej większości Polaków wciąż ogranicza się do bardzo ważnego, ale tylko jednego, epizodu, którym były walki pod Radzyminem w sierpniu 1920 r., i do tego, że na czele armii stał marszałek Józef Piłsudski. Niektórzy wspomną być może śmierć ks. Ignacego Skorupki, który zginął w szeregach ochotników, nieliczni pamiętają o bohaterze zmagań na przedpolach Warszawy, por. Stefanie Pogonowskim. A sama Bitwa Warszawska – jak przypomina prof. Grzegorz Nowik – toczyła się nie tylko na przedpolach stolicy, lecz także na terenie większym niż terytoria Belgii i Holandii razem wzięte, od granicy z Prusami Wschodnimi, do Sokala w pobliżu Bugu, i trwała do pierwszych dni września 1920 r.

Nieocenioną rolę w kształtowaniu polskiej pamięci historycznej odgrywają dziś Muzeum Powstania Warszawskiego, Muzeum II Wojny Światowej, wkrótce zostanie otwarte Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku. Zwycięska wojna z bolszewicką Rosją nie tylko zasługuje na muzeum, lecz także wręcz się go domaga. W dzisiejszym świecie to nie książki, nawet nie filmy kształtują wyobraźnię i świadomość własnej historii, lecz w dużej mierze właśnie muzea, w ich nowoczesnej roli, nieograniczającej się tylko do wystawy stałej i wystaw czasowych. Niestety, niepodległa Polska przez 30 lat nie zdobyła się na wybudowanie muzeum wojny 1920 r., wojny, która dała nam 20 bezcennych lat niepodległości, a być może uratowała cywilizację europejską przez zagładą, którą gotował jej rosyjski bolszewizm.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 91c3417b27

Arsenał Armii Czerwonej

Michał Mackiewicz
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

W wojnie lat 1919–1920 obie walczące strony korzystały z rozmaitych źródeł pozyskiwania broni, stąd mozaika sprzętu była ogromna

Był to konflikt „biedaków". Z jednej strony odbudowujące się po latach niebytu Wojsko Polskie, które wobec ogólnej dewastacji kraju i braku przemysłu uzależnione było niemal w zupełności od dostaw sprzętu z zagranicy. Z drugiej Armia Czerwona, organizowana w zrujnowanym i targanym walkami wewnętrznymi kraju, borykająca się z ogromnymi brakami materiałowymi. Zły stan wojska pogłębił się podczas wielkiej letniej ofensywy, która zaprowadziła bolszewików pod mury Warszawy, ale jednocześnie wyczerpała ich materiałowo. „Wojska bolszewickie robiły wrażenie, jakby się składały z band cygańskich żebraków – wspominał gen. Kazimierz Raszewski. – Podarte spodnie, w okropny sposób obszarpana bluza, tu i ówdzie stary, podarty płaszcz sołdata carskiego, boso lub w zdartych butach, to całe ich ubranie".

Także uzbrojenie było bardzo niejednolite. Jego podstawę stanowiła broń byłej armii carskiej, borykającej się w latach pierwszej wojny światowej z ogromnymi problemami sprzętowymi. Kolosalne straty, ponoszone zwłaszcza w starciach z armią niemiecką, spowodowały, że rodzimy przemysł nie był w stanie pokryć rosnącego zapotrzebowania i musiano posiłkować się zamówieniami zagranicznymi. Od Japończyków kupiono blisko 700 tys. karabinów, jeszcze więcej wyprodukowali dla Rosjan Amerykanie. Z USA, Francji i Wielkiej Brytanii sprowadzano broń maszynową, działa, a samochody pancerne budowano z wykorzystaniem zagranicznych podwozi. Oczywiście używano także uzbrojenia zdobycznego, m.in. austro-węgierskiego.

Taką właśnie mozaikę „odziedziczyła" po wojsku carskim Armia Czerwona, która również zaopatrywała się w wielu źródłach. Na przykład w Armii Zachodniej (działającej od lutego 1919 r. w ramach frontu zachodniego) w kwietniu 1919 r., a więc w okresie zaciętych walk z Polakami o Wilno, znajdowało się 667 karabinów maszynowych, a w tej liczbie: 229 maximów, 137 lewisów, 249 coltów i 52 inne systemy. Oprócz produkcji własnej, nielicznej w porównaniu z okresem przedrewolucyjnym, istotnym uzupełnieniem była zdobycz na oddziałach „białych" i wojskach interwentów. Tą drogą trafiły do bolszewików m.in. angielskie czołgi, które jednak w wojnie z Polską nie odegrały niemal żadnej roli.

Wartość bolszewickiego wojska była nierówna. Najniżej oceniano piechotę, spośród której dużą wartość bojową zachowywały jedynie jednostki złożone z ochotników i ideowych komunistów. Najgroźniejszym przeciwnikiem okazała się natomiast kawaleria, łącząca w sobie wysoką mobilność ze stosunkowo dużą siłą ognia. Tą ostatnią zapewniały głównie taczanki, czyli karabiny maszynowe osadzone na bryczkach lub wózkach resorowych. Były nieocenione m.in. w walkach odwrotowych, prowadząc ostrzał do ostatniej chwili.

Niezwykle niebezpieczne były pociągi pancerne. „Konieczność i doniosłość tego rodzaju broni doceniały obie strony walczące już od początku wojny polsko-bolszewickiej i używały ich w znacznej ilości, bądź jako typów doskonałych [czyli projektowanych i produkowanych fabrycznie – przyp. M.M.], bądź improwizowanych. I im bardziej wojna ta nabierała charakteru wojny ruchowej, tem więcej były pociągi pancerne używane, liczba zaś ich wzrastała z dniem każdym" – pisano w czasopiśmie „Bellona" z 1921 r. Bolszewicka artyleria była stosunkowo nieliczna (biorąc pod uwagę doświadczenia pierwszej wojny światowej) i nie odegrała większej roli w wojnie z Polską. Podobnie jak lotnictwo, które nam z kolei oddało nieocenione usługi. Groźne były natomiast samochody pancerne różnych typów, w tym ciężkie Garford-Putiłow uzbrojone w armatę kal. 76,2 mm. Na zdjęciu angielska armata zdobyta na czerwonoarmistach w Bitwie Warszawskiej. ©℗

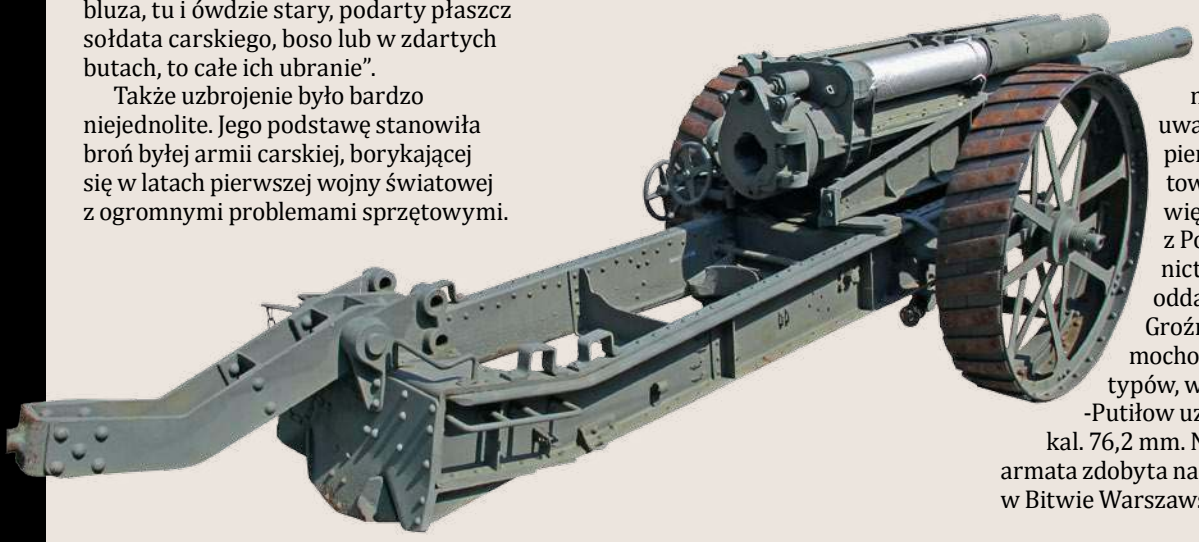

eprasa.pl 91c3417b27

Bolszewicka „świencołka”

Wśród zgromadzonych w Muzeum Wojska Polskiego pamiątek z wojny lat 1919–1920 znajduje się wielce oryginalny oręż – kiścień bojowy. Według zapisu z karty inwentarzowej jest to „Broń tzw. »świencołka« odebrana przez ułana polskiego Stanisława Świackiego od kawalerzysty bolszewickiego we wrześniu 1919 r. przy wsi Griżino w pobliżu Berezyny w ziemi Mińskiej”. Nazwa pochodzi niewątpliwie od potocznego określenia „prześwięcić (kogoś)”, czyli uderzyć, dać komuś nauczkę. Składa się z elastycznego trzonka sporządzonego ze skręconych drutów stalowych (prawdopodobnie fragment kabla linii elektrycznej) i owiniętego w miejscu chwytu warstwą skóry oraz płótna lnianego oraz zakończonego wrzecionowatą ołowianą głowicą. Do rękojeści przymocowano skórzany rzemień na rękę zapobiegający zgubieniu broni i umożliwiający swobodne powodowanie wierzchowcem.

W latach pierwszej wojny światowej ten rodzaj broni przeżywał prawdziwy renesans. Maczugi okopowe, zarówno improwizowane, jak i produkowane fabrycznie, używane były przez żołnierzy wszystkich stron konfliktu do walki na najbliższym dystansie. Wchodziły także w skład arsenału oddziałów szturmowych. Widoczne są na wielu archiwalnych fotografiach, tak polskich, jak rosyjskich. ©℗

Tatar – ułan

Mimo że Tatarzy kojarzą się na ogół z najazdami pustoszącymi kresy Rzeczypospolitej, warto pamiętać, że przez stulecia byli stałym elementem polskiej wojskowości. W obliczu bolszewickiego zagrożenia w kolportowanej wówczas ulotce pisano: „Dziś, kiedy Ojczyzna ponownie znalazła się w niebezpieczeństwie, do Was się zwracamy, ufni w dawne męstwo Wasze…”. W 1919 r. powstał Pułk Jazdy Tatarskiej. Wyjściowy mundur tej formacji przechowywany jest w zbiorach Muzeum Wojska Polskiego. Złożony jest z kołpaka oraz kurtki. Wykonano je z niemieckiego sukna w kolorze szarozielonym. Na przodzie czapki znajdują się: przepisowy orzeł na tarczy amazonek oraz symbol w postaci półksiężyca i pięcioramiennej gwiazdy. Denko uszyto z miękkiego niebieskiego sukna zdobionego trzema żółtymi paskami i chwostem – podobnie wyglądały czapki Tatarów litewskich z gwardii cesarza Napoleona I. Na kołnierzu naszyto niebieskie proporczyki nawiązujące kształtem do chorągwi mahometańskich. Tatarską jednostkę rozwiązano w 1920 r., ale tradycję muzułmańskich formacji kontynuowano w ramach 13. Pułku Ułanów Wileńskich. W jego skład wchodził 1. Szwadron Tatarski. ©℗

Sztandar 101. Pułku Strzeleckiego

Należy do najcenniejszych pamiątek w zbiorach Muzeum Wojska Polskiego i jest symbolem polskiego triumfu nad Armią Czerwoną w 1920 r. Jednostronny, niegdyś czerwony płat uszyty jest z tkaniny bawełnianej. Pośrodku znajduje się pięcioramienna biała gwiazda z sierpem i młotem. Nad gwiazdą napis: „РСФСР” (Rosyjska Socjalistyczna Federacyjna Radziecka Republika), a pod nią nazwa jednostki – „101ый СТРЕЛКОВЫЙ ПОЛК” (101. Pułk Strzelców). Poniżej umieszczono propagandowe hasło: „Мир хижинам – война дворцам”, które w polskim tłumaczeniu brzmi: „Pokój chatom – wojna dworom”.

Według zapisanej przed wojną notatki sztandar został zdobyty przez oddział por. Stefana Wojny podczas odwrotu Grupy Mozyrskiej znad Wieprza. Co ciekawe, 101. Pułk walczył w składzie działającej na północnym odcinku frontu 4. Armii, a nie w ramach wspomnianej grupy. Kiedyś zdobycznych sztandarów było znacznie więcej, ale po drugiej wojnie stały się politycznie niepoprawne. Obecność w muzealnych magazynach trofeów zdobytych podczas walki z niegdysiejszym wrogiem, a teraz „sojusznikiem i przyjacielem”, drażniła komunistyczne władze. W 1950 r. Zarząd Propagandy Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego nakazał oddać wszelkie bolszewickie weksylia. Trafiły do Moskwy. Dlaczego uchował się ten jeden sztandar, tego nikt nie wie. ©℗

eprasa.pl 91c3417b27

Marek Gałęzowski

Triumf nad bolszewikami był skutkiem bohaterstwa i poświęcenia tysięcy polskich żołnierzy. Oto opowieść o kilku z nich

Jeszcze dzień przed zwycięskim uderzeniem polskich żołnierzy, prowadzonych przez marszałka Józefa Piłsudskiego, wojska bolszewickie niepowstrzymanie – wydawałoby się – parły naprzód na wszystkich odcinkach frontu. Na północy szykowały się do przejścia dolnej Wisły, na froncie środkowym były o krok od Warszawy, usilnie dążąc do przełamania obrony polskiej pod Radzyminem. Bardziej na południe, nad Bugiem, usiłowały przekroczyć rzekę pod Dubienką, gdzie niegdyś gen. Tadeusz Kościuszko zwycięsko odparł Rosjan, broniąc Konstytucji 3 maja i honoru polskiego żołnierza.

To właśnie tam, 14 sierpnia 1920 r., w przededniu polskiej kontrofensywy, stanął przed bolszewikami niczym mur 207. pp im. Króla Stefana Batorego pod dowództwem mjr. Wacława Drojowskiego. Ten absolwent prawa uniwersytetu w Petersburgu, dowiedziawszy się po wybuchu pierwszej wojny światowej o powołaniu go do armii rosyjskiej, odpowiedział przedostaniem się przez linię frontu do legionistów Piłsudskiego. Mianowany oficerem, przeszedł bez szwanku całą kampanię legionową, a w pamiętnym sierpniu przed stu laty ze swoim młodym, ochotniczym żołnierzem bronił bolszewikom drogi na zachód. Męstwo okupił śmiercią. Tak jak wielu innych oficerów legionowych, którzy w listopadzie 1918 r. wstąpili do powstającego Wojska Polskiego.

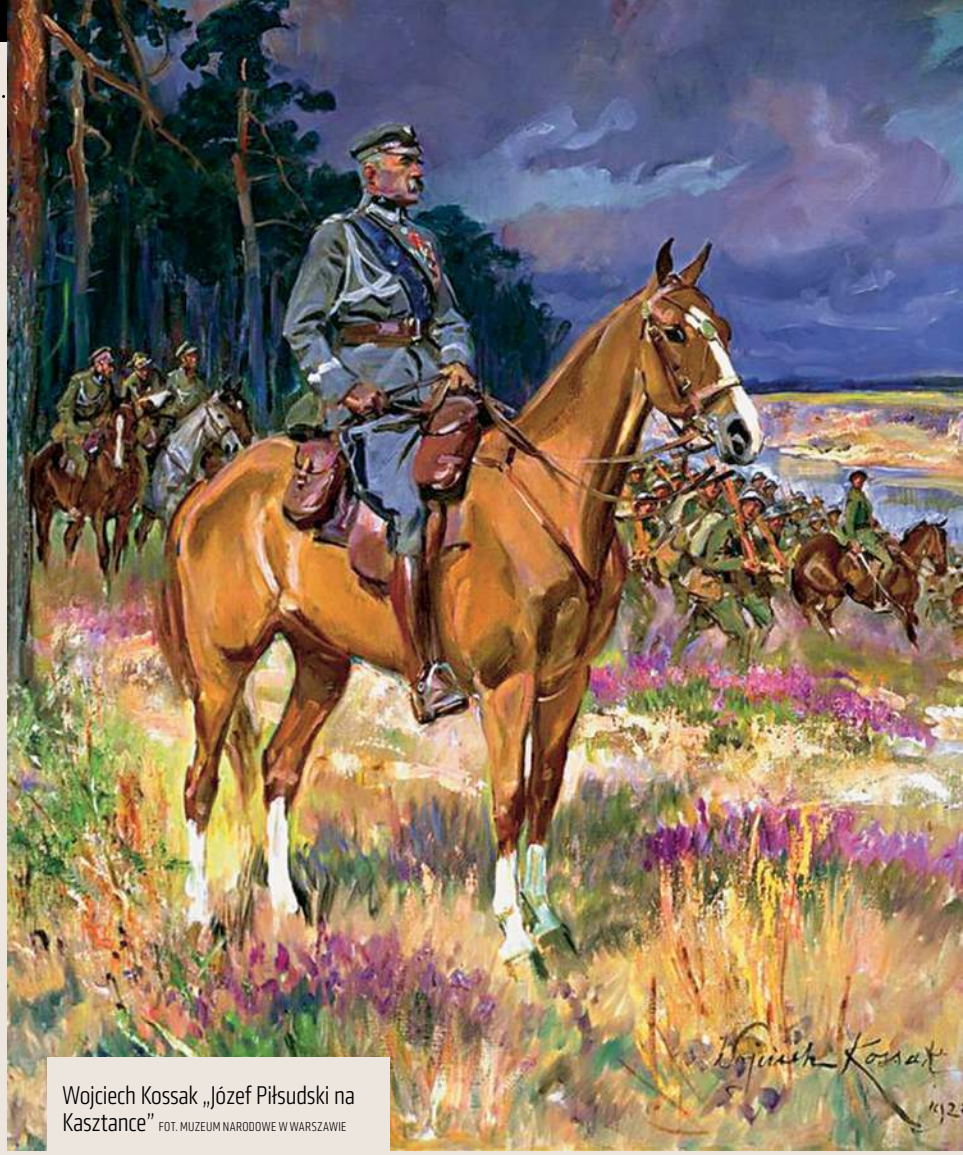

Wojciech Kossak „Józef Piłsudski na Kasztance" FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Żołnierze Piłsudskiego / Od Legionów do wojny z Sowietami

Bohaterowie 1920

Syn „proletariatczyka"

W marcu 1917 r. w gronie legionistów I Brygady urządzono uroczysty obchód imienin jej byłego już komendanta – Józefa Piłsudskiego. Wspominał Michał Römer, wówczas także legionista, a w międzywojniu wybitny litewski profesor prawa: „Wieczorek miał być poważny w przeciwieństwie do zwykłych i dość częstych u nas teatrzyków amatorskich o kabaretowym zabarwieniu". Po słowie wstępnym kilka deklamacji, „parę piosenek solo, kilka pieśni odśpiewanych przez chór pod batutą sierżanta Kulczyckiego, gra na fortepianie", a w końcu żywy obraz (czyli popularne niegdyś scenki, będące rekonstrukcją rzeczywistego obrazu) odegrany przez legionistów.

eprasa.pl 91c3417b27

Już kilka tygodni później ów sierż. Jerzy Kulczycki zerwał z kolegami, z którymi wspólnie walczył w Legionach przeciw rosyjskiemu zaborcy (dodajmy, że męstwo okazane w jednej z pierwszych bitew – pod Laskami – kilka lat później należało do czynów, które uzasadniły odznaczenie go Virtuti Militari). W słynnym bowiem sporze legionowym o złożenie przysięgi mocarstwom centralnym jako jeden z nielicznych żołnierzy I Brygady opowiedział się przeciw wezwaniu kmdt Piłsudskiego. Może wpływ na tę decyzję miał płk Leon Berbecki, dowódca pułku, w którym służył Kulczycki, bardzo ceniący młodego podoficera. Może bardziej jeszcze – wpływ ojca, Ludwika.

Ten należał niegdyś do czołowych działaczy polskiego ruchu socjalistycznego, wraz z Marcinem Kasprzakiem i Władysławem Studnickim zakładał partię zwaną II Proletariatem, a w 1895 r. z Józefem Piłsudskim i przyszłym prezydentem RP Stanisławem Wojciechowskim zasiadał w Centralnym Komitecie Robotniczym Polskiej Partii Socjalistycznej, w związku z czym został aresztowany i zesłany na Syberię.

Kulczycki ojciec należał do socjalistycznych radykałów, ale z czasem zerwał z lewicą i związał się z niewielkim środowiskiem zwolenników odbudowy państwa polskiego we współpracy z Niemcami, któremu przewodził Studnicki. Był tym samym wówczas przeciwnikiem akcji Piłsudskiego, odrzucającego przysięgę.

Jerzy Kulczycki złożył przyrzeczenie i znalazł się w Polskiej Sile Zbrojnej. Przydzielono go do Szkoły Podchorążych w Ostrowi Mazowieckiej i tam na początku następnego roku uzyskał awans oficerski. „B[ardzo] pilny, sumienny i energiczny. Zachowanie w służbie i poza służbą dobre. Dobrze wyćwiczony i wykształcony wojskowo [...], bardzo inteligentny, pełen energii, życia i temperamentu, lubiany przez kolegów i podwładnych, zapowiadający się jako oficer znakomicie" – pisał w swojej opinii Berbecki. W listopadzie 1918 r. wziął udział w rozbrajaniu Niemców w Warszawie, po czym widzimy go w sformowanej wkrótce przez Berbeckiego Grupie „Bełz", której zadaniem było wsparcie załogi oblężonego przez Ukraińców Lwowa. Jej oddziały już w pierwszej połowie stycznia 1919 r. znalazły się na froncie.

Kompania Kulczyckiego, która weszła w skład 36. Pułku Piechoty Legii Akademickiej – pod Żółkwią, od razu w walce. „Podprowadzam kompanię w formacji zwartej, aż do otrzymania ognia [...], daję rozkaz rozwinięcia się w tyralierę. Dostaliśmy się w ogień karabinu maszynowego; padliśmy. Kule padają bliżej i dalej. Mówię sobie: kogo mają diabli wziąć, tego wezmą choćby w Warszawie, nie trzeba na to jakiejś woli. Żegnam się. Naprzód!" – notował nasz bohater.

Tak zaczęła się dlań ta ciężka kilkumiesięczna wojna. W następnym miesiącu, w jednym z bojów, został dwukrotnie ranny, ale „mimo silnego upływu krwi prowadził kompanię swoją aż do zupełnego rozbicia trzech ukraińskich batalionów, biorąc kilkudziesięciu jeńców, dwa kaemy i dużo materiału wojennego, uwalniając redutę Komorowa od grożącego jej niebezpieczeństwa. Świętej pamięci ppor. Kulczycki, uwielbiany przez żołnierzy i kolegów, przedstawiał świetny typ bohatera wielkiego, żołnierza energicznego i zdolnego dowódcy i najserdeczniejszego opiekuna podkomendnych mu żołnierzy" – pisano we wniosku o odznaczenie go Virtuti Militari.

Jako dowódca kompanii troszczył się nie tylko o odpowiednie wyekwipowanie żołnierzy, lecz także dbał o ich morale, kształtował wśród nich poczucie obowiązku wobec odradzającej się ojczyzny. Odznaczał się nie tylko męstwem, lecz także prawością. Świadczyły o niej interwencje na rzecz miejscowej ludności cywilnej, w przeważającej mierze narodowości ukraińskiej. Tak było w przypadku mieszkanki Zabłocia, która zwróciła się ze skargą dotyczącą dokonanego rabunku. Kulczycki znalazł sprawcę kradzieży, zmusił do oddania odebranych rzeczy i ukarał. Spowodował też zwrócenie pewnej sumy pieniędzy, która okazała się własnością gminy, a nie wojska. „Wójt Laszczota, Rusin, nie mógł się nadziwić naszej uczciwości. Kwit na zwrócone rzeczy przesłałem jako dowód do batalionu" – pisał Kulczycki w swoim osobistym frontowym dzienniku, nie przypuszczając, że kiedykolwiek będzie on wydany drukiem.

Odpoczynek po ciężkich zmaganiach z Ukraińcami, rozstrzygniętych w lipcu 1919 r., nie trwał długo. Już w połowie września kompania Kulczyckiego wraz z całym pułkiem akademików została skierowana do walk z bolszewikami pod Połockiem, znanym z dawnych bojów króla Stefana Batorego z Moskwą Iwana IV Groźnego. Oddział naszego bohatera już pierwszego dnia stoczył potyczkę z bolszewikami między jeziorami Długie i Szo: „Kule bolszewickie świstały od czasu do czasu, raz nawet karabin maszynowy siknął w naszą stronę. Kazałem obu naszym bergmanom dać serię strzałów, a każdemu żołnierzowi po jednym strzale, nisko biorąc, i ruszyć naprzód. [...] Wybiegłszy na skraj lasu, zauważyłem o kilkadziesiąt kroków w drzewach parę od karabinu maszynowego. Nasz bergman dał kilka strzałów, zrobiliśmy »hura!« i rzuciliśmy się naprzód. W ten sposób biegiem zajęliśmy wieś Janów i drugą leżącą przed nią".

W następnym miesiącu Kulczycki i jego ludzie kilkakrotnie starli się z Armią Czerwoną. Niestety, 21 października 1919 r. ten dzielny, wówczas 24-letni oficer, nazywany przez dziejopisa pułku Legii Akademickiej chlubą swojego batalionu, poległ

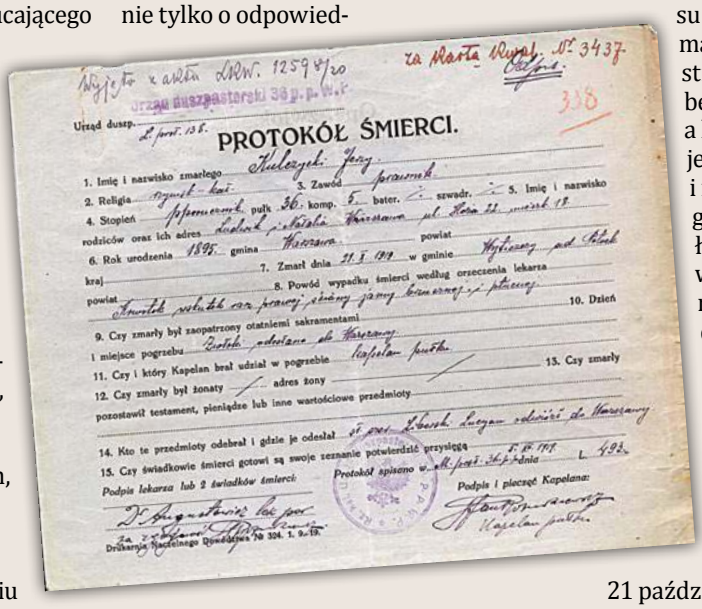
Urząd duszp. PROTOKÓŁ ŚMIERCI.
1. Imię i nazwisko zmarłego Kulczycki Jerzy
2. Religia rzymsko kat. 3. Zawód prawnik
4. Stopień ppornik pułk 36. komp. 5. bater. 6. szwadr. 5. Imię i nazwisko rodziców oraz ich adres
6. Rok urodzenia 1895. gmina Warszawa powiat
kraj 7. Zmarł dnia 21.X.1919 w gminie
powiat 8. Powód wypadku śmierci według orzeczenia lekarza
9. Czy zmarły był zaopatrzony ostatniemi sakramentami 10. Dzień
i miejsce pogrzebu
11. Czy i który Kapelan brał udział w pogrzebie Kapelan pułku
12. Czy zmarły był żonaty / adres żony 13. Czy zmarły pozostawił testament, pieniądze lub inne wartościowe przedmioty
14. Kto te przedmioty odebrał i gdzie je odesłał
15. Czy świadkowie śmierci gotowi są swoje zeznanie potwierdzić przysięgą
Podpis lekarza lub 2 świadków śmierci: Protokół spisano w
Podpis i pieczęć Kapelana:

Podporucznik Jerzy Kulczycki poległ w październiku 1919 r. nad Dźwiną FOT. WBH

eprasa.pl 91c3417b27

w czasie kontrataku na bolszewików, którzy przeprawili się przez Dźwinę i zepchnęli Polaków z zajmowanych tam stanowisk.

„Wybitnie dzielny, brawurowy i kochający Ojczyznę" – pisał o nim gen. Berbecki. Mianowany pośmiertnie kapitanem, Jerzy Kulczycki spoczął w grobie rodzinnym na warszawskich Powązkach, obok zmarłej w wieku dziecinnym siostry. Jego rodzice, którym nie pozostało już żadne dziecko, zostali pochowani w tej samej mogile wiele lat później – Ludwik krótko po wybuchu drugiej wojny, jego żona Natalia w 1952 r. Pamiątką po kpt. Kulczyckim, oficerze, który potrafił własny hełm oddać żołnierzowi, uważając, że „nie wypada go nosić oficerowi, skoro nie mają hełmów żołnierze", jest jego dziennik z walk z Ukraińcami i bolszewikami, który ukazał się w 1927 r. z przedmową gen. Mariana Kukiela. Ten wybitny historyk, uczeń Szymona Askenazego, znał Kulczyckiego ze Szkoły Podchorążych Polskiej Siły Zbrojnej w Ostrowi Mazowieckiej, w której pełnił funkcję komendanta.

Zygmunt Radoński „Żarski"
FOT. WBH

„Hej, kto Polak..."

Kiedy w jednym z pierwszych bojów legionowych z Rosjanami, pod Laskami jesienią 1914 r., „uderzenie 2. kompanii zaczęło się załamywać, został rzucony dla jej podtrzymania pluton ppor. Radońskiego z II rzutu 3. kompanii, a pluton ppor. [Alfreda] Greffnera zaczął wchodzić w lukę między kompaniami. Ten sukurs dodał nowego zapału chwiejącej się kompanii, która ruszyła ponownie do natarcia mimo ciężkich strat. Gdy padł drugi z kolei dowódca plutonu 2. kompanii, ppor. »Gintowt« [Adolf Maciesza], zdając dowództwo na kpr. Józefa Orłowicza »Brzeszczota« – wówczas całe prawe skrzydło począł prowadzić ppor. Radoński, rzucając się z pieśnią na drugą linię okopów, która też wkrótce została opanowana" – pisał Aleksander Narbut-Łuczyński.

Tą pieśnią był refren „Warszawianki", zaczynający się od słów: „Hej, kto Polak na bagnety". Zaintonowana przez Zygmunta Radońskiego, została podjęta przez innych, którzy „ze śpiewem tym pobiegli po raz wtóry do szturmu, na drugi rząd ziejących ogniem okopów".

Ten ledwie 18-letni oficer noszący pseudonim Żarski bił się równie mężnie w kolejnych bitwach Legionów. 20 maja 1915 r. pod Konarami został lekko ranny, ale nie opuścił dowodzonego przez siebie plutonu. Dwa dni później podczas walk w lesie pod Kozinkiem odniósł jednak ciężką ranę głowy, wskutek której stracił prawe oko. Jak twardy charakter musiał mieć Zygmunt Radoński, który mimo kalectwa po kilku miesiącach wrócił do szeregów I Brygady i wziął udział w kampanii wołyńskiej... Nie może dziwić, że męstwo jego nagrodzono w niepodległej Polsce Virtuti Militari.

Inaczej niż Kulczycki, a podobnie jak niemal wszyscy oficerowie i żołnierze I Brygady, „Żarski" odmówił złożenia przysięgi państwom centralnym. Poważnie wówczas chorował i mógł uniknąć internowania, a jednak chcąc okazać solidarność z kolegami, zgłosił się 30 lipca 1917 r. do obozu w Beniaminowie. Dwa dni później zapisywał w prowadzonym dzienniku:

„Zbliża się powoli nasza trzyletnia rocznica wymarszu na wojnę, a my siedzimy w więzieniu jako cywilni jeńcy i to Hw wolnej i niepodległej Polsce, proklamowanej przez Niemców. A nasze społeczeństwo, poza ronieniem łez bezsilnem, jak było, tak jest bierne. Jak długo tu zostaniemy i co z nami zrobią, nie wiemy". Nadal chorował. Badający go Sławoj Składkowski stwierdził anemię i ogólne osłabienie organizmu wskutek niedożywienia. Zalecił lepsze odżywianie, co po latach skomentował we wspomnieniach z Beniaminowa:

„Nigdy jeszcze nie dawałem tego zlecenia lekarskiego w tak absurdalnych warunkach, jak obecne. Porucznik Radoński uśmiechnął się blado i machnął ręką. Wykluczone jest, by mógł sobie pozwolić na luksus wypełniania mych wskazań lekarskich. Niestety, trudno zapewnić dobre odżywianie pacjentowi, podczas gdy sam doktór jest piekielnie głodny".

Po zwolnieniu z obozu „Żarski" służył w Polskiej Sile Zbrojnej, a w listopadzie 1918 r., tak jak inni oficerowie legionowi, wstąpił do Wojska Polskiego. Był uważany przez przełożonych za bardzo dobrego dowódcę batalionu, wysoko ceniono jego zdolności organizacyjne i wychowawcze, podkreślano, że pracuje z pełnym zamiłowaniem służby i dba o samokształcenie się w dziedzinie wojskowości. Latem 1919 r. został komendantem Szkoły Podoficerskiej w Dęblinie, a po ukończeniu kursu dowódców batalionów w Szkole Aplikacyjnej Oficerów Piechoty w warszawskim Rembertowie pełnił funkcję zastępcy szefa Oddziału I Dowództwa Okręgu Generalnego w Poznaniu.

Zaraz po rozpoczęciu ofensywy przeciw bolszewikom na Ukrainie zwrócił się z prośbą do swoich przełożonych o przeniesienie go na front. Wobec odmowy, którą uzasadniano kalectwem Radońskiego – chociaż nieco wcześniej uznano jego zdolność do służby frontowej – ponowił prośbę o przydział frontowy, na co ostatecznie uzyskał zgodę na początku czerwca. Został oddany do dyspozycji Naczelnego Dowództwa WP, a 24 czerwca 1920 r. przydzielony bezpośrednio z DOG w Poznaniu do 105. pp na stanowisko dowódcy batalionu.

eprasa.pl 91c3417b27

Na front wyruszył już następnego dnia. Nigdy nie dotarł do pułku. Pociąg, którym jechał, wobec zbliżania się bolszewików został zatrzymany w pobliżu Mizocza w przedwojennym powiecie zdołbunowskim na Wołyniu (obecnie rejon zdołbunowski w obwodzie rówieńskim na Ukrainie). Wówczas Radoński „wyskakuje z pociągu, szybko opanowuje gromadę cofających się w nieładzie żołnierzy i ginie jak bohater [...]". Bliższych okoliczności jego śmierci nie udało się ustalić, a ciała nie odnaleziono. Nierzadko spotykany los polskiego żołnierza nie tylko w tej wojnie.

Wspomniane postaci to nie jedyni spośród licznych oficerów Legionów Polskich, którzy polegli w wojnie z bolszewikami. A byli wśród nich jeszcze m.in. Stanisław Parczyński „Młot", żołnierz kompanii kadrowej, a później 1. pp I Brygady Piłsudskiego, z którą przeszedł wszystkie boje. Po rozwiązaniu Legionów był w Polskiej Organizacji Wojskowej i uczestniczył w rozbrajaniu okupanta niemieckiego. Wiosną 1919 r. oswobadzał Wilno od bolszewików, walczył z nimi w kolejnych bojach na północnym wschodzie i na Łotwie. Zginął w bitwie o Fastów, jednej z pierwszych w wyprawie, mającej na celu wyzwolenie Ukrainy spod władzy bolszewickiej i zabezpieczenie przed bolszewikami odrodzonej Polski.

Zygmunt Radoński „Żarski", kapelan ks. Henryk Ciepichałł, Aleksander Tomaszewski

FOT. CZASOPISMO „NIEPODLEGŁOŚĆ" Z 1933 R.

W walkach na Ukrainie poległ także kpt. Stefan Holinkowski z tego samego pułku legionowego co Parczyński. Przed pierwszą wojną światową dowódca oddziału Polskich Drużyn Strzeleckich w austriackim Leoben, oficer I Brygady, który od listopada 1918 r. walczył z Ukraińcami w obronie Lwowa, a następnie jako dowódca kompanii 1. pułku Legionów, podobnie jak „Młot", uczestniczył w zwycięskim zdobyciu Wilna, gdzie został ciężko ranny. W następnym roku ze swoim pułkiem bił się na Ukrainie z Armią Konną Budionnego i tam, pod Suchą Wolą, ciężko ranny, rozerwał się granatem, by nie dostać się do niewoli.

Dzięki poświęceniu i tych oficerów, wywodzących się z I Brygady Piłsudskiego, którzy polegli w latach 1919 i 1920, byt odrodzonej ojczyzny został uratowany. I nic nie pomogło bolszewikom to, że przy poległym mjr. Drojowskim znaleźli mapnik z dokumentami zawierającymi plany ofensywy, która miała przynieść Polsce zwycięstwo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN, profesorem Uczelni Łazarskiego.

REKLAMA

JAK MARYJA OCHRONIŁA POLSKĘ W 1920 ROKU?

esprit

Zamów książkę na **www.esprit.com.pl** lub telefonicznie: **12 267 05 69**.
Przy zamówieniach powyżej 49 zł – darmowa dostawa.

Promocja przy zamówieniach internetowych: zaloguj się, kupuj i zbieraj złotówki na kolejne zakupy. Sprawdź!

eprasa.pl 91c3417b27

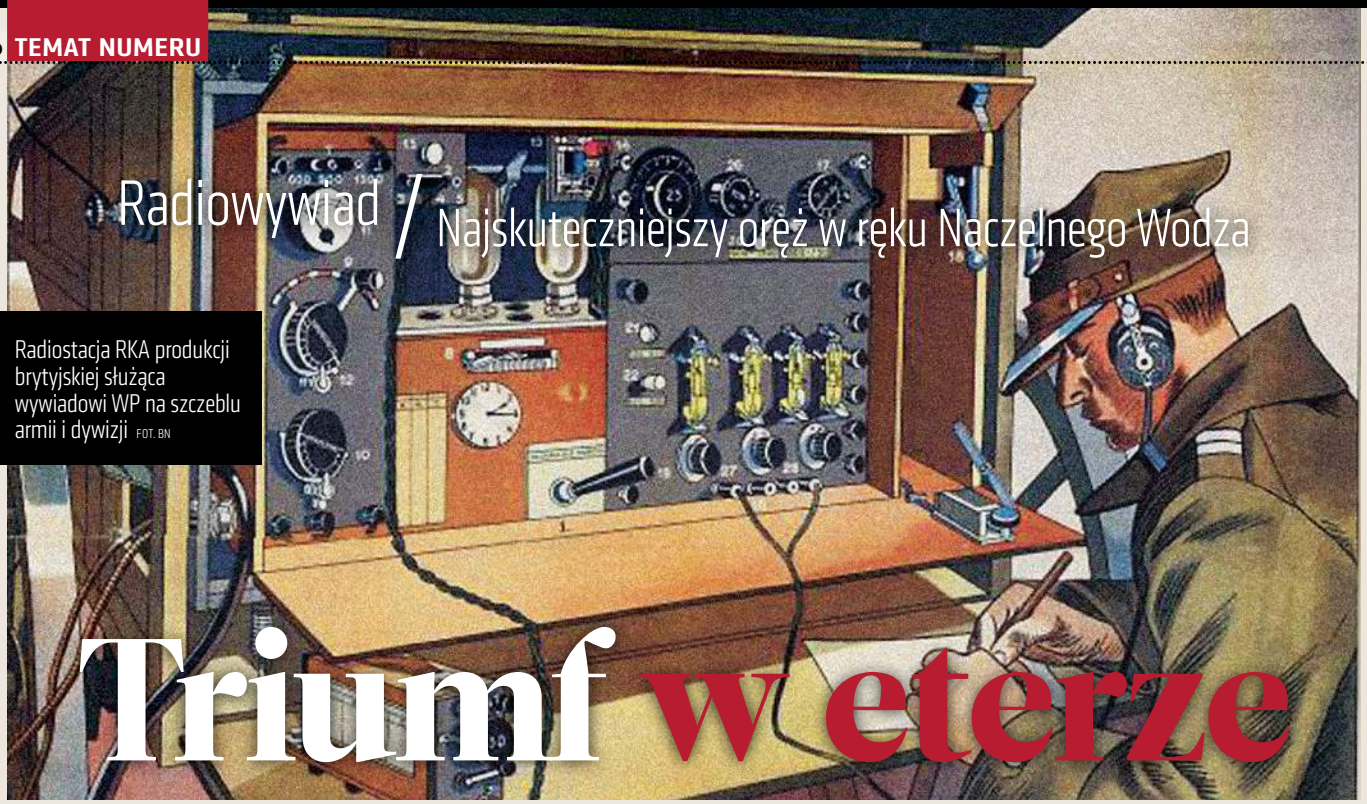

Radiowywiad / Najskuteczniejszy oręż w ręku Naczelnego Wodza

Radiostacja RKA produkcji brytyjskiej służąca wywiadowi WP na szczeblu armii i dywizji FOT. BN

Triumf w eterze

Maciej Rosalak

Dokładnie rok przed Bitwą Warszawską genialny por. Jan Kowalewski złamał bolszewicki szyfr radiowy

Przyspieszenie uderzeń polskich wojsk z północy (znad Wkry) i z południa (znad Wieprza) przyniosło triumf w Bitwie Warszawskiej. Nastąpiło to dzięki naszemu wywiadowi radiowemu, który 13 sierpnia przechwycił depeszę sztabu Tuchaczewskiego nakazującą rozpoczęcie natarcia na Warszawę. Pewien genialny porucznik już rok wcześniej złamał szyfry wroga i Polacy wiedzieli z wyprzedzeniem o wszystkich jego krokach. To w dużym stopniu dało nam zwycięstwo w całej wojnie.

Polski wywiad zorganizował ppłk Józef Rybak (1882–1953), którego Józef Piłsudski poznał przed pierwszą wojną światową jako młodego kapitana wywiadu austriackiego, wyznaczonego do kontaktu z polskimi organizacjami strzeleckimi. Ujął wtedy Komendanta jako „polski patriota w obcym mundurze". Nominację na szefa Oddziału VI Informacyjnego (od maja 1919 r. z cyfrą II) Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego – a więc wywiadu naszej nowo powstającej armii – wręczył mu 12 grudnia 1918 r.

Wraz z nim na szefa najważniejszej Sekcji II – Biura Wywiadowczego – powołał mjr. Ignacego Matuszewskiego (1891–1946), byłego oficera rezerwy armii rosyjskiej, zaangażowanego już w organizację wywiadu I Korpusu Wschodniego, a następnie w Kijowie na rzecz organizującego się WP. (Piłsudski nie znał go jeszcze wtedy osobiście, ale wiele dobrego o jego inteligencji, determinacji w działaniu i patriotyzmie mógł usłyszeć).

Jak pisze prof. Grzegorz Nowik („Złamanie rosyjskich szyfrów, Dzieje.pl"): „Tandem Rybak – Matuszewski, łączący niewątpliwe zdolności i rutynę kadrowego oficera wywiadu w przypadku pierwszego z nich, z ideowością, błyskotliwością i nieszablonowymi metodami działania drugiego, stworzył fundament centrali polskiego wywiadu wojskowego".

Już 1 kwietnia płk Rybak przeszedł do Ministerstwa Spraw Wojskowych, ale wcześniej ściągnął do Biura Szyfrów centrali wywiadowczej swojego kolegę, mjr. Sztabu Generalnego c.k. armii Karola Bołdeskuła (1877–1944), który był – można tak powiedzieć bez najmniejszej przesady! – wyjątkowym na całą Europę znawcą tego, co się w Rosji w ostatnich latach dzieje. On to kierował bowiem podczas pierwszej wojny światowej radiowywiadem państw centralnych na Rosję, i to zarówno za cara, jak i rządu demokratycznego, a wreszcie po rewolucji bolszewickiej.

Misja mjr. Bołdeskuła

Otrzymał on supertajną misję zajęcia się tym samym w Wojsku Polskim. Bołdeskuł werbował kolejnych fachowców z byłej austriackiej służby wywiadowczej, a polskie radiostacje nasłuchowe rozmieścił niemal w tych samych miejscowościach, gdzie skutecznie pracowały radiostacje austriackie w latach wojny. I tak od marca 1919 r. prowadzone były nasłuch i systematyczne monitorowanie bolszewickich i białogwardyjskich stacji nadawczych. Monitorowano też radiostacje ukraińskie, a nawet węgierskie, gdy ponad cztery miesiące, od 21 marca do 1 sierpnia 1919 r., trwała tam dyktatura „czerwonych".

Po odejściu płk. Rybaka powołano mjr. Bołdeskuła na opróżnione stanowisko szefa Oddziału Informacyjnego, ale misję radiowywiadowczą kontynuował.

eprasa.pl 91c3417b27

Najważniejszym i wkrótce rozwiązanym problemem stało się już latem 1919 r. przełamanie (dekryptaż) szyfrów bolszewickich.

W połowie 1920 r., gdy wojna z bolszewikami trwała na całego, szefem Oddziału II NDWP był nadal mjr Karol Bołdeskuł, a jego centrala liczyła wówczas – wedle Andrzeja Pepłońskiego [„Niepodległość i Pamięć" 1995, nr 2 (3)] – 109 oficerów. Bołdeskułowi podlegało sześć sekcji – biur. Podstawową rolę w organizowaniu wywiadu odgrywała Sekcja II, a więc Biuro Wywiadowcze, kierowane nadal przez mjr. Ignacego Matuszewskiego. Biuro to składało się z kilku wydziałów ofensywnych, czyli wywiadu rozpracowującego sąsiadów Polski, i defensywnego, czyli kontrwywiadu. Zadania związane z prowadzeniem wywiadu przeciwko Rosji sowieckiej wykonywał Wydział IV. Szef tego wydziału – por. Wacław Jędrzejewicz – kontrolował działalność oddziałów wywiadu w dowództwach frontów na wschodzie. Ponadto miał zwierzchnictwo nad wywiadem „dalekim", sięgającym Japonii, Chin, Persji, Turcji i Syberii.

Oddziałom wywiadu frontów podlegał aparat wywiadowczy na szczeblu armii, grup i dywizji, a one z kolei dysponowały oficerami i podoficerami wywiadowczymi w pułkach, batalionach i kompaniach. Dopływ wiadomości o oddziałach sowieckich zapewniały: patrole wywiadowcze, podsłuch telefoniczny i telegraficzny, wywiad radiowy, zdobywanie jeńców, przesłuchiwanie uciekinierów itd. Informacji z zaplecza frontu miały dostarczać placówki wywiadowcze tworzone zarówno przez Biuro Wywiadowcze, jak i poszczególne oddziały II, a przede wszystkim wywiad POW.

W związku z ciągłym wycofywaniem polskich sił pozostawiano rezydentów i uruchamiano placówki wywiadowcze, które miały rozpocząć działalność po wkroczeniu bolszewików. Przynosiło to jednak niewielkie rezultaty, ponieważ coraz trudniej było przekroczyć linię frontu od strony sowieckiej. Kurierzy docierający z meldunkami do oddziałów II dostarczali z reguły wiadomości, które były już nieaktualne.

Łączność z niektórymi placówkami utrzymywano jednak z terenu państw bałtyckich. Attaché wojskowy w Rydze mjr Aleksander Myszkowski utworzył np. w tym okresie kilkuosobową placówkę (Agentura „Dor"), która zdobywała informacje nie tylko o dyslokacji wojsk sowieckich, lecz także o tworzeniu nowych.

Porucznik Jan Kowalewski, który złamał szyfr sowiecki FOT. WIKIPEDIA

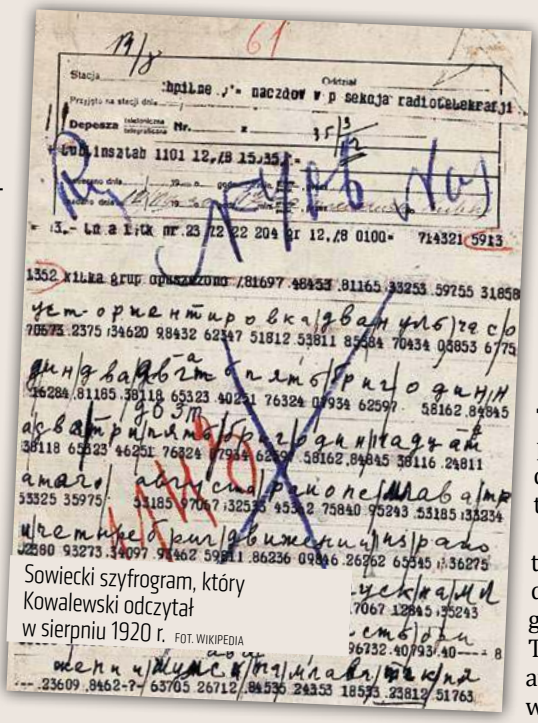

Sowiecki szyfrogram, który Kowalewski odczytał w sierpniu 1920 r. FOT. WIKIPEDIA

I tak 1 sierpnia Agentura „Dor" informowała o wysłaniu ze Smoleńska do Mińska nowo sformowanej w Samarze tzw. Wołżańskiej Brygady Komunistów, złożonej z pułku im. Steńki Razina w sile 1,2 tys. bagnetów i 39 ckm-ów oraz Samarskiego Pułku Komunistów liczącego 800 bagnetów i 22 ckm-y, a także „Proletariackiej Drużyny" – 600 bagnetów i 6 ckm-ów. W Smoleńsku i Rosławlu stacjonowały nadal rezerwowe kadry frontu zachodniego liczące razem ok. 45 tys. żołnierzy. Z Moskwy do Mińska wysłano 6. Specjalny Pułk Moskiewski – 1 tys. bagnetów i 30 ckm-ów, utworzony z robotników, członków moskiewskich organizacji partyjnych.

Informacji o wrogu dostarczał – przy pełnej dominacji polskich skrzydeł w powietrzu – zwiad lotniczy. Podczas odwrotu jego zaplecze i sprzęt zostały jednak latem 1920 r. mocno przetrzebione. Eskadry odrodziły się w pełni podczas Bitwy Warszawskiej.

Jednak naprawdę kolosalną przewagę nad bolszewikami dał nam wywiad radiowy po złamaniu bolszewickiego szyfru przez por. Jana Kowalewskiego. W tej sytuacji podstawowym i niezawodnym źródłem informacji – ścisłych i aktualnych! – były dane dostarczane przez polski nasłuch i dekryptaż.

Depesze były odczytywane i tłumaczone w ciągu kilku godzin. Józef Piłsudski podaje w „Roku 1920" przykład szyfrogramu przejętego 9 sierpnia 1920 r. o godz. 20.45 ze sztabu 16. Armii sowieckiej, adresowany do jej pięciu dywizji. Sekcja Szyfrów Oddziału II 1. Armii odczytała go tego samego dnia o godz. 24. Treść depeszy została natychmiast przekazana juzem do Biura Wywiadowczego Oddziału II NDWP, a stamtąd do sztabu generalnego.

Tutaj wyjaśnijmy, że juzem zwano telegraf Hughesa – urządzenie służące do przekazywania informacji na odległość za pomocą linii telegraficznych. To pierwszy w historii rodzaj telegrafu automatycznie zapisującego treść wiadomości literami, a nie alfabetem Morse'a, był więc przodkiem dalekopisu. Opatentowany w 1855 r. w USA, był chętnie używany w gospodarce oraz w wojskowości jeszcze podczas drugiej wojny światowej.

„Delegat" złamany

W lipcu 1919 r. do służby w Oddziale Wywiadowczym NDWP przyjęto por. Jana Kowalewskiego, gdy z 4. Dywizją Strzelców gen. Lucjana Żeligowskiego dotarł z południa Rosji do kraju. Ów absolwent łódzkiego gimnazjum handlowego i Politechniki w Liège, znakomity matematyk, podczas wojny służył m.in. w rosyjskich oddziałach radiotelegraficznych. Znał doskonale kilka języków, a można wnosić, że po rosyjsku

eprasa.pl 91c3417b27

Wnętrze działobitni w Cytadeli, gdzie znajdowała się centrala naszego radiowywiadu FOT. ARCHIWUM

potrafił pisać, czytać, mówić, liczyć, a nawet myśleć. Znał język żywy, używany na co dzień, i rosyjską literaturę oraz poezję, doskonale poznał wojskowe procedury i schematy rosyjskich dokumentów operacyjnych oraz terminologię, zwroty, redakcję rozkazów i meldunków oraz procedury obowiązujące w radiotelegrafii. Bądź co bądź, sam je pisał, czytał oraz szyfrował.

Judith Hare (wedle opublikowanej w Londynie w 1952 r. biografii Jana Kowalewskiego; za: G. Nowik op. cit.) źródła jego sukcesu w złamaniu szyfru bolszewickiego upatruje w ślubie siostry kolegi z Biura Szyfrów por. Sroki. Otóż Kowalewski zgodził się go zastąpić podczas dwutygodniowego urlopu i czytał przejmowaną korespondencję radiową w różnych językach. Zamążpójście panny Sroczanki zapoczątkowało serię wypadków, których następstwa wpłynęły nie tylko na bieg życia Jana, lecz także na wynik wojny z bolszewikami. A zdarzyło się to w sierpniu 1919 r. – dokładnie rok przed Bitwą Warszawską.

„Trzeciego dnia w pakiecie ze stacji radiotelegraficznej Lwów – pisała J. Hare – znalazł dwa intrygujące telegramy, zapisane kaligraficznym pismem przez podchorążego, który nawet zakreślił ramkę wokół tekstu. Pierwszy telegram był adresowany do dowództwa sowieckiej 12. Armii w Kijowie, podpisany przez dowódcę Grupy (Operacyjnej) Jonę E. Jakira oraz jego szefa sztabu. Drugi był całkowicie zaszyfrowany, z wyjątkiem pierwszego słowa, »Delegat«, które było ujęte w cudzysłów. Świetnemu matematykowi, jakim był Jan, gdy patrzył na rosyjskie telegramy, zaświtała w głowie pewna myśl. Chodziło o znalezienie punktu zaczepienia, słabego punktu szyfrogramu… Wiedział, że w szyfrogramie musi się znaleźć słowo »dywizja", oraz nazwisko dowódcy w podpisie. Słowo »dywizja« ma w języku rosyjskim charakterystyczny układ, każda druga litera w sylabie – to litera »i« – »и« (»дивизия«). Kowalewski wyłamał zęby grzebienia w regularny sposób i przesuwając nim po tekście, szukał takiej sekwencji znaków (cyfr, które zastępowały w szyfrogramie każdą literę), gdzie co druga grupa (dwóch cyfr) będzie się powtarzała. Gdy znalazł – dysponował już pięcioma literami (jedną piątą alfabetu), kolejne odkrył dzięki ewidentnemu błędowi szyfrującego, podającego nazwisko dowódcy i szefa sztabu tekstem otwartym".

Aby złamać do końca ów pierwszy, stosunkowo nieskomplikowany rosyjski szyfr „Delegat", w którym dwie cyfry zastępowały jedną literę alfabetu, a do uzyskanego rzędu cyfr dodawano 12 cyfr klucza, trzeba było jeszcze zidentyfikować sześć odrębnych grup cyfr, skąd brało się sześć wersji szyfru. Dla por. Kowalewskiego nie było to już zadanie nazbyt trudne.

Ścisłe i aktualne…

Hare pisała: „Złamanie rosyjskich szyfrów przez Jana zelektryzowało Naczelne Dowództwo Wojska Polskiego. Szef Sztabu Generalnego polecił Janowi zorganizowanie dekryptażu. Porucznik Jan Kowalewski osiągnął bardzo wysoki poziom skuteczności, tak że Polacy czytali praktycznie wszystkie telegramy wysyłane i odbierane przez Armię Czerwoną". Podczas wojny 1920 r. komórki dekryptażu znajdowały się przy dowództwach wszystkich naszych dużych związków operacyjnych. Dawały one Wojsku Polskiemu najsilniejszy oręż, który walnie przyczynił się do zwycięstwa.

Naczelny Wódz marszałek Józef Piłsudski tak pisał w „Roku 1920": „Podstawowym źródłem informacji były dane ujawniane przez radiowywiad. Przechwytywane depesze sowieckie zawierały dane ścisłe i aktualne. Bardzo często zdobywano w ten sposób tajne rozkazy z informacjami o składzie sił, planowanej marszrucie, rejonach koncentracji, terminach i kierunkach najbliższych uderzeń. Ujawniana treść szyfrogramów sowieckich zawierała również wiadomości o położeniu naszych wojsk, którymi dysponował nieprzyjaciel… Można było określić najsłabsze punkty atakujących sił bolszewickich, ustalić uchybienia w łączności między poszczególnymi oddziałami, braki w zaopatrzeniu w amunicję. Z adnotacji na odnalezionych depeszach przechwyconych przez nasz radiowywiad wynika, że były one odczytywane i tłumaczone w ciągu kilku godzin".

Dodajmy, że czytywano depesze bolszewickie ze wszystkich frontów wojny domowej: na Ukrainie, w południowej Rosji i na Kaukazie. Jan Kowalewski złamał także wcześniej szyfry używane przez Armię Ochotniczą gen. Denikina i „białą" Flotę Czarnomorską, a także stosowane przez Armię Ukraińskiej Republiki Ludowej. Dało to możliwość śledzenia wydarzeń na rozległych terenach Rosji od Syberii do Piotrogrodu oraz od Murmańska do Morza Czarnego i podejmowania w odpowiednim czasie również odpowiednich decyzji politycznych przez polskie władze państwowe z Naczelnikiem Państwa, premierem i szefem dyplomacji.

Zakończmy niebywale szczęśliwym dla nas zdobyciem Ciechanowa 15 sierpnia 1920 r. przez 203. Ochotniczy Pułk Ułanów Kaliskich. Przejęto wtedy kancelarię sztabu 4. Armii sowieckiej i jedną z dwóch jej radiostacji, utrzymujących łączność z dowództwem w Mińsku. Szybko przestrojono największy polski nadajnik na częstotliwość sowiecką. Tak skutecznie zagłuszano nadajniki wroga, nadając 36 godzin bez przerwy Nowy Testament (akurat był jedynym dostatecznie długim tekstem pod ręką), że druga z sowieckich radiostacji stała się bezużyteczna. 4. Armia jeszcze parę dni szła nad dolną Wisłę na zatracenie, a tymczasem nasza 5. Armia gen. Władysława Sikorskiego za jej plecami uderzyła w bok sił atakujących Warszawę. A kropki i kreski Ewangelii w alfabecie Morse'a polskiej radiostacji nakładały się na rozpaczliwe meldunki i rozkazy bolszewickie. Symboliczny moment...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 91c3417b27

Wydawnictwo Znak Horyzont poleca:

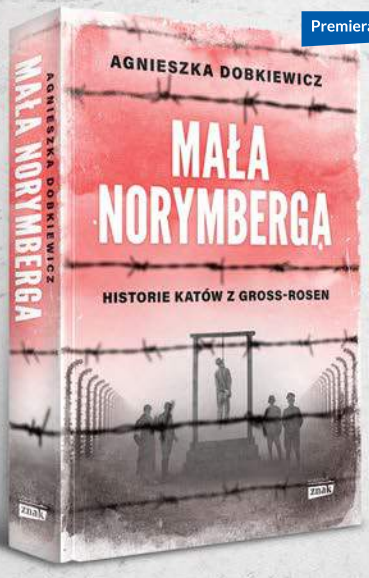

Premiera 12 sierpnia

Agnieszka Dobkiewicz, Mała Norymberga

Lato 1946 roku, Świdnica. W atmosferze sensacji do miasta przybywa transport więźniów – byłych esesmanów, obozowych katów. Sześć spraw i dziesięć życiorysów, które pokazują koszmar obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Współcześni zaczynają nazywać ten proces polską Norymbergą.

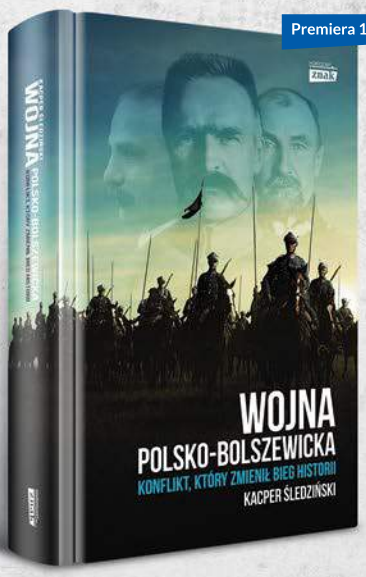

Premiera 12 sierpnia

Kacper Śledziński, Wojna polsko-bolszewicka

W setną rocznicę wybuchu wojny polsko-bolszewickiej zobacz na własne oczy, jak wyglądała batalia Polaków o odzyskanie wolności. Przekonaj się sam o trudach podejmowania decyzji w czasach politycznego chaosu. Weź udział w heroicznym zwycięstwie nad Armią Czerwoną.

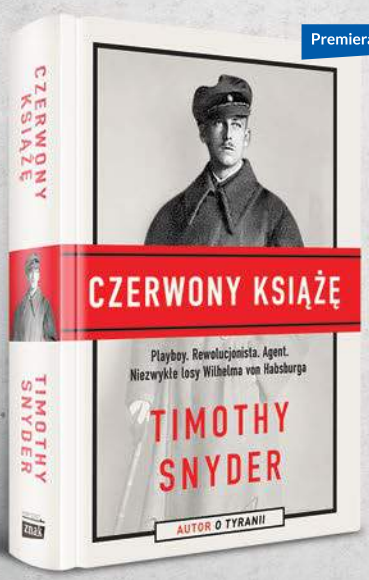

Premiera 29 lipca

Timothy Snyder, Czerwony książę

Niezwykłe losy Wilhelma von Habsburga to historia jednej z najbardziej oryginalnych postaci XX wieku – potomka wielkiej dynastii, z wyboru Ukraińca, rewolucjonisty, biseksualisty i alianckiego agenta.

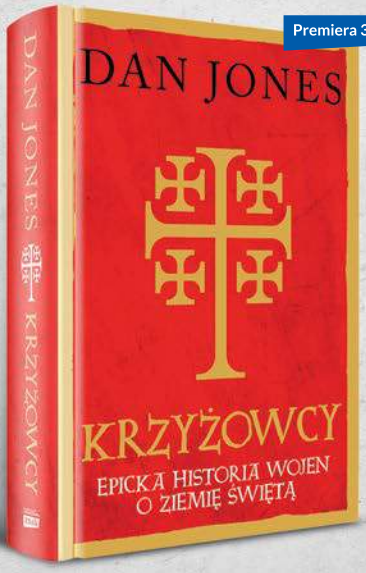

Premiera 30 września

Dan Jones, Krzyżowcy

Przez ponad tysiąc lat chrześcijanie i muzułmanie żyli obok siebie. Dopiero zajęcie Jerozolimy przez wojska chrześcijańskie rozpaliło tlący się między nimi konflikt. Rozpoczęła się era krucjat. Dan Jones tworzy pełny i wielowymiarowy obraz tej epoki, oddając głos także „niewiernym".

HORYZONT znak

eprasa.pl 91c3417b27

Żołnierze Ukraińskiej Republiki Ludowej w Kijowie, maj 1920 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Przeciw Sowietom / Wspólna walka o wolność

Zapomniany sojusznik

Mirosław Szumiło

W 1920 r. nie byliśmy sami. U boku Wojska Polskiego z bolszewikami dzielnie biła się armia Ukraińskiej Republiki Ludowej

Armia Ukraińskiej Republiki Ludowej, która nigdy nie zdążyła się porządnie zorganizować ani rozbudować, od końca 1918 r. musiała prowadzić wojnę aż na trzech frontach – przeciwko bolszewikom, „białym Rosjanom" i Polakom. Walki na tym ostatnim froncie miały najmniej intensywny charakter i toczyły się przy użyciu dość niewielkich sił z obu stron, bez formalnego wypowiedzenia wojny. Po zdobyciu zachodniej części Wołynia 1 września 1919 r. Polacy zawarli rozejm z Ukraińcami. Józef Piłsudski dążył do sojuszu z Ukraińską Republiką Ludową w celu realizacji swojego strategicznego planu rozbicia i osłabienia Rosji. Musiał jednak poczekać na porażkę „białych Rosjan" gen. Antona Denikina, który nie akceptował w żadnej formie państwowości ukraińskiej.

Na początku grudnia 1919 r. armia i rząd URL znalazły się w „trójkącie śmierci" w okolicach Lubaru na Wołyniu, bez możliwości dalszego odwrotu. Na północy znajdowali się bolszewicy, na wschodzie i południu białogwardziści, na zachodzie – Polacy. Armia wskutek epidemii tyfusu szybko traciła zdolność bojową. W tej sytuacji postanowiono, że zdolne do walki oddziały pod dowództwem gen. Mychajły Omelianowycza-Pawłenki wyruszą w tzw. pochód zimowy, czyli partyzancki rajd na tyły Denikina i bolszewików. Żołnierze, którzy z powodu chorób i ran nie mogli wyruszyć w pochód, zostali rozbrojeni przez Polaków i przetransportowani do obozu internowania w Łańcucie, gdzie ich traktowano jako „ochotników obcej przynależności państwowej". Natomiast ataman główny armii URL Symon Petlura 5 grudnia 1919 r. wyjechał do Warszawy na zaproszenie Piłsudskiego.

„Pochód zimowy" armii gen. Pawłenki trwał pięć miesięcy. W tym czasie armia przeszła na tyłach wojsk „białych" i „czerwonych" ponad 2,5 tys. km. Stoczyła ponad 50 znaczniejszych bojów i kilkaset potyczek. W styczniu 1920 r. bolszewicy wyparli Denikina na Krym, zajmując niemal całą Ukrainę. Wprowadzony przez nich komunizm wojenny, polegający na brutalnym ściąganiu obowiązkowych dostaw żywności od chłopów, nastawił przeciwko nim ukraińską wieś. Wybuchały lokalne powstania i powstawały samorzutnie oddziały partyzanckie, dowodzone przez różnych atamanów, którzy kontrolowali znaczne obszary kraju. Generał Pawłenko starał się sko-

eprasa.pl 91c3417b27

ordynować i podporządkować sobie ruch powstańczy, co udało się tylko częściowo.

Bezruczko i Udowyczenko

W ciągu zimowych miesięcy Piłsudski szykował się po cichu do ofensywy na Kijów. Już w lutym 1920 r. rozpoczęło się formowanie ukraińskich jednostek wojskowych w Polsce, w postaci 6. Siczowej Dywizji Strzelców pod dowództwem płk. Marka Bezruczki oraz 2. Dywizji Strzelców, którą dowodził płk Ołeksandr Udowyczenko. Obie kadrowe dywizje w końcu kwietnia 1920 r. osiągnęły w sumie stan zaledwie 556 oficerów, 3348 żołnierzy, 11 armat i 65 karabinów maszynowych. Generał Tadeusz Kutrzeba oceniał je następująco: „Stan fizyczny tej armii był średni, gdyż duża część kozaków w ubiegłej zimie chorowała na tyfus. Pod względem uposażenia w sprzęt panowały duże braki, uderzała mała ilość dział i karabinów maszynowych. Natomiast silne były kadry oficerskie i dobry był stan moralny tego wojska, co pozwalało sądzić, że kadry te potrafią się dobrze rozwinąć w pełne dywizje, otrzymawszy lokalne uzupełnienie na Ukrainie".

Tajne rokowania polsko-ukraińskie zakończyły się w nocy z 21 na 22 kwietnia 1920 r. podpisaniem w Warszawie „umowy politycznej pomiędzy Polską i Ukraińską Republiką Ludową". 25 kwietnia rozpoczęła się słynna wyprawa kijowska. Historycy często zarzucają Piłsudskiemu, że pomimo uzyskanych około połowy kwietnia informacji wywiadu o koncentracji głównych sił Armii Czerwonej na Białorusi nie zrezygnował z planu ofensywy na Ukrainie. Zapominają przy tym, że celem operacyjnym ofensywy kijowskiej było możliwie szybkie sformowanie armii ukraińskiej, która przejmie na siebie obronę Ukrainy i pozwoli tym samym przerzucić główne siły polskie na północ.

Ofensywa sprzymierzonych rozwijała się początkowo bardzo pomyślnie. W ciągu trzech dni Polacy zdobyli Żytomierz, Koziatyn i Berdyczów, biorąc masę jeńców i sprzętu wojennego. Po pierwszym sukcesie polskie natarcie zostało jednak wstrzymane na 10 dni. Kolejne uderzenie trafiło już w próżnię, ponieważ przeciwnik wycofał się za Dniepr. 7 maja oddziały 3. Armii gen. Śmigłego-Rydza zajęły opuszczony Kijów. Wobec 60 tys. nacierających żołnierzy polskich obecność u ich boku 4 tys. Ukraińców miała głównie znaczenie propagandowe. 2. Dywizja płk. Udowyczenki zdobyła Mohylów Podolski nad Dniestrem. 6 Dywizja Siczowa pozostawała w rezerwie, a jej pierwszą „akcją" był udział 9 maja w paradzie zwycięstwa w Kijowie.

6 maja oddziały gen. Pawłenki zakończyły swój heroiczny „pochód zimowy" na tyłach wroga, przebijając się przez linię frontu w rejonie Jampola nad Dniestrem. Piłsudski zamierzał rzucić armię ukraińską do samodzielnego ataku na Odessę, dając mu tylko niewielkie wsparcie ze strony polskiej. Okazało się to jednak niemożliwie, ponieważ oddziały Pawłenki znajdowały się w fatalnym stanie. Po zakończeniu rajdu partyzanckiego liczyły zaledwie 479 oficerów i 3840 szeregowych, wyposażonych w 12 dział i 81 karabinów maszynowych. Polskie dowództwo oceniało, że jedynie kawaleria nadaje się do natychmiastowego użycia na froncie. Piechota była zaś „źle ubrana, obdarta, bosa i częściowo nieuzbrojona". Wojsko ukraińskie wymagało odpoczynku i reorganizacji, a przede wszystkim rozbudowy liczebnej oraz dostaw broni i amunicji.

Armia URL

Strona polska liczyła na to, że Petlura zorganizuje armię w sile sześciu silnych dywizji wedle polskich etatów (czyli 72 tys. żołnierzy), która będzie w stanie samodzielnie bronić całego frontu od granicy z Rumunią do Kijowa. Zgodnie z zawartą 24 kwietnia polsko-ukraińską konwencją wojskową Naczelne Dowództwo WP zobowiązało się dostarczyć armii ukraińskiej broń, amunicję, ekwipunek i odzież w ilości potrzebnej dla trzech dywizji. Resztę musieli zdobyć sobie sami. Werbunek ochotników przyniósł niewielkie rezultaty, chłopi ukraińscy byli bowiem zmęczeni trwającą już sześć lat wojną. Wobec Polaków nie zachowywali się wrogo, ale z dużą dozą nieufności. Obawiali się powrotu polskich właścicieli ziemskich, którzy zabiorą im ziemię rozdaną przez bolszewików. Również wielu oficerów i żołnierzy WP zachowywało się na Ukrainie jak w podbitym, a nie sojuszniczym kraju.

Piłsudski liczył na wykorzystanie dość silnej partyzantki antybolszewickiej, sympatyzującej z Petlurą. W liście do premiera Leopolda Skulskiego pisał: „Ze wszystkich stron donoszą mi o różnego rodzaju oddziałach, które powstają i powstały przed naszym frontem, napadają na cofających się bolszewików, rozbijając ich i walcząc ze zmiennym szczęściem z bolszewikami. Niekiedy oddziały takie dochodzą w swej liczbie do 5–6 tysięcy uzbrojonych ludzi. Niektóre z tych oddziałów meldują się u naszych dowódców, prosząc o rozkazy, wskazówki i ewentualną pomoc". Oddziały powstańcze niechętnie wstępowały jednak do regularnej armii i nie chciały podporządkować się dyscyplinie. Z reguły operowały aktywnie na terenie swojego powiatu, nie wychylając się poza jego granice. Chociaż atamani działali często w poro-

eprasa.pl 91c3417b27

Ataman Symon Petlura i gen. Edward Śmigły-Rydz

FOT. WIKIPEDIA

zumieniu z władzami URL, to podlegli im chłopi kierowali się zazwyczaj tylko chęcią rewanżu na lokalnej administracji bolszewickiej.

W tej sytuacji jedynym sposobem na powiększenie armii ukraińskiej było przeprowadzenie powszechnej mobilizacji. Jednakże opieszałość władz URL i utrudnienia czynione przez polskich dowódców sprawiły, że rozporządzenie o mobilizacji do wojska roczników 1896–1898 ogłoszono dopiero 25 maja i praktycznie nie wprowadzono go w życie. Częściowa mobilizacja została przeprowadzona tylko w powiatach naddniestrzańskich (Jampol i Mohylów Podolski), dając 6 tys. rekrutów. Na początku czerwca armia ukraińska osiągnęła stan żywieniowy ponad 21 tys. żołnierzy, co oznaczało 10 tys. bagnetów i szabel w stanie bojowym.

Po uzupełnieniach armia URL miała być zorganizowana w systemie trójkowym. Trzy sotnie (kompanie) tworzyły kureń (batalion), trzy kurenie – brygadę, trzy brygady – dywizję strzelców. W skład każdej dywizji wchodziły także: brygada artylerii, pułk konny, kureń techniczny (saperzy) i różne służby pomocnicze. Od początku czerwca armię tworzyło sześć dywizji strzelców: 1. Zaporoska, 2. Wołyńska, 3. Żelazna, 4. Kijowska, 5. Chersońska i 6. Siczowa. Żadna z nich nie osiągnęła jednak pełnego stanu etatowego, wszystkie miały charakter kadrowy. Później, podczas walk odwrotowych, utworzono nowe jednostki: Samodzielną Dywizję Konną i 1. Dywizję Karabinów Maszynowych. Siłę ognia poważnie wzmocniły trzy pociągi pancerne: „Karmeluk", „Zaporożec" i „Czernomorec". Latem 1920 r. na Polu Mokotowskim w Warszawie sformowano ponadto 1. Zaporoski Samodzielny Oddział Lotniczy, posiadający na wyposażeniu osiem samolotów zwiadowczych produkcji niemieckiej.

Jak słusznie zauważył gen. Kutrzeba: „Z punktu widzenia operacyjnego przegraliśmy na Ukrainie, gdyż nie potrafiliśmy jej obronić do czasu powstania wojska ukraińskiego przeznaczonego do tego zadania". Czasu było zdecydowanie za mało, ponieważ już 5 czerwca 1920 r. bolszewicka 1. Armia Konna Siemiona Budionnego przełamała linię frontu na południe od Kijowa i wyszła na tyły wojsk polskich. W tej sytuacji dowódca 3. Armii gen. Edward Śmigły-Rydz nakazał opuszczenie Kijowa i odwrót na zachód.

Wspólnie przelana krew

Podczas walk odwrotowych armia ukraińska broniła południowego odcinka frontu nad Dniestrem, stanowiąc silną i aktywną osłonę prawego skrzydła wojsk polskich. Cofając się na zachód, armia ukraińska kolejno zatrzymywała się na naturalnych liniach obronnych w postaci rzek wpadających do Dniestru. Zadania jej powierzane były coraz trudniejsze. Początkowo broniła 35 km frontu, a po przejściu za Dniestr ponad 100 km. Szczególnie ciężkie walki toczono na linii Zbrucza pod Husiatynem. Obserwujący te starcia polski oficer łącznikowy raportował: „W stosunku do bolszewików panuje zawziętość, polegająca na wzajemności. Jeńców biorą mało,

eprasa.pl 91c3417b27

Groby żołnierzy Ukraińskiej Republiki Ludowej na cmentarzu prawosławnym w Warszawie FOT. WIKIPEDIA

przeważnie schwytanych zabijają". Armia ukraińska poniosła w tych walkach znaczne straty w ludziach.

W tym czasie 6. Dywizja Siczowa płk. Bezruczki pozostawała w składzie polskiej 3. Armii i po wycofaniu się z Kijowa walczyła na terenach południowego Polesia. Na początku lipca 1920 r. toczyła ciężkie walki nad rzeką Uborć, broniąc 15 km odcinka frontu na północ od Olewska. W walkach pod wsią Perga z sukcesem odpierała ataki znacznie silniejszej bolszewickiej 58. Dywizji. Męstwo żołnierzy ukraińskich zostało podkreślone w komunikatach operacyjnych Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego. 4 lipca donoszono, że oddziały ukraińskie, „walcząc bez przerwy prawie przez 12 godzin, odbiły czterokrotnie ataki nieprzyjacielskie. Podczas odpierania ataków dochodziło kilkakrotnie do walki wręcz. Straty nieprzyjaciela bardzo ciężkie".

W sierpniu 1920 r., po wycofaniu się za Bug, płk Bezruczko otrzymał rozkaz zorganizowania polsko-ukraińskiej Grupy Zamość, mającej bronić miasta i przepraw na rzece Huczwie. Obrona Zamościa przed 1. Armią Konną Budionnego, która w dniach 29–31 sierpnia bezskutecznie szturmowała miasto, przeszła do legendy. W tym czasie większość jednostek 6. Dywizji Siczowej walczyła de facto na wschód od Zamościa, w rejonie Miączyna i Grabowca. W samym mieście pozostało tylko 400 żołnierzy ukraińskich ze sztabu dywizji i z kurenia saperów, który zbudował mocne zasieki i gniazda oporu. Polsko-ukraińską załogą Zamościa dowodził jednak płk Bezruczko, jako najstarszy rangą oficer, i robił to znakomicie.

Jeszcze większą rolę w obronie Polski przed bolszewicką nawałą odegrały siły główne armii URL, które pod dowództwem gen. Omelianowycza-Pawłenki broniły w sierpniu 1920 r. liczącego prawie 150 km odcinka rzeki Dniestr od granicy rumuńskiej aż do rejonu Mikołajowa. Pozwoliło to na przerzucenie kilku polskich jednostek na północ, gdzie pod Warszawą i nad Wieprzem rozstrzygały się losy wojny. Armia ukraińska nie tylko odciążała front polski, lecz także osłaniała bardzo ważne strategiczne połączenie kolejowe z Rumunią. Wobec negatywnego nastawienia Niemiec i Czechosłowacji przez terytorium rumuńskie wiodła jedyna bezpieczna droga, którą mogły bez zakłóceń płynąć do Polski z zachodu Europy dostawy broni, amunicji i innego materiału wojennego. Tą drogą dotarł także słynny transport amunicji z Węgier.

Po klęskach bolszewików pod Lwowem i Zamościem armia ukraińska wraz z całym polskim frontem południowym ruszyła do ofensywy. 21 września 1920 r. przekroczyła linię Zbrucza i zdobyła Kamieniec Podolski, wracając na swoje terytorium państwowe. Tego dnia rozpoczęły się polsko-bolszewickie rokowania pokojowe w Rydze, w których polska delegacja już na starcie porzuciła swojego ukraińskiego sojusznika, uznając władze Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. Do czasu wejścia w życie rozejmu w dniu 18 października armia URL opanowała pas terenu do 150 km na wschód od Zbrucza. Druga wyprawa kijowska była możliwa, ale polscy politycy postanowili za wszelką cenę przerwać wojnę.

Tego dnia Józef Piłsudski w rozkazie pożegnalnym do wojsk ukraińskich napisał: „Wspólnie przelana krew i groby bohaterów są kamieniem węgielnym na drodze do wzajemnego porozumienia i sukcesu obu narodów. Obecnie po dwóch latach ciężkich walk z barbarzyńskim najeźdźcą żegnam się ze wspaniałymi wojskami Ukraińskiej Republiki Ludowej i stwierdzam, że podczas najcięższych chwil, w nierównej walce, niosły one wysoko swój sztandar, na którym wypisane było hasło »Za waszą i naszą wolność«, co jest symbolem każdego uczciwego żołnierza".

Petlura postanowił samodzielnie kontynuować walkę z bolszewikami, opierając się na wyzwolonym obszarze Podola i ruchu powstańczym rozwijającym się na tyłach wroga. Miało to szanse powodzenia tylko przy wykorzystaniu czynnika zaskoczenia. Natarcie przełożono jednak na 11 listopada. Bolszewicy zdążyli zgromadzić wystarczające siły i wyprzedzającym uderzeniem zadać śmiertelny cios armii URL. Po 10 dniach zaciętych walk prawie 20 tys. Ukraińców wycofało się za Zbrucz i trafiło do polskich obozów internowania. Walka była skończona.

W decydującym momencie wojny oddziały ukraińskie stanowiły tylko ok. 5 proc. wszystkich sił sprzymierzonych, jednakże ich udział w polskim zwycięstwie jest niezaprzeczalny. Stąd też wojnę 1920 r. należy w istocie traktować jako wojnę polsko-ukraińsko-bolszewicką. Żołnierze ukraińscy wciąż czekają na godne upamiętnienie w naszym kraju, choćby w postaci pomnika wschodnich sojuszników Polski w 1920 r. Również na Ukrainie pamięć o nich nie jest rozpowszechniona. Jak stwierdził w swojej książce ukraiński historyk dr Andrij Rukkas: „Godnym dziedzicem i kontynuatorem tradycji bojowych Armii URL powinny zostać współczesne Siły Zbrojne niepodległej Ukrainy, których żołnierze powinni wychowywać się na dokonaniach bohaterów 1920 r.".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Przy pisaniu artykułu korzystałem przede wszystkim z książki Andrija Rukkasa „Razem z Wojskiem Polskim. Armia Ukraińska Republiki Ludowej w 1920 roku", Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2020.

Dr hab. Mirosław Szumiło jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN, profesorem UMCS w Lublinie.

ANDRIJ RUKKAS
„RAZEM Z WOJSKIEM POLSKIM. ARMIA UKRAIŃSKIEJ REPUBLIKI LUDOWEJ"
IPN

eprasa.pl 91c3417b27

Wywiad / Z Jakubem Nowakowskim ps. Tomek, żołnierzem batalionu „Zośka”

rozmawia Piotr Włoczyk

Na ratunek Starówce

FOT. DOMINIK RÓŻAŃSKI

Nagle rozpętało się piekło. To był ostrzał z pocisków świetlnych. Dostałem w rękę. Mocno krwawiłem, ale na szczęście kość była cała – opowiada Jakub Nowakowski

PIOTR WŁOCZYK: Kiedy zrozumiał pan, że nie macie szans na pokonanie Niemców w stolicy?

JAKUB NOWAKOWSKI: W nocy z 21 na 22 sierpnia 1944 r. Atakowaliśmy wtedy Dworzec Gdański, próbując przebić się na Starówkę. Natarcie rozpoczęło się o wpół do trzeciej w nocy. Niemcy co pewien czas wystrzeliwali rakietę, żeby oświetlić przedpole. Gdy tylko rakieta gasła, zrywaliśmy się do biegu, aż wystrzelili kolejną, wtedy padaliśmy na ziemię. To był otwarty teren – działki, jakieś kartofliska – nie było tam niczego, za czym można było się schować. My oczywiście nie mieliśmy żadnej cięższej broni. Kiedy byliśmy już naprawdę blisko nich, Niemcy zaczęli swój ostrzał. Nie wiem, czy specjalnie pozwolili nam się tak zbliżyć, czy dopiero wtedy nas zauważyli. Być może wyczekali, aż będą nas mieli jak na widelcu. Rozpoczął się piekielny ostrzał.

Rozumiem, że nie nadużywa pan tego słowa...

Nie, rozpętało się prawdziwe piekło. To był ostrzał z pocisków świetlnych, ekrazytowych. Jakieś pół metra ponad nami powstał sufit z ognia. Kto by spróbował wstać, ten w najlepszym razie byłby ciężko ranny. Jakby tego było mało, jeszcze padały koło nas pociski moździerzowe. Byliśmy przygwożdżeni na amen. Ja byłem w wyjątkowo nieciekawej sytuacji, bo oprócz karabinku miałem też wiązkę butelek z benzyną. Miałem obrzucić nimi baraki przy dworcu.

Co pan z nimi zrobił w tej sytuacji?

Jak to co? Zgarnąłem je pod siebie i chroniłem przed postrzałem (śmiech). Nagle dostałem w rękę. Kula przeleciała wzdłuż ramienia i wyżłobiła w nim rowek. Mocno krwawiłem, ale na szczęście kość nie była przestrzelona. No i najważniejsze, że moje butelki były całe. Szczęśliwym trafem to ja dostałem, a nie one, bo inaczej zamieniłbym się w pochodnię. W każdym razie sytuacja wydawała się

eprasa.pl 91c3417b27

kompletnie beznadziejna. Kolega obok mnie, który nosił lekki karabin maszynowy, poległ. Jędrek Dażwański leżał bez życia, tylko stróżka krwi ciekła mu po szyi.

Niemcy utrzymywali ponad nami ten piekielny sufit przez jakąś godzinę. Ile oni musieli mieć amunicji… Gdy ostrzał zelżał, podpełznął do mnie dowódca naszej drużyny Tadzio Huskowski i powiedział, że to już koniec natarcia – wycofujemy się. Ta nieudana próba przebicia się bardzo podcięła nam skrzydła… W punkcie sanitarnym opatrzyli mnie, dostałem opatrunek i zostałem wysłany na dwutygodniowy urlop. „Idź do domu i wykuruj się" – powiedział Tadzio.

Myślał pan, że w spokoju się pan zregeneruje i szybko wróci do akcji?

Taki był plan. Nasze mieszkanie mieściło się przy ul. Mickiewicza 30, niedaleko pl. Wilsona. Początkowo było spokojnie, aż tu po kilku dniach odpoczynku nagle słyszę „przesuwanie szafy"… Dotychczas „krowy" wściekle ostrzeliwały Starówkę. Tak się złożyło, że pierwsza seria „krowy" na Żoliborz trafiła akurat w nasz blok. W przedpokoju naszego mieszkania widać było niebo... Ale to nie był koniec. Następnego dnia przyleciały sztukasy i zbombardowały nasz blok… Siedzieliśmy wtedy z rodzicami w piwnicy i to był dla mnie chyba najbardziej przerażający moment w czasie powstania. Ceglane ściany dosłownie falowały od wybuchów. Bałem się, że nas wszystkich żywcem zasypie. Wprawdzie służby ratunkowe odkopywały czasem zasypanych, ale mogło być różnie. Sztukasy nie były jednak zbyt celne i blok w większości ocalał. Rodzice przeprowadzili się do znajomych, a ja wróciłem do swojej jednostki. Nie mogłem się doczekać akcji, bo cierpiałem na spory ich niedosyt.

W czasie okupacji nie miał pan wystarczająco dużo okazji, żeby się wykazać? Działał pan przecież w małym sabotażu.

To było polewanie kwasem płaszczy gestapowców, wrzucanie śmierdzących „bomb" do kin czy podłączanie się z patriotycznym przekazem do sieci „szczekaczek". Ale to nie były zbrojne akcje dywersyjne... Do przeprowadzania akcji zbrojnych byli typowani tylko nieliczni. Dlatego nie mogłem się doczekać, aż ręka się zagoi choć trochę i będę mógł wrócić na pierwszą linię.

Z czym pan wracał do akcji?

Z mauzerem, którego dostałem w zamian za steyra. Nawiasem mówiąc, steyry odebraliśmy Węgrom, którzy zostali wzięci do niewoli na Marymoncie. Węgrzy nie chcieli z nami walczyć i poddali się bez problemów. A jeszcze wcześniej miałem błyskawicę – pistolet maszynowy naszej własnej roboty. Nie za bardzo mi jednak pasowała i wolałem ją wymienić na steyra.

Dlaczego? Błyskawica zapewniała panu ogień ciągły, a steyr pojedynczy...

Błyskawica strzelała serią, ale niestety zbyt często się zacinała. To niebezpieczne, szczególnie w bezpośrednim kontakcie z Niemcami. Wolałem karabin dużo bardziej niezawodny, mimo że strzelał ogniem pojedynczym. No i miałem jeszcze granaty, które zdobyliśmy w bardzo ciekawych okolicznościach. W nasze ręce trafiła cała ciężarówka granatów!

Cała ciężarówka?!

Tak, zajmowaliśmy wtedy stanowiska w Wyższej Szkole Pożarniczej (w 1981 r. doszło tam do słynnego strajku). Robiliśmy stamtąd wypady patrolowe do fabryki Opla. To jeszcze był „romantyczny" okres powstania, kiedy wydawało nam się, że walka może faktycznie skutkować uwolnieniem stolicy. Siedzieliśmy w oknach z karabinami, mieliśmy doskonały widok na plac przed „strażą ogniową", jak nazywaliśmy wówczas ten budynek. Niemcy często tam podjeżdżali. Któregoś razu zatrzymała się tam wielka ciężarówka. Kiedy zaczęliśmy do niej strzelać, siedzący w środku Niemcy wyskoczyli i uciekli... Na początku myśleliśmy, że to pułapka. Słyszeliśmy bowiem, że Niemcy robili wcześniej podobne numery. Powstańcy wprowadzali takie pojazdy na swój teren, a oni odpalali ładunki wybuchowe i zabijali mnóstwo ludzi. W końcu jednak zdecydowaliśmy się wprowadzić ciężarówkę do środka. Wówczas okazało się, że zawiera ona skrzynie z granatami w liczbie ok. 4 tys.! Były to małe granaty ręczne zwane „jajkami".

Pociski z wyrzutni rakietowej „Nebelwerfer" nad Warszawą

FOT. WIKIPEDIA/BUNDESARCHIV BILD

Niemcy nie próbowali ich odzyskać?

Sądząc po ich reakcji, krew ich zalała. W niedługim czasie przyjechały ich samochody pancerne i zaczęły walić w budynek straży. Nie zrobiły nam jednak większej krzywdy, a „jajka" były już rozdysponowane pomiędzy powstańców. Ta ciężarówka dała nam mnóstwo radości, bo cały czas walczyliśmy o broń. Liczyła się każda sztuka. Nie zapomnę, jak we wrześniu widzieliśmy samoloty alianckie, które wypuściły zasobniki na spadochronach. Już widzieliśmy oczyma wyobraźni całe to uzbrojenie

eprasa.pl 91c3417b27

i amunicję! Nasza radość zaczęła zamieniać się w rozpacz, gdy zorientowaliśmy się, że wiatr zwiewa je na tereny zajęte przez Niemców…

Walki w stolicy zaczęły się dla pana dosyć pechowo – służył pan w batalionie „Zośka", który w Powstaniu Warszawskim walczył na Woli, Starym Mieście i Czerniakowie w ramach zgrupowania „Radosław". Pan jednak przeszedł powstańczy szlak, walcząc w zgrupowaniu „Żniwiarz"…

Pogotowie bojowe zostało odwołane kilka dni przed powstaniem. To spowodowało ogromny bałagan. Tuż przed powstaniem miałem dyżur na kolonii działkowej na Dolnym Żoliborzu. Moje zadanie ograniczało się do dozorowania tego terenu. Dyżur trwał dwie doby. Kiedy tylko późnym popołudniem 1 sierpnia usłyszałem strzelaninę, wybiegłem z działek i… trafiłem wprost na patrol niemiecki. Niemcy mnie zatrzymali i zaprowadzili do swojej siedziby. Było już tam pełno aresztowanych powstańców. Ci młodzi chłopcy nie mieli broni, ale mieli na sobie plecaki z zaopatrzeniem. Wszystko było jasne – groziła nam egzekucja.

Co was uratowało?

Wśród nas był facet, który doskonale mówił po niemiecku. Bajerował Niemców, że „jesteśmy spokojnymi Polakami" i żeby nas wypuścili. Ten człowiek ocalił nam życie, bo przecież Niemcy zazwyczaj rozstrzeliwali ludzi w takich sytuacjach. No, w najlepszym razie puszczali ich jako żywe tarcze przed swoimi czołgami. Mieliśmy jednak szczęście, że pojmało nas Luftwaffe, a nie SS. Dowódcą Niemców był „tatusiowaty" oficer, który chyba nas wszystkich – bardzo młodych chłopaków – najzwyczajniej w świecie pożałował.

Trzy dni byłem w zgrupowaniu „Żaglowiec", a potem dołączyłem do zgrupowania „Żniwiarz".

W naszym 10-osobowym oddziale większość stanowili żołnierze batalionu „Zośka" odcięci na Żoliborzu. Dowodził nami Tadeusz Huskowski. Dołączyliśmy do 226. Plutonu zgrupowania „Żniwiarz" jako jego czwarta drużyna.

Nie da się ukryć, że w czasie powstania kilka razy miał pan niesamowite szczęście…

Pistolet maszynowy „Błyskawica" i opaska gen. Antoniego Chruściela „Montera"

FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO I INFO-PC.HOME.PL

Tak, szczególnie kiedy na terenie fabryki Opla – obecnie są tam Sady Żoliborskiej – wpadł do zajmowanego przez nas pokoju pocisk artyleryjski. Jeden kolega poległ, drugiemu urwało rękę. Ja akurat wyszedłem z tego pomieszczenia tuż przed eksplozją. Po powrocie widzę tę straszną scenę…

To był siódmy dzień powstania i dopiero wtedy dostałem broń – błyskawicę po zabitym koledze. Wcześniej jako jedyny z oddziału nie miałem broni palnej. To było niesamowicie przykre. Musiały mi przez ten tydzień wystarczyć same granaty.

Jak pan oceniał pod koniec powstania wasze szanse na przeżycie?

Dotarły do nas wprawdzie wiadomości, że dowództwo alianckie uznało nas za kombatantów, ale nie za bardzo wierzyliśmy, iż hitlerowcy będą tego przestrzegali. Prawie do samego końca nie myśleliśmy o złożeniu broni, tylko chcieliśmy jak najdrożej sprzedać skórę. Oceniałem wówczas, że nie wyjdę z powstania żywy.

Ostatnie dni powstania to kompletny dramat – brak amunicji, resztki jedzenia, szykowanie się na najgorsze…

A ja koniec powstania wspominam właśnie najlepiej, bo przez dwa ostatnie dni „użyłem sobie" za cały czas okupacji niemieckiej… Przypomnijmy tylko, że 29 września dywizja czołgów gen. Hansa Källnera szczelnie otoczyła Żoliborz i ze wszystkich stron przypuściła na nas szturm. Poprzedzone to było oczywiście ostrzałem z broni ciężkiej, który trwał chyba nie krócej niż pół godziny. Byłem wtedy z kilkoma kolegami na czujce w Hali Targowej. Wycofaliśmy się stamtąd do bloku przy ul. Słowackiego. Po drodze kolega ustrzelił wtedy piatem panterę.

W tym bloku zajęliśmy dobre stanowisko ogniowe. Mieliśmy doskonały widok na Prochownię, po której przewalały się w tę i we w tę niemieckie czołgi i piechota. Trafiłem wtedy wielu szkopów.

Któryś strzał szczególnie zapadł panu w pamięć?

Tak. Jakiś pancerniak wyszedł ze swojego czołgu, stanął butnie, wziął się pod boki i rozglądał dookoła. Wystrzeliłem, Niemiec padł na ziemię. Jego koledzy wciągnęli go do środka. Reszta czołgów podjechała w to miejsce, ustawiła się w rzędzie i zaczęła walić w okna piwniczne. Wtedy Zbigniew Ostyk-Syrewicz „Kiemlicz" przekazał nam rozkaz wycofania się w kierunku Dolnego Żoliborza. Mieliśmy się przeprawić przez Wisłę pontonami… To wydało mi się kompletnie nierealistyczne. W trakcie tej próby przebicia w kierunku Wisły zostałem postrzelony w prawy nadgarstek i to wyłączyło mnie z walki.

Na sam koniec, w „Szklanym Domu" przy Mickiewicza 34, byłem świadkiem wzruszającej mowy pożegnalnej dowódcy „Żniwiarza" Mieczysława Morawskiego „Szeligi". Powiedział, że byliśmy formacją najdłużej walczącą w powstaniu, lecz właśnie nadszedł rozkaz kapitulacji od Komendy Głównej AK i musimy złożyć broń. Wprawdzie powstanie przegrało, ale walka o niepodległość Polski toczy się nadal…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jakub Nowakowski ps. Tomek (ur. 1924 r.) był żołnierzem batalionu „Zośka". W czasie Powstania Warszawskiego walczył na Żoliborzu w zgrupowaniu „Żniwiarz".

eprasa.pl 91c3417b27

Promocja

Rok 1920 na ostrowskiej ziemi.

Odsłonięcie tablicy w 100. rocznicę Bitwy Warszawskiej

Muzeum-Dom Rodziny Pileckich w Ostrowi Mazowieckiej włącza się w obchody 100. rocznicy zwycięskiej wojny z bolszewicką Rosją. Z tej okazji 20 sierpnia 2020 r. zostanie odsłonięta tablica z nazwiskami poległych żołnierzy w okolicach Ostrowi Mazowieckiej w sierpniu 1920 r.

Wojna bolszewicka toczyła się na ogromnym obszarze, składała się z większych i mniejszych bitew oraz potyczek, a każda z nich miała swój wpływ na ostateczny jej wynik.

W okolice Ostrowi Mazowieckiej dotarła na początku sierpnia 1920 r. Miasto, cały region, a także ówczesne koszary w Komorowie Szkoły Podchorążych Piechoty odegrały znaczącą rolę w walkach na ostrowskiej ziemi. W koszarach reorganizowały się rozbite na Wschodzie oddziały Wojska Polskiego, a także tworzyły nowe, które po krótkim przeszkoleniu kierowano na front. Koszary miały wielkie znaczenie dla odradzającego się Wojska Polskiego, m.in. w dziejach 1 Dywizji Litewsko-Białoruskiej, która formowała się tutaj na przełomie grudnia 1918 r. i stycznia 1919 r. W obliczu zbliżającej się Armii Czerwonej do centrum Polski, na hasło „Ojczyzna w niebezpieczeństwie", powstał w Ostrowi 12 lipca Obywatelski Komitet Obrony Państwa, w skład którego weszli: starosta Władysław Salinger, Leopold Gałczyński, ksiądz Adam Koszutowski, burmistrz Ludwik Mieczkowski, dr Jan Harusewicz, Tadeusz Kwieciński, Bolesław Krzywobłocki, Wacław Topoliński, Gracjan Kamiński, Jan Grochowski, Paweł Michalik, Władysław Bereźnicki, Kazimierz Kruk, Ludwik Witkowski, Karolina Gałczyńska, Stanisława Milewska, Janina Taczanowska oraz Antonina Wnorowska. Ostrowski OKOP zorganizował między innymi 19 wieców oraz wydał trzy własne odezwy w nakładzie 6,5 tys. egz. Ofiarność społeczeństwa i męstwo polskiego żołnierza nie zapobiegły jednak bolszewickiemu „pochodowi za Wisłę" i wkrótce na ulicach Ostrowi pojawili się bojcy z czerwonymi gwiazdami na czapkach.

Od strony Białegostoku cofały się w kierunku stolicy wykrwawione polskie oddziały, którym mimo lokalnych sukcesów nie udało się powstrzymać naporu wroga. Uderzenie rosyjskie od strony Wysokiego Mazowieckiego rozcięło polskie ugrupowanie na dwie części. Grupa południowa gen. Osińskiego wycofała się za Bug, ale utrzymała przyczółek mostowy w Małkini. W okolicach Zambrowa pozostała, zagrożona otoczeniem, grupa gen. Żeligowskiego. Jej niekorzystne położenie spotęgowała sytuacja w rejonie Łomży, gdzie zagrożona obejściem załoga opuściła po kilkudniowej obronie pozycje i wycofała się do Różana. Atak z kierunku Wysokiego Mazowieckiego spowodował wyjście oddziałów bolszewickich na tyły grupy gen. Żeligowskiego, a upadek Łomży sprawił, że została oskrzydlona również jej prawa flanka. Jedyna droga odwrotu w kierunku Warszawy prowadziła przez Ostrów, którą pod koniec 3 sierpnia zajęły oddziały 15 armii sowieckiej (136 pp z 16 dywizji strzelców im. Kikwidze). Wśród żołnierzy przygotowujących się do ataku byli także Ostrowianie. W godzinach porannych 4 sierpnia ruszyło polskie natarcie. Mimo dotkliwych strat Polacy poderwali się do szturmu i brawurowym atakiem, wspierani ogniem artylerii, otworzyli sobie wolną drogę w kierunku Warszawy. Po zażartych walkach o Ostrów oddziały gen. Żeligowskiego utorowały sobie wolną drogę do stolicy. Zaciekłe walki w okolicach Ostrowi Mazowieckiej wyhamowały, zdezorganizowały i zakłóciły działania wojsk bolszewickich, dając tym samym czas na przygotowanie stolicy do obrony.

Według relacji uczestników w boju zginęło ponad 60 polskich żołnierzy. Już po wojnie decyzją burmistrza L. Mieczkowskiego i władz miasta, zostali oni ekshumowani i pochowani uroczyście w zbiorowej mogile na cmentarzu parafialnym. Odnaleziono wówczas tylko 51 ciał.

Po zajęciu Ostrowi bolszewicy zaczęli wprowadzać swoje porządki, organizując tzw. rewkomy. Podobnie jak w innych miastach, tak i u nas znaleźli się zwolennicy nowej władzy. Ustanawianie bolszewickiej administracji odbywało się równolegle z represjami i aresztowaniami przedstawicieli lokalnych władz samorządowych, ziemiaństwa, inteligencji i kleru. W Ostrowi bolszewicy skazali na rozstrzelanie „za zdradę" około 20 oficerów z armii Denikina, których wcześniej wcielili do Armii Czerwonej. Wyzwolenie Ostrowi Mazowieckiej nastąpiło 20 sierpnia o godz. 17 przez oddziały 59 pp z 15 Wielkopolskiej Dywizji Piechoty.

Dorota Socik

eprasa.pl 91c3417b27

1940–1944 / Państwo Francuskie marszałka Pétaina

Tajemnica Vichy

Spotkanie Philippe'a Pétaina z Adolfem Hitlerem, 1940 r. FOT. WIKIPEDIA

Arkadiusz Karbowiak

– Polityka kolaboracji była jedyną polityką, która pozwoliła Francji nie zginąć – mówił premier Laval

Rozpoczęta 10 maja 1940 r. inwazja Wehrmachtu na kraje Europy Zachodniej zakończyła się klęską III Republiki. Jeszcze w czasie działań wojennych niektórzy francuscy politycy i wojskowi uznali, że należy podjąć negocjacje z Niemcami, by zminimalizować rozmiary nadchodzącej militarnej katastrofy. W tej grupie znajdował się m.in. marszałek Philippe Pétain, bohater pierwszej wojny, jeden z głównych architektów ówczesnego zwycięstwa. To właśnie jemu prezydent Albert Lebrun powierzył po rezygnacji premiera Paula Reynauda misję tworzenia rządu. Stojąc na jego czele, 17 czerwca 1940 r. sędziwy marszałek zwrócił się do Niemców z propozycją podjęcia rokowań w sprawie zawieszenia broni. Po dwóch dniach z Berlina nadeszła pozytywna odpowiedź, dzięki czemu już 22 czerwca 1940 r. gen. Charles Huntzinger podpisał w Compiègne akt rozejmowy.

eprasa.pl 91c3417b27

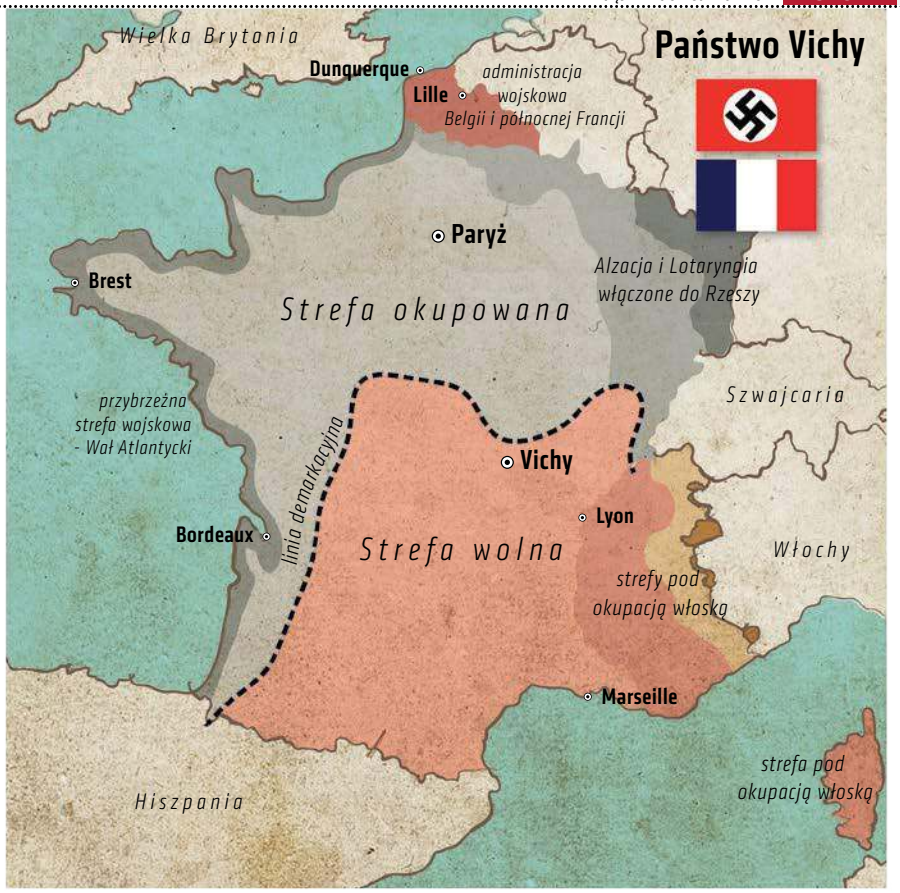

RYS. JACEK GRAMBURG

Dążąc do porozumienia z Francuzami i proponując pokonanym honorowe warunki rozejmu, Hitler okazał się politykiem bardziej pragmatycznym niż Benito Mussolini, przeświadczony o konieczności przejęcia floty oraz okupowania całej Francji. Bez wątpienia rozumiał, że utrzymanie rządu francuskiego we Francji wpłynie na rozpad brytyjsko-francuskiego sojuszu, a pozostanie na swych stanowiskach pracowników administracji i policji zmniejszy wielkość niemieckich sił koniecznych do okupowania francuskiego terytorium. Tym bardziej że pod niemieckim zarządem wojskowym miało się znaleźć dwie trzecie terytorium przedwojennej Francji. Niemcy w akcie rozejmowym zobowiązywali się pozostawić Francuzom całą flotę wojenną, kolonie oraz wyrazili zgodę na funkcjonowanie na południu Państwa Francuskiego. Pétain po podpisaniu rozejmu powiedział: „Honor został ocalony, rząd pozostaje wolny. Francja będzie administrowana przez Francuzów". Siedzibą władz państwowych stała się miejscowość Vichy.

Niedługo po podpisaniu rozejmu, 3 lipca 1940 r., w ramach operacji „Katapult" Brytyjczycy zaatakowali flotę francuską w Mers-el-Kebir w Oranie. Reakcją rządu francuskiego było zerwanie stosunków z Wielką Brytanią. Oczekiwane przez Niemców wypowiedzenie wojny Brytyjczykom nie nastąpiło. Francja zdecydowała się trwać w postawie neutralnej. Uporządkowanie relacji międzynarodowych dało asumpt do wprowadzenia w kraju daleko idących zmian w polityce wewnętrznej, co przełożyło się na zerwanie więzi z dotychczasową demokratyczną tradycją republikańską. Zgromadzenie Narodowe, którego członkowie – wybrani jeszcze w wyborach 1936 r. – w większości będący zwolennikami Frontu Ludowego, liczbą głosów 569 do 80 przekazali pełnię władzy w państwie w ręce marszałka Pétaina, ustanawiając tym samym autorytarną, ale nie faszystowską dyktaturę. Pétain otrzymał tytuł Szefa Państwa, a jego sukcesorem został znany polityk związany w przeszłości z partią socjalistyczną, Pierre Laval.

Zakończenie funkcjonowania demokratycznego systemu oznaczało nadejście ery konserwatywnej „Rewolucji Narodowej". Jej kreatorami byli politycy prawicy związani ze środowiskiem Action Française i ugrupowania Croix-de-Feu (Ogniste Krzyże) przekształconego potem we Francuską Partię Społeczną. Sam lider AF Charles Maurras nazwał wyłoniony z wojennej zawieruchy system rządów „boską niespodzianką".

Laval czy Darlan

Ta nowa konserwatywna Francja, reprezentowana przez marszałka Pétaina, spotkała się 24 października 1940 r. w Montoire z niemieckim narodowo-socjalistycznym przywódcą Hitlerem. Tam, głównie w wymiarze propagandowym, narodziła się idea kolaboracji francusko-niemieckiej, bo prowadzone rozmowy miały de facto czysto kurtuazyjny charakter. Dla przywódców Państwa Francuskiego było oczywiste, że polityka współpracy z Niemcami nie ma alternatywy. Po wojnie Laval słusznie wskazywał: „W interesie Francji w tym czasie (w 1940) było znalezienie wraz z Niemcami formuły, która pozwoliłaby nam uniknąć konsekwencji klęski. Czego żeśmy sobie życzyli? Nie stracić ani metra kwadratowego naszego terytorium… Polityka kolaboracji była jedyną polityką, która pozwoliła Francji nie zginąć".

W grudniu 1940 r. doszło do wewnętrznego przesilenia we władzach Państwa Francuskiego. Jego ofiarą padł Pierre Laval. Marszałek, dostrzegając jego zbyt daleko idącą niezależność, pozbawił go pełnionych funkcji. Reakcja Niemców była bardzo zdecydowana. Berlin dał do zrozumienia, że oczekuje powrotu Lavala, o czym Pétain nie chciał słyszeć. Na swego następcę wyznaczył 10 lutego 1941 r. bardziej uległego admirała Françoisa Darlana. Niemcy zirytowani postawą szefa państwa ochłodzili relacje z rządem francuskim. By wyjść z tej patowej sytuacji, Francja zdecydowała wykroczyć nieco poza sferę polityki neutralności i wspomóc niemieckie działania w Iraku, gdzie 1 kwietnia 1941 r. władzę objął sprzyjający Niemcom przywódca Raszid Ali al-Kilani, który ogłosił niepodległość kraju.

Dostrzegając szansę na osłabienie brytyjskich wpływów na Bliskim Wschodzie, kanclerz III Rzeszy podjął decyzję o udzieleniu militarnej pomocy nowemu irackiemu premierowi. Dostarczana mu broń pochodziła ze składów armii francuskiej i była przewożona samolotami Luftwaffe ze znajdującej pod kontrolą władz Vichy Syrii. Niemiecka pomoc Irakowi zaowocowała 8 czerwca 1941 r.

eprasa.pl 91c3417b27

Żydzi aresztowani w Paryżu
FOT. WIKIPEDIA/BUNDESARCHIV BILD

inwazją sił brytyjskich i Wolnej Francji na Syrię. Rząd Vichy nakazał dowódcy wojsk francuskich w Syrii, gen. Henriemu Dentzowi, stawić zdecydowany opór agresorom, licząc bardziej na docenienie tego gestu przez Berlin niż na rzeczywiste uchronienie kolonii przez okupacją aliantów. Ostatecznie finałem toczonych walk stało się porozumienie o zawieszeniu broni, w którym Brytyjczycy zgodzili się na wycofanie francuskiej Armii Lewantu do Afryki Północnej.

Pomimo wsparcia niemieckich działań w Iraku rząd Darlana nie zdołał uzyskać od Niemców żadnych koncesji politycznych. Dlatego na początku 1942 r. marszałek Pétain zaczął się zastanawiać nad możliwością powrotu do władzy Lavala. Zapewne nie bez znaczenia przy podjęciu tej decyzji były niemieckie jasno artykułowane oczekiwania w tej kwestii. W dzień urodzin kanclerza 20 kwietnia 1942 r. Laval pojawił się w składzie rządu. Objął on swą kontrolą – poza funkcją premiera – resorty spraw wewnętrznych i zagranicznych. Darlan pozostał dowódcą armii i formalnym następcą szefa państwa.

Laval, obejmując urząd, miał świadomość, że wynik zmagań III Rzeszy z ZSRS może wpłynąć, w przypadku przegranej Niemiec, na daleko idące zmiany w sytuacji geopolitycznej Europy. Swymi obawami podzielił się w rozmowie z ambasadorem USA adm. Williamem Leahym, konstatując: „Wojna obecna jest wojną domową, w której Stalin będzie jedynym zwycięzcą, jeżeli demokracje nadal będą walczyć przeciwko Rzeszy. Jest w interesie USA jak i Europy, aby położyć kres tej walce możliwie jak najszybciej…". Te przemyślenia skłoniły go do werbalnego wspierania wysiłków militarnych Niemiec w wojnie z ZSRS. Premier liczył, że upadek Sowietów stworzy warunki do podpisania traktatu pokojowego i zakończenia niemieckiej okupacji Francji.

Los 76 tys. Żydów

Wkrótce swe zainteresowania zmuszony był skupić na innych niż militarne zmagania na froncie wschodnim wydarzeniach, które zaczęły rozgrywać się na afrykańskim teatrze działań wojennych, a związane były z rozpoczęciem 8 listopada 1942 r. przez Amerykanów operacji „Torch", czyli lądowania we francuskiej Afryce Północnej. Tak się złożyło, że na terenach tych przebywał François Darlan. Na jego rozkaz wojska francuskie przystąpiły do walki z siłami desantowymi. Po dwóch dniach zmagań, za aprobatą admirała, doszło do zawieszenia broni. Władze Vichy, choć oficjalnie zdystansowały się od postawy Darlana, zainteresowane były utrzymaniem francuskiej kontroli nad imperium kolonialnym, stąd sekundowały jego porozumieniu z Amerykanami. Realizację tego koncyliacyjnego projektu przerwała śmierć admirała, zamordowanego przez rojalistycznego zamachowca.

Tymczasem Hitler, obserwując działania administracji francuskiej w Afryce Północnej, wysłał do władz Vichy telegram z żądaniem przystąpienia do wojny przeciw anglo-amerykańskim agresorom. Marszałek, choć nie zdecydował się na wykonanie takiego kroku, nakazał zerwanie stosunków z USA. Dla Berlina było to posunięcie niewystarczające. Lavala wezwanego na konsultacje do stolicy III Rzeszy poinformowano, że Niemcy i Włosi rozpoczną okupację północnoafrykańskich kolonii oraz Państwa Francuskiego. 11 listopada 1942 r. oddziały Wehrmachtu oraz armii włoskiej wkroczyły do Francji. Jednostki Armii Rozejmowej nie stawiły oporu. Władzom francuskim zapewniono nietykalność oraz możliwość dalszego funkcjonowania. Przywódcom francuskim podyktowało to konieczność kontynuowania polityki kolaboracji.

Postawa rządu nie wszystkim politykom i urzędnikom przypadła do gustu. Część z nich, choćby znany biznesmen Jacques Barnaud, podała się dymisji. W rozmowie z nim Laval powiedział: „Ja, jak pan wie, postawiłem na tę kartę, zakładając, że Niemcy muszą wygrać wojnę. Czy Niemcy ją wygrają? Tego nie wie nikt… Jednakże sądzę, że tak właśnie będzie. Są dwaj ludzie, którzy mogą oddać przysługę swojemu krajowi: generał de Gaulle i ja… jeśli nie byłbym Lavalem, chciałbym być de Gaulle'em".

Od roku 1943 zaczęły się systematycznie wzmagać niemieckie naciski na władze francuskie w kwestii przyłączenia się do wojny po stronie III Rzeszy. Grożono całkowitym przejęciem administrowania krajem. Jednak ani Pétain, ani Laval nie ugięli się przed tymi groźbami, mając świadomość, że Niemcy nie mają sił ani środków, by je zrealizować. Wobec takiej postawy Vichy Berlin postanowił wzmocnić proniemieckie lobby w rządzie, wywierając presję na dokooptowanie do składu rady ministrów paryskich ultrasów (tak nazywano polityków związanych z faszyzującymi francuskimi ugrupowaniami politycznymi w rodzaju Francuskiej Partii Ludowej – PPF czy Zgromadzenia Ludowo-Narodowego – RNP). Ci od dawna krytykowali władze francuskie za brak dostatecznego zaangażowania we współpracę z III Rzeszą. Laval długo się tym naciskom opierał, ale ostatecznie uległ. W grudniu 1943 r. w ławach rządowych zasiedli Philippe Henriot oraz Joseph Darnand, a wiosną 1944 r. Marcel Déat. Co ciekawe, ich nominacje podpisał tylko premier, bo marszałek nie zdecydował się złożyć na tych dokumentach swego podpisu.

Kolejnym polem konfliktu francusko-niemieckiego okazała się kwestia żydowska. Niemcy po konferencji w Wannsee rozpoczęli we Francji akcję deportacyjną, kierując do obozów zagłady i koncentracyjnych tysiące ludzi. Władze Vichy – podobno nie będąc świadome losu, jaki miał spotkać Żydów – postanowiły współdziałać z Niemcami poprzez zaangażowanie policji francuskiej w pro-

eprasa.pl 91c3417b27

ceder zatrzymywania i przekazywania w ręce Niemców żydowskich uchodźców, którzy osiedlili się we Francji w latach 30. Wypada wspomnieć, że Żydów poddano ograniczeniom prawnym już na samym początku istnienia Państwa Francuskiego w październiku 1940 r. Wtedy to wprowadzono tzw. statut żydowski ograniczający możliwość pracy Żydów w niektórych zawodach. Ponadto utworzono dla nich we Francji obozy internowania.

Te ograniczenia nie oznaczały, że władze francuskie chciały zastosować wobec Żydów, podobnie jak Niemcy, politykę eksterminacji. Jednak nie ulega wątpliwości, że za pomocą władz Vichy Niemcom udało się wywieźć do obozów koncentracyjnych 76 tys. Żydów pochodzących z innych krajów. Nie można abstrahować od tego, że efektem tej makabrycznej transakcji było uratowanie przed śmiercią Żydów francuskich, których ponad 200 tys. wojnę przeżyło. Warto o tym pamiętać, szczególnie dzisiaj, kiedy z pewną dezynwolturą formułuje się w tej materii zarzuty współudziału w Holokauście wobec władz ówczesnego Państwa Francuskiego.

Los kolaborantów

Problemem, z którym musiał się mierzyć od 1941 r. rząd Vichy, była narastająca aktywność francuskiego ruchu oporu. Prym w nim wiedli początkowo komuniści, organizując zamachy przeciwko przypadkowym przedstawicielom sił okupacyjnych. Jedną z pierwszych tego typu akcji było zamordowanie w paryskim metrze przez komunistę Pierre'a Georgesa oficera Kriegsmarine Alfonsa Mosera. Rząd francuski, a konkretnie minister spraw wewnętrznych Pierre Pucheu, pod presją Niemców nakazał w odwecie zgilotynowanie trzech aresztowanych i skazanych na śmierć działaczy komunistycznych. Kiedy zamachy nie ustawały, Niemcy postanowili wprowadzić w życie zasady kodeksu zakładników. Już 22 października 1941 r. rozstrzelano 48 osób w Châteaubriant, a dwa dni później kolejnych 50 koło Bordeaux.

W tym ostatnim przypadku dość przytomnie zachował się minister Pucheu, który zauważył, że na pierwszej przedstawionej mu do zatwierdzenia liście 50 zakładników jest tylko 10 komunistów. W związku z jego protestem na kolejnej liście znalazło się już ich 44, co pozwoliło mu z czystym sumieniem podjąć decyzję o egzekucji, co zapewne nie było trudne, bo to właśnie ze środowisk admiratorów ideologii „sierpa i młota" wywodzili się wykonawcy zamachów na niemieckich żołnierzy, prowokujący niemieckie akcje odwetowe na Bogu ducha winnych rodakach. Niestety, ta patriotyczna postawa Pucheu stała się powodem do skazania go na karę śmierci w Algierii przez sąd „Wolnej Francji" (został rozstrzelany 20 marca 1944 r.).

Entuzjazm dla aktywnego włączenia się władz i policji francuskiej w zwalczanie Résistance zdecydowanie przygasł, kiedy do działań komunistów przyłączyli się członkowie gaullistowskiego ruchu oporu. Żadnych wątpliwości co do udziału w operacjach przeciw maqius nie mieli natomiast funkcjonariusze Milicji Francuskiej, kierowanej przez Josepha Darnanda. Jej aktywność w tej materii i współpraca z Niemcami budziły krytycyzm także władz francuskich. Szczególną odrazę wywoływały, dokonywane samodzielnie lub z inspiracji niemieckiej, zabójstwa polityków III Republiki. Otrzymując coraz więcej informacji o tych wyczynach, Pétain skierował do Darnanda obszerny list, w którym opisano występki milicjantów. Działania ruchu oporu nabrały bardziej radykalnego charakteru po 6 czerwca 1944 r., gdy rozpoczęła się inwazja sił alianckich we Francji, znana pod kryptonimem operacji „Overlord". Szef państwa, obawiając się masowych represji, wygłosił w związku z tym orędzie do narodu wzywające do zachowania spokoju. Niestety, znane przypadki masakr dokonanych przez Niemców w Tulle, Oradour-sur-Glane i innych miejscowościach wskazywały, że owe obawy były w pełni uzasadnione.

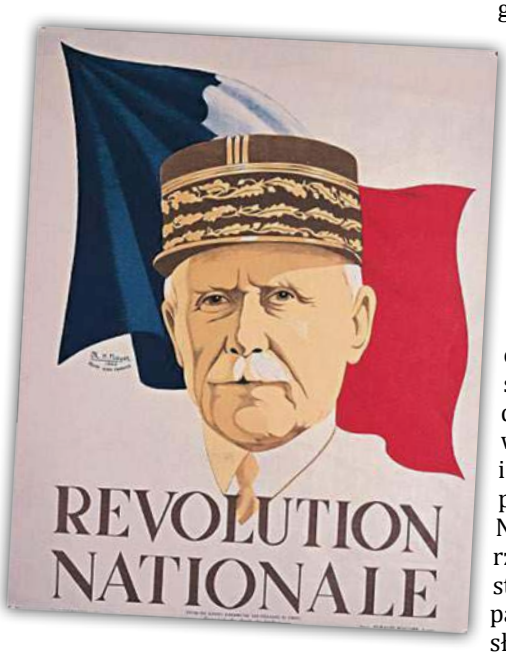

Pétain na plakacie Państwa Francuskiego (Vichy)

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Rząd francuski początkowo miał nadzieję, że w celu uchronienia kraju przed chaosem nastąpi płynne przekazanie władzy w ręce gen. Charles'a de Gaulle'a. Generał w najmniejszym stopniu nie był zainteresowany obarczaniem nowo tworzącej się IV Republiki jakimikolwiek związkami z Francją Vichy, którą traktował propagandowo jako anty-Francję. W sierpniu 1944 r. marszałek Pétain, premier Laval i cały rząd francuski zostali przymusowo ewakuowani przez Niemców do Belfort, skąd wywieziono ich do zamku Sigmaringen, gdzie przebywali aż do kwietnia 1945 r. Po zakończeniu działań wojennych marszałek Philippe Pétain został postawiony przed Najwyższym Trybunałem i 15 sierpnia 1945 r. skazany na śmierć. Jednocześnie większość sędziów była przeciwna wykonaniu wyroku. Mając poczucie olbrzymich zasług marszałka dla Francji, gen. de Gaulle ułaskawił go, zamieniając karę śmierci na dożywotnie więzienie. Pétaina umieszczono na wyspie Yeu, gdzie zmarł 23 lipca 1951 r.

Nieco inaczej potoczyły się losy Pierre'a Lavala. Były premier po właściwie parodii procesu skazany został na karę śmierci. Nie chcąc stanąć przed plutonem egzekucyjnym, próbował 13 października 1945 r. popełnić samobójstwo, ale okazało się, że nie dane mu było umrzeć z własnej ręki. Został odratowany i dwa dni później rozstrzelany w więzieniu Fresnes. Generał de Gaulle tak napisał po latach o nim w swych pamiętnikach: „Laval grał i przegrał. Miał przynajmniej odwagę przyznać , iż odpowiada za swe czyny. Niewątpliwie jako członek i premier rządu, przy użyciu całego arsenału podstępów i wybiegów i trwając w nieprzepartym uporze, usiłował na swój sposób służyć krajowi. Oddajmy mu tę sprawiedliwość".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 91c3417b27

USA / Mit powstania Nata Turnera

George Washington, jego niewolnicy i ich nadzorcy w Mount Vernon FOT. WIKIMEDIA

Rzeź białych

Jakub Ostromęcki

W 1831 r. na południu Ameryki doszło do krwawego buntu niewolników. Biali farmerzy, ich żony i dzieci ginęli od ciosów siekier

Historyk starożytnego Rzymu Geza Alföldi pisał, że trzeba spełnić trzy warunki naraz, aby sprawnie zorganizować powstanie niewolników. Po pierwsze, ludzie muszą być świadomi, że szanse na wykupienie się, wyzwolenie przez pana czy choćby posmakowanie części dóbr ludzi wolnych są nikłe. Po drugie, przyszli buntownicy muszą mieszkać i pracować w dużych grupach, aby bunt rozpalił się z dużą siłą i szybko ogarnął cały kraj. Po trzecie, ludzie muszą pracować z dala od nadzorców.

Warunki te spełniali niewolni pasterze w republice rzymskiej, ale nie Murzyni na plantacjach bawełny czy tytoniu w brytyjskich koloniach w Ameryce, potem w USA. To dlatego przez prawie 250 lat zdarzyło się tam raptem kilka niewolniczych buntów. Milicje białych stłumiły większość z nich w zarodku. Miarą stopnia brutalności owych zajść może być rebelia na Niemieckim Wybrzeżu (German Coast). Niewolnicy zabili w czasie jej trwania raptem dwóch plantatorów. Słynna dywersja Johna Browna miała większy rozmach, ale jego grupa składała się w większości z białych. Rebelię na Amistad trudno tu w ogóle wliczać, skoro wybuchła na hiszpańskim statku daleko od wód USA.

Na tym tle prawdziwą osobliwością jest powstanie Nata Turnera. Ma ono bardzo bogatą literaturę, opartą na dokładnych relacjach i zeznaniach jego uczestników. Nat Turner był urodzonym w 1800 r. synem niewolnicy przywiezionej z Afryki. Większość swojego krótkiego życia spędził w hrabstwie Southampton w Virginii jako własność kolejnych rodzin plantatorskich: Turnerów, Moorów, Travisów. Jego pierwszy właściciel Samuel Turner pozwalał mu podbierać książki, z których uczyły się białe dzieci. Toteż stał się wkrótce baptystowskim kaznodzieją-samoukiem.

„Zbyt mądry jak na niewolnika" – tak mawiali nawet okoliczni biali. „Aby stać się wielkim, muszę być za takiego uważany. Poświecę się postom i modlitwie" – twierdził. Miewał wizje, w których Duch Święty miał mu powiedzieć, że jest przeznaczony do rzeczy wielkich. Biali pozwalali Turnerowi przemieszczać się po całym hrabstwie – był w końcu duchownym. Szybko wyrósł na lidera społeczności niewolniczej. Zaczął być przez nią uważany za proroka. Wizje stały się coraz bardziej apokaliptyczne: „Widziałem na niebie białe i czarne duchy zwarte w boju śmiertelnym". „Muszę stawić czoła wężowi. Zabijać moich wrogów ich własną bronią". „Moim jedynym Panem jest Jahwe. Czarni wkrótce będą wolni" – za te słowa Nat został przez Moora wychłostany.

W lutym 1831 r. nad USA widać było zaćmienie słońca – to był znak. Turner

eprasa.pl 91c3417b27

zebrał swoich czterech zaufanych przyjaciół i po raz pierwszy wyjawił im, że trzeba „przystąpić już do dzieła śmierci". Mieli uderzyć na białych w święto 4 lipca, ale szczegółowych planów było takie mrowie, że ostatecznie z powstania nic nie wyszło. Nadeszła w końcu niedziela 21 sierpnia. Biali mężczyźni wyjechali na ćwiczenia milicji stanowej, a niewolnicy mieli wolne. Grupka spiskowców zebrała się koło chaty Turnera na poczęstunek. Jedli świniaka z rusztu, racząc się do tego jabłkówką. Przyszło jeszcze dwóch ludzi i piknik przeciągnął się do nocy.

Wtedy Nat wyrzekł pamiętne słowa: „Zabić wszystkich białych". Plan był prosty. Siedmioosobowa grupa miała przemieszczać się nocą od farmy do farmy i zabijać wszystkich plantatorów, „nie patrząc na wiek ni płeć". Siać przerażenie wśród właścicieli, a czarnych stawiać przed wyborem: dołączenie do powstania albo czekanie na ślepy i brutalny odwet panów. Pierwszy etap powstania miał zakończyć się zdobyciem siedziby władz hrabstwa w Jerusalem (dziś Courtland). Gdyby udało się przejąć zapasy broni i amunicji, wówczas Turner, dowodzący już legionem wyzwoleńców, zamierzał przejść do walki partyzanckiej, za matecznik mając Wielkie Posępne Moczary położone na wschodzie.

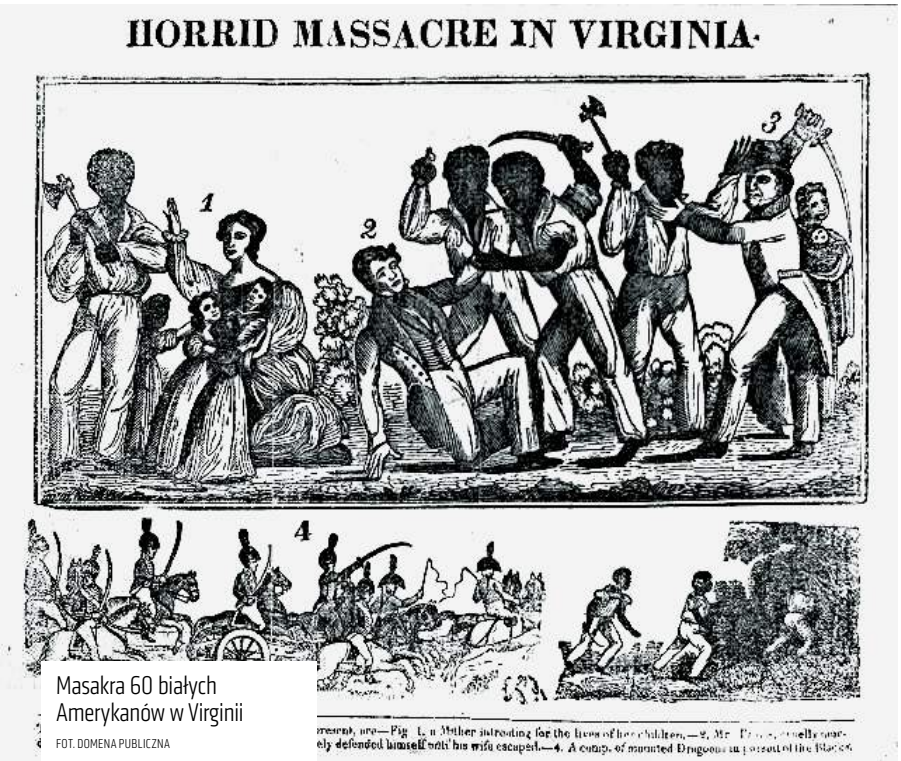

Masakra 60 białych Amerykanów w Virginii

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Przebieg rzezi

O godz. 2 w poniedziałek Murzyni wyruszyli ku farmie Travisów. Nie mieli broni palnej – wystrzały mogłyby zaalarmować białych. W rękach dzierżyli więc siekiery, widły, noże i kije. Drzwi do farmy były zamknięte, niewolnicy dostali się więc do domu po drabinie, bezszelestnie wchodząc przez otwarte okno na piętrze. Państwo Travis spali, gdy oprawcy stanęli nad ich łożami. Niewolnicy z uwagą wpatrywali się w swojego mesjasza, czekali, aż wykona pierwszy cios. Turner zamachnął się siekierą, obuch minął jednak głowę Travisa, łupiąc w łóżko. Plantator obudził się przerażony i zaczął błagać o życie. Wówczas do akcji wkroczył Will – prawa ręka Turnera – i bez mrugnięcia okiem odrąbał Travisowi głowę. Reszta rodziny – pani Travis i dwóch synów – mimo rozgrywającego się horroru spała cały czas kamiennym snem – wszyscy zginęli od ciosów siekier.

Chłopcy spali tak blisko siebie, iż zabił ich jeden potężny cios. W domu został jeszcze jeden biały – mała córeczka Travisów śpiąca w kołysce. Will i Henry pamiętali dobrze słowa swojego proroka. Odcięli więc dziecku głowę, a małe ciałko wrzucili do kominka.

Francis, Reece, Whitehead. Krwawe rzezie w kolejnych farmach rozgrywały się według podobnego scenariusza. Ofiary ginęły w swoich łóżkach lub oszołomione napaścią na progach ganków czy pośrodku pokoi. Przeważnie od jednego straszliwego ciosu. Z wyjątkiem Salathiela Francisa, który umierał długo cięty siekierami na kawałki. Przodował w tych mordach Will, ale wkrótce i inni mieli na koncie po kilku białych. Prorok za każdym razem jednak chybiał. Ciął swoją szablą po głowie swojej dawnej właścicielki – pani Turner, ale ciosy chybiały, raniąc tylko nieszczęsną kobietę. Ostatecznie zabił ją, a jakże, Will.

W końcu, na posiadłości Whiteheadów, przywódca buntu udowodnił, ile jest wart w oczach swoich ludzi. Młodziutka Margaret Whitehead uciekała przed nim w pole bawełny. Uderzył w nią szablą, ale dziewczyna wciąż jakimś cudem żyła. Wyrwał więc sztachetę i bił aż do skutku. Do najstraszniejszej zbrodni tej nocy doszło na posiadłości Wallerów. Zbuntowani niewolnicy zamordowali tam 10 dzieci i żonę właściciela. Sam Levi Waller, wbrew wizerunkowi walecznego południowca, ratował się ucieczką wraz z kilkoma sąsiadami. Widząc skutki napaści niewolników, postradał całkowicie zmysły.

Gościniec wiodący ku Jerusalem zabarwił się krwią 60 białych, ale szeregi powstańców nie rosły tak szybko, jak chciał tego czarny mesjasz – oddział liczył w tym momencie 40 ludzi. Oto u Whiteheadów buntownicy musieli odciągać siłą czarną Aggy, która broniła swojej młodej pani. Na tej samej plantacji z sześciu dorosłych czarnych mężczyzn aż czterech wykręciło się od udziału w powstaniu. Co więcej, wszczęli alarm w reszcie posiadłości, ostrzegając białych przed nadejściem Nata czy chroniąc u siebie jedną z kobiet. Podobnie zachowali się niewolnicy Francisów, ukrywając ciężarną żonę plantatora. W posiadłości Blunta niewolnicy uzbrojeni w narzędzia gospodarskie stanęli po stronie swojego pana, wznosząc okrzyki triumfu po tym, jak szturm rebeliantów został odparty. Część relacji mówi wręcz o walce po stronie białych.

Innych niewolników Turner musiał siłą wciągać do swojego oddziału i potem mieć na nich baczenie. Inni znowuż chętnie deklarowali swój udział w powstaniu, ale zdarzało się, że znikali nagle w piwnicach zdobytej farmy, skąd po jakimś czasie komendant musiał wyciągać ich kompletnie pijanych po tym, jak osuszyli zapas brandy.

eprasa.pl 91c3417b27

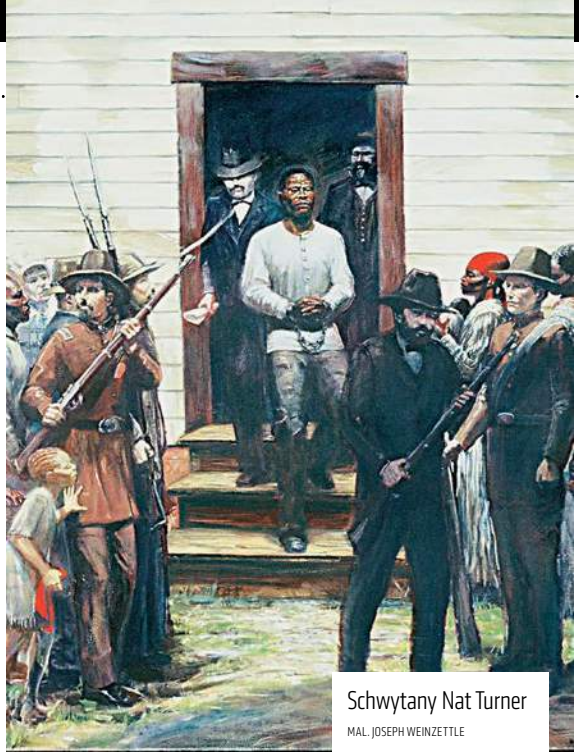

Schwytany Nat Turner
MAL. JOSEPH WEINZETTLE

Biali, którzy uciekli z rzezi, wszczynali alarm w kolejnych farmach. W poniedziałek przed południem Jerusalem było już pod bronią, a milicje nadchodziły też z sąsiednich hrabstw i Karoliny Północnej. Koło południa doszło do pierwszej potyczki z milicją na farmie Parkera – zwyciężyli biali. We wtorek rano na skutek dezercji siły Nata stopniały o połowę. Nie żył jego straszliwy pomocnik Will, z koło mostu prowadzącego do Jerusalem. Do końca tygodnia wszyscy jego ludzie zostali zastrzeleni lub aresztowani.

Zemsta białych była potworna i zrazu ślepa. Na gościńcach mordowano bogu ducha winnych niewolników, z których wielu ledwo zdawało sobie sprawę z istnienia rebelii. Ich głowy nadziewano potem na tyczki wzdłuż dróg „ku przestrodze". Rzezie oburzyły nawet samego dowódcę milicji w Southampton, który zapowiedział karanie sprawców na gardle.

Turner zaszył się w wykopanej w ziemi jamie koło miejsca, gdzie rozpoczął się bunt. Ukrywał się tam do 30 października, kiedy to został wykryty przez patrolującego teren farmera. 11 listopada powieszono go w Jerusalem. Ciało wypatroszono i poćwiartowano.

Budowanie mitu

W 2016 r. nakręcono film, inspirowany życiem Turnera. Zatytułowano go przewrotnie: „Narodziny narodu". Tak nazywa się słynne dzieło Griffitha z 1915 r., w którym czarni pokazani zostali z jak najgorszej strony, plantatorskie Południe zaś zostało wyidealizowane. Nate Parker, reżyser i odtwórca głównej roli, odwrócił ten obraz o 180 stopni. Białych występuje tu sporo, ale prawie wszyscy to gwałciciele, okrutnicy i łapówkarze mający u boku nie tyle damy, ile w zasadzie głupie kokoty. Tylko Elisabeth, matka właściciela Nata, jest postacią stosunkowo pozytywną. To ona wpada na pomysł nauczenia czytania i pisania przyszłego przywódcy powstania. Nawet Samuel Turner, zrazu ludzki pan, okazuje się wiecznie cuchnącym brandy nędznikiem, oddając jedną ze swoich niewolnic bogatszemu sąsiadowi na pohańbienie.

Historia niewolnictwa w USA pełna jest okrucieństwa, ale mało prawdopodobne, aby w jednym hrabstwie w tak krótkim czasie doszło do tak wielkiego nagromadzenia bestialstw. Nie ma w tym filmie Kwakrów – przeciwników niewolnictwa, stanowiących część elit hrabstwa, nie ma też wolnych czarnych, którzy nie bacząc na swój poprzedni los, żyli obok swoich dawnych właścicieli. Biali w filmie to co do jednego wielcy posiadacze osiadli w dworach z wielkimi gankami i klasycystycznymi portykami. Farmy, które atakował Nat, należały jednak do ciężko harujących ciułaczy. Były to skromne, nieduże, aczkolwiek solidne, maksymalnie dwupiętrowe domy z drewna. Samuel Turner w momencie wybuchu powstania nie żył zresztą już od kilku lat. Właścicielem Nata był wtedy Joseph Travis.

Parker, chcąc stworzyć mit szlachetnego wyzwoliciela, pominął całkowicie mordy dokonane na dzieciach. W ataku na jedno z domostw ginie co prawda małżonka plantatora, ale jest to ta sama kobieta, która uczestniczyła w ohydnym raucie u Samuela zakończonym pohańbieniem niewolnicy. Pod koniec filmu w czasie egzekucji Nata tłum złorzeczy skazańcowi. Wśród ciskających wyzwiska są młode, dobrze ubrane dziewczynki o łagodnych rysach twarzy. W filmie wyszły na żądne krwi smarkule, a w rzeczywistości miały bardzo dużo powodów, by nienawidzić Nata. Mogły skończyć przecież tak jak ich rówieśnicy z farm znajdujących się na szlaku powstania. W filmie nie uświadczymy niewolnic broniących do upadłego dzieci farmerów. Tylko jeden czarny chłopak przestraszony widokiem nadchodzących niewolników ostrzega swojego pana. W rzeczywistości grupa Murzynów niechętnie czy wręcz wrogo nastawionych do powstania była całkiem spora.

Parker heroizuje swojego bohatera od strony czysto bojowej. Filmowemu Natowi ręka nie drży ani razu, gdy zadaje ciosy siekierą, a przecież w większości przypadków mokrą robotę wykonywał Will. Filmowi powstańcy docierają do arsenału w Jerusalem i wygrywają tam krwawą potyczkę z białymi – choć ci uzbrojeni są w broń palną, a niewolnicy mają jedynie młoty, siekiery i widły. Oddział Turnera w rzeczywistości został dość łatwo powstrzymany na obu przeprawach przez rzekę Nottoway, które prowadziły do stolicy hrabstwa. W końcu filmowy Nat, niczym Aslan w „Opowieści z Narnii", oddaje się swoim oprawcom, zamiast zostać wytropionym pośród lasów i moczarów.

Wiszącemu na szubienicy Natowi przygląda się chłopak, który wcześniej ostrzegł białych przed atakiem powstańców. Jego twarz wypełnia cały kadr i wnet widzimy ją starszą o 30 lat. Mężczyzna ma na sobie mundur wojsk Unii. W tle powiewa flaga USA – to nawiązanie do pułków złożonych z Murzynów walczących w wojnie secesyjnej. Nie wiadomo, czy któryś z czarnych chłopców z Southampton walczył potem po stronie Unii, wiadomo zaś, że podobną drogę odbył George Thomas.

Był to biały chłopak ocalały z masakry. W 1861 r., gdy wybuchła wojna secesyjna, był majorem US Army i zarazem posiadaczem niewolników. Miał więc wszelkie powody, aby walczyć po stronie Konfederacji. Wbrew wszystkiemu stanął jednak po stronie Unii, czyli siły, która gotowa była wspierać Murzynów przeciw ich posiadaczom. Jego siostry uznały to za zdradę i plucie na groby pomordowanych sąsiadów oraz krewnych. Odwróciły wszystkie jego portrety twarzą do ściany, spaliły jego listy i choć po wojnie żyły w biedzie, nie przyjęły zapomogi, którą wysłał im już wówczas generał US Army.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 91c3417b27

Nie ma nic bardziej niebezpiecznego od przywódcy przekonanego o swojej nieomylności.

Wojciech Orliński

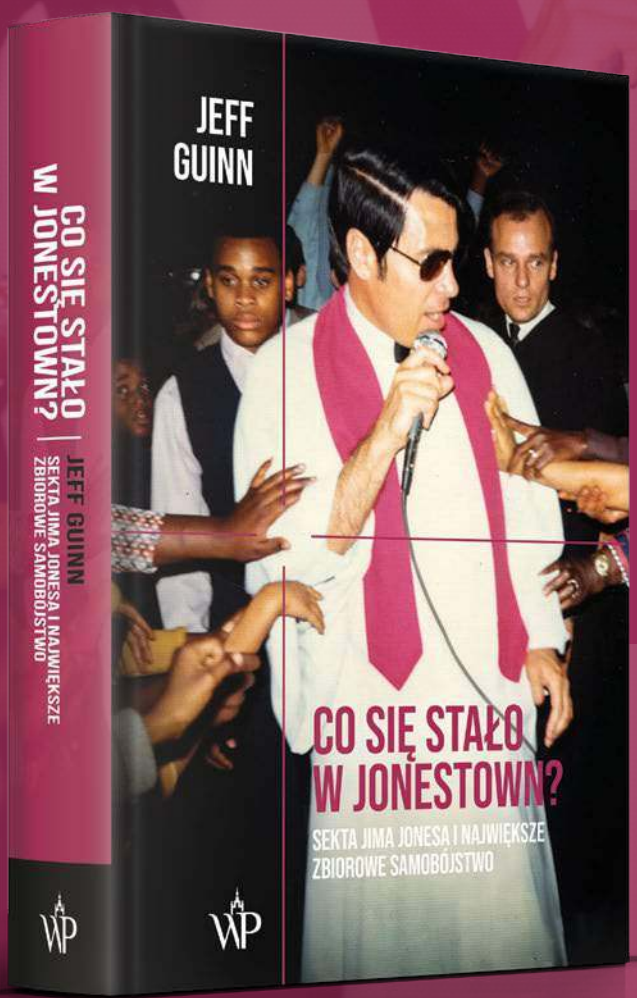

CO SIĘ STAŁO W JONESTOWN?

SEKTA JIMA JONESA I NAJWIĘKSZE ZBIOROWE SAMOBÓJSTWO

JEFF GUINN

WP
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

ZAMÓW KSIĄŻKĘ NA **wydajenamsie.pl**

Wydaje nam się

FOCUS Historia | DUŻY FORMAT wyborcza | WielkaHISTORIA.pl | ZUPEŁNIE INNA opowieść zupelnieinnaopowiesc.com

eprasa.pl 91c3417b27

Sławomir Koper

W przypadku Wyspiańskiego zacierała się granica między wyobraźnią a rzeczywistym światem. Syfilis był jednak realny...

Gdyby sporządzić listę problemów psychicznych Stanisława Wyspiańskiego, okazałoby się, że znaczna ich część nie odpowiada żadnym znanym zaburzeniom nerwicowym lub ich objawy wzajemnie sobie zaprzeczały. Nie zmienia to jednak faktu, że wywarły one ogromny wpływ na jego życie i twórczość, a dodatkowe znaczenie miała również śmiertelna choroba weneryczna, z której postępów artysta zdawał sobie sprawę.

Trudno sobie wyobrazić szanującego się artystę bez alkoholu lub innych środków wspomagających. Epoka Młodej Polski pod tym względem nie odbiegała od normy, alkohol lał się strumieniami, a ówcześni twórcy intensywnie pracowali na swój dekadencki wizerunek. Tymczasem Wyspiański organicznie nie cierpiał alkoholu i nie potrzebował go w codziennych kontaktach towarzyskich. Nie unikał wizyt w lokalach, ale zadowalał się tam wyłącznie kawą.

„Nie znosił alkoholowej podniety towarzyskiej – wspominał Adam Grzymała-Siedlecki. – Razu pewnego podpite grono zmuszało go do wychylenia kielicha: »Zobaczy pan, ile to panu da fantazji«. »Być może, że wódka daje wam fantazję, ale ja po wódce fantazję tracę«".

Awantura o „Wesele"

Bezalkoholowo spędził też słynne wesele Lucjana Rydla w Bronowicach (impreza trwała trzy dni), a dokonane wówczas obserwacje zaowocowały niebawem jego najsłynniejszym dramatem.

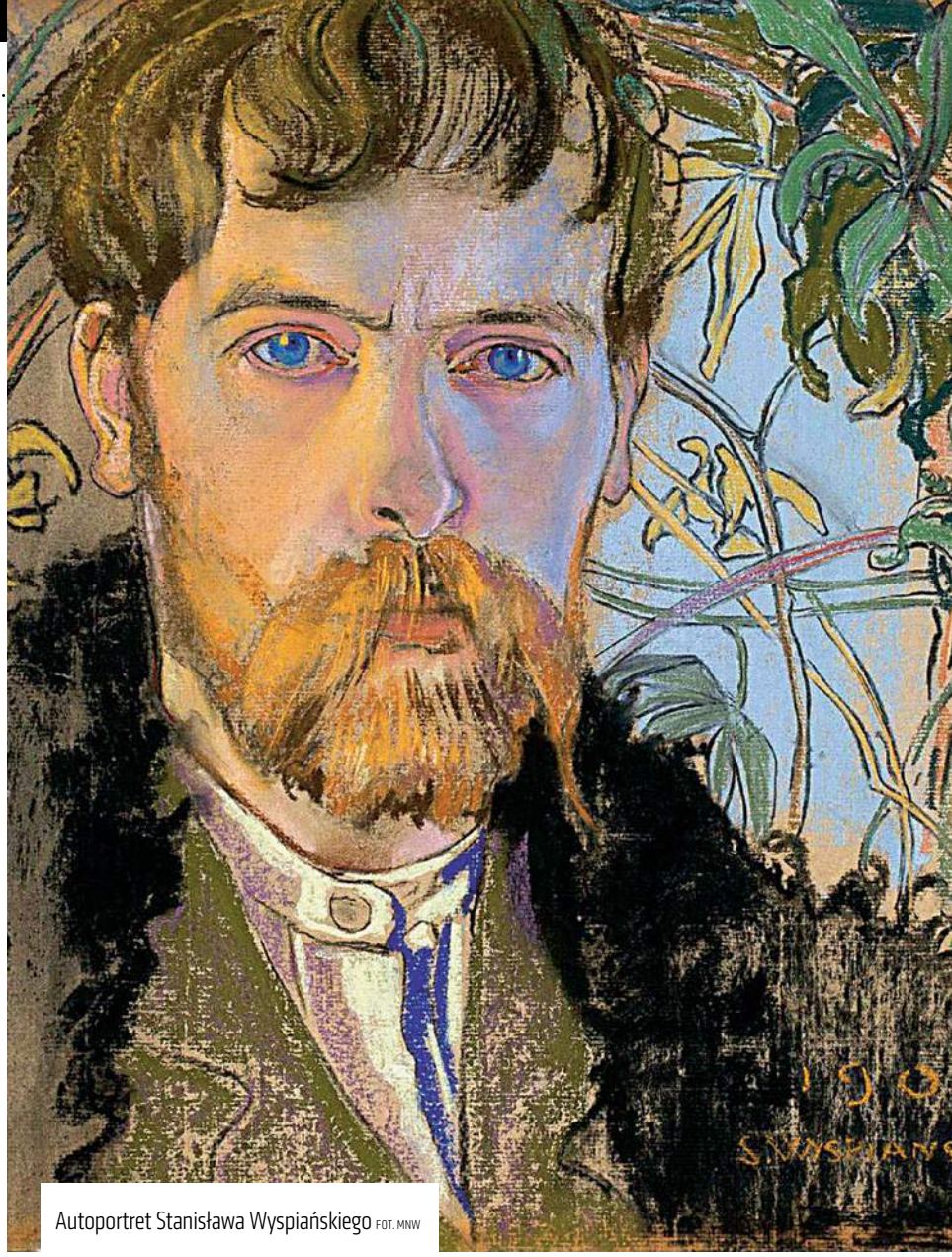

Autoportret Stanisława Wyspiańskiego FOT. MNW

Znani nieznani / Nadwrażliwość i choroby wielkiego artysty

Obsesje wieszcza

eprasa.pl 91c3417b27

Wincenty Wodzinowski „Wesele"
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Pamiętam go jak dziś – wspominał Tadeusz Boy-Żeleński– jak szczelnie zapięty w swój czarny tużurek stał całą noc oparty o futrynę drzwi, patrząc swoimi stalowymi, niesamowitymi oczyma. Obok wrzało weselisko, huczały tańce, a tu do tej izby raz po raz wchodziło po parę osób, raz po raz dolatywał jego uszu strzęp rozmowy. I tam ujrzał i usłyszał swoją sztukę.

Niebawem po imprezie Wyspiański zaczął bowiem pisać dramat, który po trzech miesiącach przeczytał w salonie ówczesnego dyrektora Teatru Miejskiego w Krakowie, Józefa Kotarbińskiego. Reakcja była pomyślna i sztuka została przeznaczona do wystawienia.

Znaczna część obsady kompletnie nie rozumiała sztuki, a sytuacji nie ułatwiał sam autor. Na pytania: „Co się kryje za słowami?" odpowiadał spokojnie, że to, co „zostało napisane", a jeżeli aktor tego nie rozumie, to „nie powinien w takim razie być artystą".

Premiera wzbudziła ogromne zainteresowanie, a po scenie z hetmanem Branickim ostentacyjnie opuścił swoją lożę przywódca krakowskich konserwatystów, hr. Stanisław Tarnowski. Był żonaty z prawnuczką Branickiego i przedstawienie hetmana jako zdrajcy bardzo mu nie odpowiadało. Inna sprawa, że zapewne niewiele zrozumiał z dramatu, w czym zresztą nie był odosobniony. Gdy Henryk Sienkiewicz zażywający już wówczas ogromnej sławy pisarskiej obejrzał jedno z przedstawień, stwierdził, że albo sam jest grafomanem, „albo to jest grafoman".

Niebawem rozpoczęły się kłopoty towarzyskie. Włodzimierz Tetmajer, w którego chałupie odbyła się impreza, i Lucjan Rydel napisali do niego listy z wymówkami. Rydel poszedł tak daleko, że zabronił swojej żonie oglądać jej własne wesele na scenie. Podobno Jadwiga zobaczyła pierwszy raz dramat ćwierć wieku po premierze, już po śmierci swojego męża.

Wizje

Jak przystało na prawdziwego artystę, Wyspiański był osobą niezwykle wrażliwą, uważano nawet, że odczuwał wszystko dwa razy mocniej niż inni ludzie. W jego przypadku czasami zacierała się granica między wyobraźnią a realnym światem, zdarzało się, że nie był w stanie stwierdzić, co było snem, a co wydarzyło się naprawdę. Przyjaciele twierdzili, że „aparat jego wyobraźni pozostawał w stanie ciągłego podniecenia" i z tego powodu artysta miał „skłonności do dosłownego wizjonerstwa". Do „stanów maligny skłonny był nawet przy niezbyt wielkiej gorączce". Opowiadał, że w takich sytuacjach „pokój jego napełniał się rozmaitymi postaciami", z którymi prowadził rozmowy. Do wywołania halucynacji niepotrzebna mu była zresztą gorączka, bo omamy miewał również w czasie obcowania z wybitnymi dziełami sztuki.

„W jednym z listów do Rydla – relacjonował Grzymała-Siedlecki – opisując swoje wrażenia z wielkich europejskich muzeów, stwierdza, że gdy któreś z genialnych malowideł przejmie go w wyjątkowym stopniu, nastaje moment, kiedy figury tego obrazu przestają być tworami malarskimi, stają się żywymi istotami, schodzą z obrazu i »mówią do mnie«".

To zapewne wyjaśnia, dlaczego w jego dramatach pojawiają się najdziwniejsze postaci z nierealnego świata. Prawdopodobnie chwilami był przekonany, że rzeczywiście z nimi obcuje. Na tę kwestię rzuca nieco światła rozmowa Wyspiańskiego z Antonim Godziembą-Wysockim, który poprosił go o wyrażenie opinii na temat właśnie napisanego dramatu. ***Wyspiański odnosił się do takich spraw poważnie – wspominał malarz, Karol Homolacs. – Poważnie też wysłuchał całego dramatu i milczał. Kiedy mój kuzyn [Godziemba-Wysocki – przyp. S.K.] nalegał, aby mu przecie coś powiedział, Wyspiański zapytał spokojnie:***

– No dobrze, ale po co właściwie to wszystko napisałeś? […] Po co umieściłeś tam rusałki, nimfy i inne tego rodzaju istoty?

Godziemba tłumaczył, że umieścił je po to, aby upoetyzować akcję.

– A czy ty wierzysz w swoje rusałki i nimfy?

– Naturalnie, że nie wierzę – odrzekł Godziemba.

– Jeżeli w nie nie wierzysz, to po co o nich piszesz?

– A ty wierzysz w swoje nimfy? – zapytał zirytowany Godziemba.

– Naturalnie, że wierzę – powiedział spokojnie Wyspiański.

Wyspiański faktycznie musiał wierzyć w swoje wizje, gdyż był człowiekiem organicznie niezdolnym do kłamstwa. Z tego powodu miał wielu wrogów i wielokrotnie tracił intratne zlecenia. „Nie nadawał się oczywiście na dyplomatę w stosunkach towarzyskich – potwierdzał Grzymała-Siedlecki. – Nie uznawał nawet tych koniecznych, nieuniknionych kłamstewek, komplementów, miłych słówek, którymi kwitujemy bliźnich, aby nie urazić ich miłości własnej".

Wyspiański faktycznie mówił i pisał, co miał na myśli, i słowo „kompromis" było mu obce. Właściwie nie liczył się z nikim ani niczym, potrafił odrzucić doskonale płatną ofertę wykonania portretu, jeżeli aparycję modela uznał za niegodną swojego pędzla. Robił to zresztą w sposób dość brutalny i bywał szczery aż do bólu, czego osobiście doświadczyła żona pewnego bankiera z Warszawy. Zamówiła u Wyspiańskiego swój portret, zapłaciła z góry i pewnego dnia pojawiła się w jego pracowni.

„Mistrz usadowił damę na fotelu stojącym na podium – opisywał Grzymała-Siedlecki – odbył zwyczajowy swój proces hipnotycznego wpatrywania się, po czym […] podszedł do biurka, wyjął z szuflady otrzymane z góry honorarium, wręczył je zdumionej bankierowej: »przyjrzałem się pani dokładnie i nie widzę powodu, by pani miała mieć swój portret«".

Kiła i pracoholizm

Wyspiański zachowywał się tak, jakby był „czystym niejako duchem, ożywionym niezłomną wolą". Nie zwracał uwagi na codzienny jadłospis, chodził zawsze tak samo ubrany, a czasami postępował w taki sposób, jakby nie widział warunków panujących w realnym świecie. Gdy pewnej zimy, podczas straszliwych mrozów, Józef Mehoffer i Grzymała-Siedlecki odprowadzili go z restauracji pod jego kamienicę, zaprosił ich do swojej pracowni.

eprasa.pl 91c3417b27

„No to zajdźcie do mnie – zaproponował Wyspiański – ogrzejecie się.

Weszliśmy do jego pokoju – i natychmiast odczuliśmy, że temperatura tu grubo niższa od mrozu na dworze.

– Ależ tu niepalone chyba od czasów Wita Stwosza! – ktoś z nas zauważył z przerażeniem.

– A istotnie – stwierdził gospodarz, ale dopiero po namyśle.

Po namyśle, bo cieleśnie nie czuł, że tu zastraszający chłód. Od nas się dopiero o tym dowiedział. Sprawa zimna czy ciepła, jak i inne »drobiazgi«, była dlań sprawą nieistniejącą. Sprawą jedyną była dlań twórczość z rozkoszy trudu powstająca".

Wyspiański był skrajnym pracoholikiem, co zapewne wynikało ze świadomości tego, że nie jest mu pisane długie życie. Zaraził się kiłą, nie wiadomo czy podczas pobytu w Paryżu, czy już w Krakowie. Choroba była wówczas praktycznie nieuleczalna, nie było jeszcze antybiotyków, zatem do leczenia stosowano preparaty zawierające metale ciężkie. Wywoływało to poważne skutki uboczne, a do tego reakcje chorych były bardzo zróżnicowane. Terapia w wielu przypadkach znacznie jednak przedłużała życie, zdarzały się jednak także przypadki całkowitej ruiny organizmu. Wyspiański nigdy nie był okazem zdrowia i w jego przypadku kuracja nie przynosiła niemal żadnych efektów.

Teofila Wyspiańska FOT. WIKIPEDIA

Chciał jednak jak najwięcej zostawić po sobie, stąd brała się jego gorączkowa aktywność zawodowa i opór przed zmarnowaniem choćby jednej godziny. „Nie było siły ludzkiej, która by zdolna była zaciągnąć go do ludzi dlań obojętnych – tłumaczył Grzymała-Siedlecki. – »Strata czasu, za którą trzeba by odpowiadać na Sądzie Ostatecznym« – miał się podobno wyrazić o »wizytach«. Nie znosił też »wizytatorów« u siebie w domu, gdy był zajęty czymkolwiek".

Uważał, że inni ludzie również nie powinni marnować czasu na błahe zajęcia. Gdy zaprojektował wyposażenie dla budynku Towarzystwa Lekarskiego w Krakowie, ktoś zwrócił mu uwagę na to, że krzesła w sali posiedzeń są niewygodne. Artysta wyjaśnił wtedy, że specjalnie zaprojektował je w taki sposób: „»Bo też nie powinny być wygodne. Kiedy krzesła są wygodne, wówczas na posiedzeniach śpią«. I objaśnił z uśmieszkiem, że krzesła urządzone są tak, aby ktoś, kto się zdrzemnie, zsunął się łagodnie na podłogę: do tego zmierza prosty grzbiet, gładkie skórzane siedzenie i łukowato zaokrąglona poręcz".

Kiedy zaś zwrócono mu uwagę na małą funkcjonalność zaprojektowanych przez niego krzeseł do salonu mieszkania Żeleńskich, stwierdził, że meble domowe w ogóle „nie powinny być zbyt wygodne, bo inaczej goście za długo siedzą i zabierają czas do pracy".

Jednocześnie zadziwiał wszystkich wszechstronnością. Żartowano, że gdyby zlecono mu zaprojektowanie lokomotywy, wcale by się nie zdziwił, tylko „przyniósłby nazajutrz najdokładniejszy model", ale oczywiście „według swojego rozumienia". Natomiast „gdyby mu oddać świat do urządzenia, okazałoby się, że ma gotowe idee o wszystkim, jak co powinno wyglądać". Nic zatem dziwnego, że gdy pojechał do Zakopanego, Tatry mu się specjalnie nie podobały i stwierdził, że on „inaczej by je przestawił"...

Praca była dla niego najważniejszym celem w życiu i zupełnie nie potrafił zrozumieć, że inni mogą mieć na ten temat odmienne zdanie. Wymagał od znajomych tyle samo, ile od siebie. Uważał, że każdy człowiek powinien żyć w taki sposób, aby jak najwięcej przekazać potomnym. Przybierało to jednak u niego wręcz chorobliwe formy, czego doświadczyli bywalcy Paonu, sali artystycznej jednej z krakowskich kawiarni. Wyspiański był tam częstym gościem, chociaż z reguły nie rozmawiał tam z nikim, chętnie natomiast szkicował portrety stałych gości. Zabierał je jednak zawsze ze sobą, a po jego wyjściu wszyscy zastanawiali się, dlaczego właściwie tak postępuje. Sprawa wyjaśniła się kilka lat później.

„Wyspiański wezwał do siebie Konrada Rakowskiego, dziennikarza, bywalca Paonu – wspominał »Boy«. – Przyjął go bardzo urzędownie, niemal surowo, i oświadczył, co następuje: że mianowicie robił w Paonie portrety, w nadziei utrwalenia rysów ludzi wybitnych; widzi jednak po kilku latach [...], iż została mu w rękach jedynie galeria osób prywatnych, której nie widzi powodu przechowywać. Prosi zatem, aby Rakowski i sam odebrał swój portret, i zawiadomił zainteresowanych, że mogą się zgłosić po swoje podobizny. Jakoż wszyscy, wpół śmiejąc się, wpół zażenowani, poszli odebrać swoje portrety, i ja w ten sposób doszedłem do mojego [...]. Trudno w bardziej pański sposób uczynić ludziom wymówkę, że okazali się niegodni jego ołówka! Odbija się w tym owa charakterystyczna cecha Wyspiańskiego: ciągłe budzenie, ciągła czujność, ciągłe żądanie od ludzi, potrzeba wydobywania z nich najwięcej".

Do końca pozostał wierny wyznawanym poglądom. Ostatnie miesiące spędził częściowo sparaliżowany w swojej chałupie we wsi Węgrzce niedaleko Krakowa, gdzie zamieszkał z rodziną. Nie mógł już malować, ale próbował pisać dwoma sprawnymi jeszcze palcami. Na całym ciele pojawiły się owrzodzenia i niegojące się rany, miał coraz większe trudności z przełykaniem. Wreszcie odmawiać posłuszeństwa zaczęły nerki, artysta bardzo cierpiał, ale nigdy się nie skarżył. I dalej próbował pracować.

Gdy sam nie mógł pisać, dyktował swoje pomysły – w ciągu ostatnich miesięcy swojego życia pracował nad kilkoma dziełami scenicznymi, zajmował się także tłumaczeniami. Przed premierą „Cyda" w jego przekładzie przyjmował twórców spektaklu i aktorów, przekazując im uwagi na temat inscenizacji. Miał także własną wizję scenografii, a gdy nie mógł dojść do porozumienia werbalnie, naszkicował dekorację. Zrobił to ołówkiem przymocowanym do deseczek obejmujących jego częściowo sparaliżowaną rękę. Zmarł miesiąc po premierze...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Korzystałem z: A. Grzymała-Siedlecki, „Niepospolici ludzie w dniu powszednim", Kraków 1974, s. 161; T. Boy-Żeleński, „Ludzie żywi", Warszawa 1956, s. 144; K. Homolacs, „Okruchy wspomnień", „Sztuka i Krytyka" 1957, nr 3–4; M. Tomczyk-Maryon, „Wyspiański", Warszawa 2009.

eprasa.pl 91c3417b27

Sowieccy żołnierze w zdobytym Wrocławiu FOT. SERGE PLANTUREUX/GETTYIMAGES

1945 r. / Świadectwo niemieckiego księdza katolickiego

Sprawiedliwy z miasta Breslau

Piotr Semka

Grozę rządów hitlerowskich oraz oblężenia Wrocławia przez Armię Czerwoną najlepiej oddają zapiski ks. Paula Peikerta

We wrocławskim kościele św. Maurycego znajduje się poruszająca rzeźba Piety. Mało kto wie, że rzeźbę tę kazał wyrzeźbić w 1937 r. ks. Paul Peikert, przedwojenny proboszcz tej katolickiej parafii. Wyobrażenie Maryi, ze zdjętym z krzyża Jezusem na kolanach, było wotum wrocławskiego kapłana złożonym Bogu po zwolnieniu z więzienia gestapo. Opatrzność sprawiła, że ten sam ks. Peikert został najsłynniejszym kronikarzem niemal trzymiesięcznej obrony miasta przez Niemców. 14 sierpnia minęła 71. rocznica śmierci kapłana, którego opis pełnych grozy walk o Wrocław w 1945 r. do dziś nie pozostawia obojętnym.

Ksiądz Paul Peikert pochodził z okolic Głuchołazów, tej części Śląska, w której wpływy niemieckie mieszały się z polskimi i czeskimi. Po odwrocie od protestantyzacji tych ziem między XVII a połową XIX w. powstał na tych terenach silny trend katolicyzmu kulturowego obejmującego większość dziedzin życia. Katolicy byli aktywni nie tylko we własnej parafii, lecz także w wielu katolickich związkach, chórach, stowarzyszeniach samopomocowych, i głosowali na katolicką Partię Centrum. Bardzo często o powołaniu duchownym decydowały tradycje i przykłady rodzinne.

Tak było z urodzonym 1 października 1884 r. młodym Paulem, na którego wychowanie w dzieciństwie spory wpływ wywarła siostra ojca – zakonnica, siostra Hortulana. To za jej namową Peikert wybrał naukę w gimnazjum, a potem studia teologiczne we Wrocławiu i seminarium kapłańskiego w stolicy Dolnego Śląska. W 1910 r. uzyskał święcenia kapłańskie z rąk arcybiskupa wrocławskiego Georga Knoppa.

Młody kapłan pełnił posługę najpierw w parafii Wiązów koło Strzegomia, gdzie zdobył sobie sławę poruszającymi kazaniami, potem objął parafię Jawor, by w 1917 r. trafić do parafii św. Henryka we Wrocławiu.

W dramatycznym okresie rewolucji listopada 1918 r. obejmuje parafię Sobięcin koło Wałbrzycha. Tutaj był świadkiem wzrostu siły ruchu komunistycznego. Wałbrzych jako miejsce wielu kopalni i fabryk był wtedy politycznym kipiącym kotłem. Ksiądz Peikert wspierał wtedy chrześcijańskie związki zawodowe. Katolicka parafia była miejscem pomocy dla bezrobotnych, centrum opieki nad dziećmi górników i miejscem ich ukulturalniania i edukowania. W uznaniu swej pracy w 1928 r. został mianowany dziekanem wałbrzyskim.

Tutaj zastał go wielki kryzys, który otworzył drogę do wzrostu popularności Niemieckiej Partii Komunistycznej, ale i NSDAP. Wierny zasadom katolicyzmu społecznego starał się konkretną działalnością społeczną odciągać robotników od czerwonych i brunatnych demagogów. Zbudował dom wypoczynkowy w pobliskich górach dla dzieci robotników

eprasa.pl 91c3417b27

i stworzył prężną placówkę Caritas. Z żalem przyjął dekret kurii wrocławskiej z 1932 r. z nominacją na proboszcza parafii św. Maurycego we Wrocławiu.

Niedługo potem, w styczniu 1933 r., władzę zdobywa Hitler. Ksiądz Peikert skupia się na budowie filialnego kościoła św. Józefa, ale muszą do niego z pewnością docierać pierwsze wiadomości o wtrącaniu przeciwników nazizmu do obozu koncentracyjnego w Tarnogaju na obrzeżach Wrocławia. Wspierana przez Kościół katolicka Partia Centrum zostaje zakazana, a działacze katoliccy trafiają pod lupę gestapo.

Kronikarz grozy

W 1937 r. wśród wrocławskich księży i zwykłych wiernych zaczyna krążyć odpis listu otwartego katolików niemieckich broniących arcybiskupa Chicago George'a Mundeleina przed atakami Goebbelsa. Mundelein, z pochodzenia Niemiec, skrytykował terror w III Rzeszy wobec katolików i zakpił z Hitlera jako „tapeciarza" (aluzja do zajęcia Hitler w latach wiedeńskiej nędzy).

Gestapo rozpoczęło śledztwo w sprawie rozpowszechniania listu. Gdy petycja katolików trafiła pocztą do parafii św. Maurycego, gestapowcy przeprowadzili rewizję na parafii i po znalezieniu dwóch egzemplarzy zakazanego dokumentu aresztowali wikarych. Samego ks. Peikerta zatrzymano w sanktuarium maryjnym w Krzeszowie, gdzie przebywał w tym czasie na rekolekcjach. Zarzut postawiony kapłanom brzmiał: „W miesiącach lipcu i sierpniu 1937 r. działali świadomie przy rozpowszechnianiu listu ulotnego do ministra Goebbelsa, w którym zawarto nieprawdziwe i wypaczone twierdzenia mające służyć na szkodę dobru Rzeszy i powadze Rządu".

Nie wiemy, co przeżył ks. Peikert w czasie trzymiesięcznego aresztu. Sam nigdy nie wracał do tego okresu życia. Wiadomo, że naziści napuszczali na więzionych księży zwykłych kryminalistów. Wspomniana już figura Piety jako wotum okresu uwięzienia każe tylko się domyślać koszmaru pobytu we wrocławskim areszcie. 11 listopada 1937 r. władze uznały w końcu, że śledztwo nie wykazało winy ks. Peikerta i został on zwolniony. Trzy lata później kard. Adolf Bertram w dowód szacunku mianował

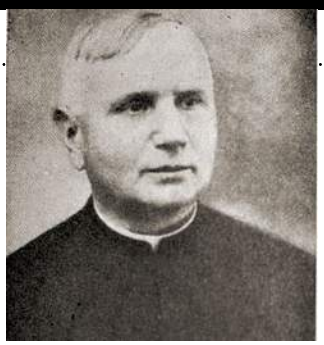

Ksiądz Paul Peikert FOT. SERCESZCZEPINA.PL

go w 1940 r. radcą duchownym archidiecezji wrocławskiej.

W styczniu 1945 r. rozpoczyna się wielka sowiecka ofensywa. W ciągu zaledwie paru tygodni armia sowiecka zajmuje ziemie Polski centralnej, Górny Śląsk i dochodzi w okolice Wrocławia. Początek oblężenia Wrocławia historycy datują na 13 lutego 1945 r.

Od końca stycznia odbywa się gwałtowna ewakuacja mieszkańców metropolii nad Odrą. To efekt ogłoszenia Wrocławia miastem twierdzą. Gauleiter Dolnego Śląska Karl Hanke nakazał setkom tysięcy niemieckich wrocławian opuścić miasto w warunkach srogiej zimy. Ksiądz Peikert należał do grupy ok. 30 księży, którym pozwolono pozostać w mieście w celu opieki duszpasterskiej nad cywilami i żołnierzami Volkssturmu. Reszta duchowieństwa musiała opuścić miasto. Treść dziennika okresu ewakuacji i oblężenia, który zaczął pisać w styczniu 1945 r., wskazuje, że miał wiele źródeł informacji i był bystrym obserwatorem kolejnych etapów zagłady miasta.

Ksiądz Peikert nie kryje w zapiskach oburzenia fanatyzmem nazistowskiego gauleitera Karla Hankego i przerażenia bezwzględnością wojskowych dowódców miasta obojętnych na los ludności cywilnej, która pozostała w mieście.

Już samo pisanie dziennika było aktem odwagi. W razie wykrycia jego diariusza, pełnego krytycznych opinii o rozkazach hitlerowskich władz, kapłan mógł zostać rozstrzelany w trybie doraźnym pod zarzutem siania defetyzmu. To samo groziło za zbieranie informacji o rozwoju sytuacji w oblężonym mieście. O tym, że zapisywanie wydarzeń było ryzykowne, świadczy choćby to, że podobnych świadectw nie jest zbyt wiele.

Najcenniejsza jest część dziennika od 8 do 30 marca, gdy zapisy są prowadzone każdego dnia. Potem kapłan musi opuścić zniszczoną parafię św. Maurycego i tułać się po różnych miejscach schronienia w mieście. Wtedy już dziennika nie dało się prowadzić na bieżąco, najprawdopodobniej nie dałoby się prowadzić zainteresowania wojskowej żandarmerii. Ma to wpływ na zapisy diariusza, które stają się wyrywkowe. Ten okres ks. Peikert opisze w napisanej już po kapitulacji miasta zbiorczej relacji z ostatniej fazy oblężenia twierdzy.

Dla zobrazowania dramatyzmu tej opowieści warto zacytować parę jej fragmentów. Opisując 21 lutego 1945 r. bombardowanie, ks. Peikert notuje: „Sklep z obuwiem Ludwiga, duży, okazały dom pali się dziś od góry do dołu. Straży pożarnej nikt nie widział. Mówiono, że zmotoryzowanej straży brak potrzebnego paliwa. Mocno ucierpiały domy przy Holteihöhe. Znaleziono tam trupy dwóch osób. Jednym był żołnierz, któremu podmuch eksplodującej bomby zdarł z ciała całą odzież".

Z takich opisów, pełnych wizualnej grozy wojny, składa się cała relacja wrocławskiego księdza. Peikert nie pozostawia niedomówień, kogo uznaje za winnego tragedii miasta: „Ludzie upadli bardzo na duchu. Każdy z trwogą wygląda nadchodzących nocy, gdyż naloty z pewnością będą się wzmagać. Wojna, którą dziś prowadzimy, jest już dziś szaleństwem i głupotą. Jej wyniku nie da się już zmienić. Sprowokowana cynicznie przez nasz reżim, stała się najcięższą zbrodnią nie tylko przeciw naszemu narodowi, ale także przeciw całej ludzkości".

W innym fragmencie opisuje spotkanie z parafianinem, który został wcielony do Volkssturmu. Przerażony starszy człowiek jedynie kapłanowi jest w stanie zwierzyć się ze swego strachu i z przygnębienia beznadziejną sytuacją okrążonego miasta.

Księdza Peikerta oburzają też przypadki świętokradztwa. „Kościelny donosi mi o ohydnym wandalizmie na naszym starym cmentarzu św. Maurycego. Zburzono ogrodzenie, kamieni z nagrobków i grobowców użyto do budowy barykad. Wspaniałe, artystycznie wykonane grobowce na skrajach cmentarza, których piękno znane było całemu miastu, zostały zburzone. Ponieważ zbudowane były z mocnego kamienia, wysokie tylne ściany grobowców oplatano stalowymi linami i ciągnąc końmi, przewracano je. Kościelny podszedł do porucznika i zwrócił mu uwagę na tę niesłychaną profanację przybytku śmierci. Porucznikowi było wyraźnie przykro, że wykonuje taką robotę. Odpowiedział zakrystianowi, że komendant miasta, sam

eprasa.pl 91c3417b27

gen. mjr von Ahflen, tu był i zarządził, że każdy nagrobek i każdy grobowiec musi zostać użyty do budowy barykad".

W mieście twierdzy nikt nie mógł być pewny niczego. „Doktorowi Wiesnerowi prowadzi gospodarstwo panna Troschke. [...] wczoraj wracając z dr Treutlem do swego mieszkania, zastała dwóch feldfeblów z dziewczyną. Po prostu włamali się do domu i zdążyli już przetrząsnąć mieszkanie. Bez pozwolenia obwodowej grupy NSDAP otworzyli sobie siłą mieszkanie, mimo że było ono zamieszkane. [...] Ponieważ wysoko postawieni funkcjonariusze bogacą się bez względu na aspekt moralny metod, masy żołnierskie uważają, że wolno im również rabować, przywłaszczać i bogacić się".

Wrocław zniszczony w wyniku oblężenia i walk

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Gorzki schyłek

Ksiądz Peikert mieszkał w polskim już Wrocławiu jeszcze ponad pół roku. Jego zapiski z okresu oblężenia trafiły do archiwum archidiecezji wrocławskiej. Sam duchowny jako Niemiec został poddany obowiązkowi opuszczenia miasta. Nie wiemy, czy Peikert dowiedział się, że niemieccy sąsiedzi jego rodzinnego domu w Bojanowie ukrywali przez parę miesięcy uciekinierów z obozu w Oświęcimiu. Z Wrocławia wyjechał w 1946 r. Pozbawiony rodzinnych stron szybko zmarł 14 sierpnia 1949 r. w swojej nowej parafii Bredenborn w Westfalii.

„Życie po życiu" kroniki ks. Peikerta zaczęło się w latach 60. Jego zapiski zwróciły uwagę jednego z pracowników archiwum archidiecezjalnego i zostały wydane po raz pierwszy w 1964 r. z inicjatywy Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego pod redakcją Jana Trzynadlowskiego. Wzbudziły ogromne zainteresowanie. Łączyły w sobie pryncypialny sprzeciw wobec nazizmu z wieloma szczegółami z realiów oblężenia miasta, które nie były wcześniej znane polskiemu czytelnikowi.

Dla władz komunistycznych wspomnienia te były bardzo wygodne, bo ksiądz, zapewne na zasadzie braku zaufania do nazistowskiej propagandy, odrzucał jako kłamliwą propagandę ostrzeżenia o mordach czerwonoarmistów na cywilach i o gwałceniu Niemek.

Dzisiaj wiemy, że okrucieństwa i molestowanie kobiet nie były wymysłem propagandy Goebbelsa. Wyczulenie na niedolę ludności cywilnej nadaje jednak świadectwu ks. Peikerta charakter uniwersalny. Szczególnie gdy porównamy je ze wspomnieniami niemieckich dowódców obrony miasta. W książce „Festung Breslau w ogniu" generałów Hansa von Ahflena i Hermanna Niehoffa los cywili interesuje tylko w niewielkim stopniu.

Obecnie we Wrocławiu na ścianie odbudowanego po wojnie kościoła św. Maurycego widnieje tablica przypominająca autora „Kroniki dni oblężenia". Doczekała się już czterech wydań. A stojąca do dziś w kościele Pieta jest pamiątką po losach Sprawiedliwego z miasta Breslau.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Korzystałem z: „Paul Peikert – kronikarz oblężonego Wrocławia" Piotra Chrobaka i Pawła Szymkowicza.

REKLAMA

eprasa.pl 91c3417b27

1941 r.

Masakra w

Piotr Zychowicz

Niemieccy spadochroniarze w 1941 r. rozstrzelali mieszkańców wioski na Krecie. Był to odwet za zamordowanie żołnierzy Wehrmachtu

2 czerwca 1941 r. ciężarówki wypełnione żołnierzami przyjechały do Kondomari. Małej wioski położonej wśród gajów oliwnych północnej Krety. Tego dnia panował ekstremalny upał. Niemieccy spadochroniarze mieli na sobie piaskowe, tropikalne mundury i krótkie spodenki. Część na głowach miała korkowe, kolonialne hełmy.

Nie wyglądali specjalnie groźnie, ale zamiary mieli mordercze. Uzbrojeni w karabiny i pistolety maszynowe, błyskawicznie otoczyli wieś. Kierujący akcją por. Horst Trebes rozkazał, żeby wszyscy mieszkańcy Kondomari zebrali się na rynku. Żołnierze w tym czasie rzucili się do przeszukiwania skromnych zabudowań.

„Jeden z nich przyniósł kurtkę niemieckiego spadochroniarza z dziurą po kuli na plecach, którą znalazł w jednym z domów – zeznawał w 1945 r. na procesie norymberskim obecny na miejscu niemiecki fotograf wojenny Franz-Peter Weixler. – Trebes kazał natychmiast spalić ten dom do gołej ziemi. Jeden z mieszkańców wsi przyznał się do zabicia niemieckiego żołnierza, ale nie można było udowodnić nikomu więcej udziału w zabójstwach i grabieżach. Dlatego poprosiłem Trebesa, żeby wstrzymał akcję i wydał rozkaz powrotu, zabierając tylko tego jednego mężczyznę".

Porucznik odmówił. Swoim żołnierzom kazał oddzielić mężczyzn od kobiet i dzieci. Następnie mężczyźni zostali wyprowadzeni pod eskortą do gaju oliwnego. Przerażeni Grecy zbili się w zwartą grupkę, a niemieccy spadochroniarze ustawili się w półkole. Na rozkaz dany przez porucznika otworzyli ogień z karabinów i pistoletów.

Rozległa się dzika kanonada. Wieśniacy zostali zasypani gradem kul. Część próbowała się schronić za drzewem oliwnym, ale nie mogło ono stanowić żadnej ochrony przed pociskami.

Gdy rozwiał się dym prochu, oczom niemieckich spadochroniarzy ukazał się makabryczny widok. Ziemie zaścielały zakrwawione, poskręcane ciała. Część ofiar była jeszcze w przedśmiertnych, agonalnych drgawkach.

„Po piętnastu sekundach było po wszystkim – wspominał Weixler. – Zapytałem Trebesa, który był blady jak papier, czy zdaje sobie sprawę z tego, co zrobił. Odpowiedział, że wykonał tylko rozkaz Hermanna Göringa i pomścił śmierć swoich towarzyszy broni. Kilka dni później za to swoje »bohaterstwo« na Krecie otrzymał od Göringa Krzyż Rycerski".

Nie jest jasne, ilu greckich cywili zginęło podczas masakry w Kondomari. Na wstrząsających zdjęciach, które

eprasa.pl 91c3417b27

Mroczna strona lądowania na Krecie

Kondomari

Niemieccy spadochroniarze przygotowujący się do przeprowadzenia egzekucji

FOT. WIKIPEDIA/BUNDESARCHIV BILD

w trakcie egzekucji i po jej zakończeniu zrobił Franz-Peter Weixler widać około 10–12 ciał. Niemieckie źródła mówią o 23 zamordowanych, a greckie o... 60. To ostatnie należy jednak uznać za objaw wojennej propagandy, a nie odzwierciedlenie faktów.

Weixler w swoim zeznaniu złożonym w 1945 r. twierdził, że wykorzystał moment nieuwagi Trebesa i umożliwił dziewięciu zakładnikom ucieczkę. Na fotografiach widać również, że w momencie otwarcia ognia trzech Greków uciekło między drzewa oliwne.

RYS. JACEK GRAMBURG

Polowanie na spadochroniarzy

Dlaczego Niemcy dopuścili się tej zbrodni wojennej? Dlaczego zamordowali greckich wieśniaków? Aby odpowiedzieć na to pytanie, należy się cofnąć o 12 dni – do 20 maja 1941 r. Tego dnia rozpoczęła się niemiecka operacja powietrznodesantowa o kryptonimie Merkury. Jej celem było opanowanie Krety, na której schroniła się część brytyjskich i greckich wojsk wypartych z kontynentalnej części Grecji.

Zdobycie Krety miało dla Adolfa Hitlera ogromne znaczenie strategiczne. Raz, że Kreta ze swoimi portami mogła stać się groźnym bastionem brytyjskim w basenie Morza Śródziemnego. Dwa, że ze znajdujących się na Krecie lotnisk bombowce RAF mogłyby dosięgnąć rumuńskich pól naftowych.

Ich zniszczenie oznaczałoby zaś odcięcie niemieckich sił pancernych od dostaw paliwa. Führer uznał więc, że bez opanowania Krety nie może wydać rozkazu o ataku na Związek Sowiecki. W trakcie operacji „Barbarossa" to bowiem właśnie niemieckie czołgi miały odegrać główną rolę. Przełamać bolszewicki opór i okrążyć Armię Czerwoną.

Operacja „Merkury" była największą operacją powietrznodesantową w dotychczasowej historii świata. Wzięło w niej udział 20 tys. niemieckich spadochroniarzy. Ich zadaniem było zaskoczenie Brytyjczyków i opanowanie portów oraz lotnisk. Dzięki temu Wehrmacht mógł przerzucić

eprasa.pl 91c3417b27

Egzekucja w Kondomari. Zdjęcia wykonał niemiecki fotograf wojenny Franz-Peter Weixler

FOT. WIKIEPDIA/BUNDESARCHIV BILD

na Kretę czołgi i piechotę, która dokończyłaby dzieła podboju wyspy.

Na papierze wszystko wyglądało pięknie i przebiegło gładko. Śmiałość zamysłu i wielkość operacji miały sparaliżować obrońców wyspy. Tak się jednak nie stało. Niemieccy spadochroniarze napotkali na Krecie niezwykle zacięty opór. Doszło do długotrwałych krwawych walk, w których ponieśli kolosalne straty.

Czoło stawiły im nie tylko oddziały brytyjskie, nowozelandzkie, australijskie i greckie. W walkach wzięło również udział pospolite ruszenie złożone z Kreteńczyków. Wypływało to z kultury i obyczajów panujących na wyspie. Niemal każdy mężczyzna miał tam broń palną, której używał do polowań na dzikie zwierzęta. Kreteńczycy byli też znani ze swojej bojowości i z zaciętości.

Nie tylko byli świetnymi strzelcami, lecz także doskonale znali topografię swojej wyspy. Wiedzieli, jak się ukryć i zaatakować znienacka przeciwnika. W efekcie część niemieckich spadochroniarzy, którzy lądowali na wyspie w dużym rozproszeniu, została osaczona i musiała stoczyć samotną walkę z uzbrojonymi cywilami.

Czasami kończyło się to brutalnym linczem. Zanim spadochroniarz zdążył się wyplątać z linek, był osaczony przez tłum, który wypatrywał na niebie opadających spadochronów. Spadały na niego ciosy kijów, siekier, noży i innych narzędzi rolniczych. Ciało Niemca było zaś okradane przez biednych kreteńskich wieśniaków. Zabierano buty, broń, przedmioty osobiste.

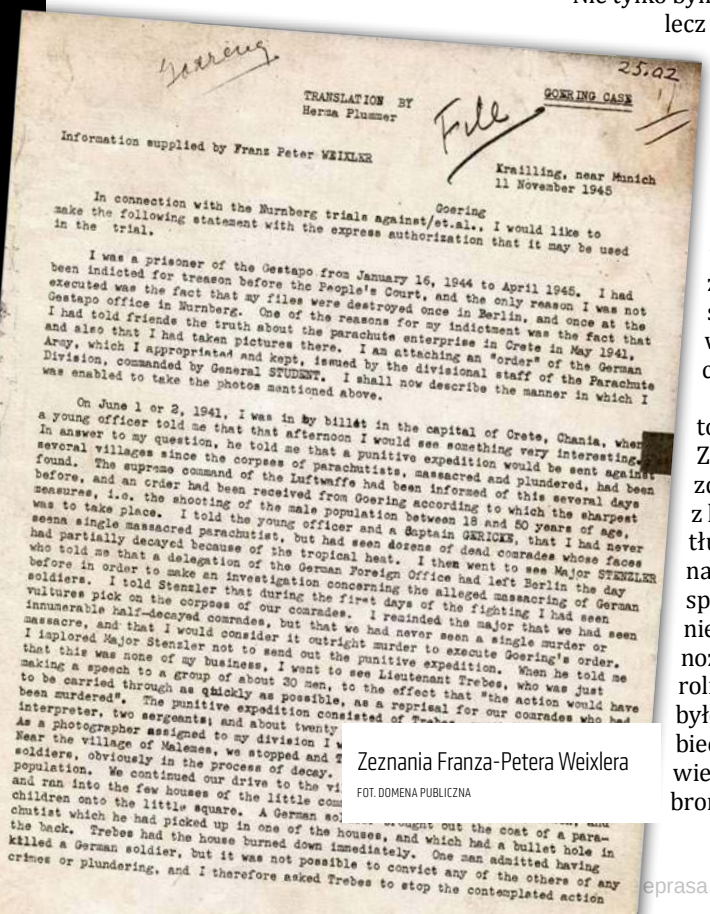

Goering

25.02

TRANSLATION BY
Herma Plummer

GOERING CASE

File

Information supplied by Franz Peter WEIXLER

Krailling, near Munich
11 November 1945

In connection with the Nurnberg trials against Goering et.al., I would like to make the following statement with the express authorization that it may be used in the trial.

I was a prisoner of the Gestapo from January 16, 1944 to April 1945. I had been indicted for treason before the People's Court, and the only reason I was not executed was the fact that my files were destroyed once in Berlin, and once at the Gestapo office in Nurnberg. One of the reasons for my indictment was the fact that I had told friends the truth about the parachute enterprise in Crete in May 1941, and also that I had taken pictures there. I am attaching an "order" of the German Army, which I appropriated and kept, issued by the divisional staff of the Parachute Division, commanded by General STUDENT. I shall now describe the manner in which I was enabled to take the photos mentioned above.

On June 1 or 2, 1941, I was in my billet in the capital of Crete, Chania, when a young officer told me that that afternoon I would see something very interesting. In answer to my question, he told me that a punitive expedition would be sent against several villages since the corpses of parachutists, massacred and plundered, had been found. The supreme command of the Luftwaffe had been informed of this several days before, and an order had been received from Goering according to which the sharpest measures, i.e. the shooting of the male population between 18 and 50 years of age, was to take place. I told the young officer and a Captain GERICKE, that I had never seena single massacred parachutist, but had seen dozens of dead comrades whose faces had partially decayed because of the tropical heat. I then went to see Major STENZLER who told me that a delegation of the German Foreign Office had left Berlin the day before in order to make an investigation concerning the alleged massacring of German soldiers. I told Stenzler that during the first days of the fighting I had seen vultures pick on the corpses of our comrades. I reminded the major that we had seen innumerable half-decayed comrades, but that we had never seen a single murder or massacre, and that I would consider it outright murder to execute Goering's order. I implored Major Stenzler not to send out the punitive expedition. When he told me that this was none of my business, I went to see Lieutenant Trebes, who was just making a speech to a group of about 30 men, to the effect that "the action would have to be carried through as quickly as possible, as a reprisal for our comrades who had been murdered". The punitive expedition consisted of Trebes

interpreter, two sergeants; and about twenty

As a photographer assigned to my division I

Near the village of Malemes, we stopped and

soldiers, obviously in the process of decay.

population. We continued our drive to the vi

and ran into the few houses of the little com

children onto the little square. A German so

chutist which he had picked up in one of the houses, and which had a bullet hole in the back. Trebes had the house burned down immediately. One man admitted having killed a German soldier, but it was not possible to convict any of the others of any crimes or plundering, and I therefore asked Trebes to stop the contemplated action

Zeznania Franza-Petera Weixlera

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Takich drastycznych przypadków najprawdopodobniej nie było dużo, ale wieści o nich szybko rozeszły się w szeregach niemieckich sił inwazyjnych. Oczywiście w wyolbrzymionej skali. Żołnierze mówili między sobą o okrutnych, dzikich Grekach, którzy mieli rzekomo wyłupiać oczy i wycinać języki ich schwytanym kolegom.

W gajach oliwnych, na stokach gór i przy drogach znajdowano ciała zaginionych spadochroniarzy, które – rozdęte, gnijące na piekącym słońcu, na wpół zjedzone przez sępy – wyglądały rzeczywiście makabrycznie. W niemieckich żołnierzach rodziło to przerażenie i chęć zemsty.

Oficerowie Wehrmachtu uznali, że doszło do poważnego naruszenia prawa wojennego. Zgodnie z pruską tradycją, która była nadal żywa w korpusie oficerskim armii III Rzeszy, wojna powinna być bowiem prowadzona przez profesjonalistów. Czyli umundurowanych wojskowych. Formacje regularne, a nie cywilną hałastrę.

Pogląd ten jest oczywiście słuszny, ale działania, które w odpowiedzi podjęła niemiecka armia, trudno usprawiedliwić. Zastosowano bowiem zasadę odpowiedzialności zbiorowej. Gdy informacje z Krety dotarły do Hermanna Göringa, dowódca Luftwaffe wpadł w furię. I kazał podległym sobie oddziałom dokonać surowego odwetu.

Konkretny rozkaz wydał gen. Kurt Student, a jednym z jego wykonawców był por. Horst Trebes, który 2 czerwca 1941 r. na czele ekspedycji karnej udał się do wioski Kondomari. Miejscowość ta

eprasa.pl 91c3417b27

znajduje się o 3 km od pasa startowego w Maleme, który był jednym z celów operacji „Merkury".

W rejonie toczyły się ciężkie walki. A po ich zakończeniu Niemcy znaleźli w pobliżu Kondomari kilka zmasakrowanych ciał w mundurach Luftwaffe. Uznali, że jest to dzieło mieszkańców wioski, i postanowili ich ukarać. Żołnierze byli pod wpływem silnych emocji. Porucznik Trebes pokazał im trupy kolegów i wezwał do ich pomszczenia.

Egzekucja została przeprowadzona bez sądu, udział w mordowaniu niemieckich spadochroniarzy udowodniono tylko jednemu Grekowi. Zastrzelenie pozostałych należy więc uznać za zbrodnię wojenną.

Walter Gericke, dowódca batalionu, i Horst Trebes, sprawca masakry FOT. WIKIPEDIA/BUNDESARCHIV BILD

Kondomari nie była jedyną masakrą dokonaną przez spadochroniarzy z Luftwaffe. Następnego dnia – 3 lipca 1941 r. – w pobliskiej miejscowości Kandanos doszło do jeszcze większej tragedii. Niemcy wymordowali mieszkańców wioski, a jej zabudowania spalili. Ofiar, według niektórych źródeł, miało być aż 180.

Był to odwet za zasadzkę, którą w trakcie walk o wyspę mieszkańcy Kandanos urządzili na niemieckich motocyklistów i żołnierzy wojsk inżynieryjnych. W krwawej jatce, którą zgotowali żołnierzom Kreteńczycy, zginąć miało 25 Niemców. Według władz okupacyjnych w ataku wzięli udział nie tylko greccy mężczyźni, lecz także kobiety. Dlatego w odwecie Niemcy zdecydowali się zrównać z ziemią całą wioskę.

Zbrodnia bez kary

Jak potoczyły się losy bohaterów tego dramatu? Generał Kurt Student w 1947 r. stanął przed brytyjskim trybunałem wojskowym. Prośba o jego ekstradycję wystosowana przez rząd Grecji została odrzucona. Student został skazany na pięć lat więzienia, ale wyszedł na wolność w 1948 r. z powodu złego stanu zdrowia. Zmarł w roku 1978.

Porucznik Horst Trebes – oficer, który dokonał masakry w Kondomaris – poległ w lipcu 1944 r. w trakcie walk w Normandii.

Z kolei fotograf i korespondent wojenny Franz-Peter Weixler został pociągnięty do odpowiedzialności przez władze narodowosocjalistyczne. Jeszcze w 1941 r. wyrzucono go z Wehrmachtu i skonfiskowano mu kliszę ze zdjęciami, które zrobił podczas egzekucji. Na szczęście zdążył on jednak wysłać odbitki do swojego znajomego w Atenach.

Franz-Peter Weixler został oskarżony o zdradę interesów Rzeszy, którą miało być rozpowszechnianie informacji o koszmarze, jakiego był świadkiem na Krecie. Pod koniec wojny został nawet aresztowany przez gestapo, a po jej zakończeniu złożył pisemne zeznanie do trybunału norymberskiego. W 1955 r. pojechał na Kretę i spotkał się z mieszkańcami wioski.

Fotografie Franza-Petera Weixlera w 1980 r. w niemieckich archiwum federalnym odnalazł grecki dziennikarz Vassos Mathiopoulos. Opublikowane przez grecką prasę zrobiły wstrząsające wrażenie na greckiej opinii publicznej. Jest to bez wątpienia materiał unikalny. W przypadku żadnej innej masakry dokonanej przez niemieckie wojska nie zachowała się tak drobiazgowa dokumentacja fotograficzna. Kondomari uznawana jest obecnie przez greckie władze za „wieś męczenników".

Operacja na Krecie przyniosła Niemcom straty – ponad 350 samolotów i ponad 4 tys. poległych – które zszokowały Adolfa Hitler. W efekcie zakazał on przeprowadzania w przyszłości podobnych operacji powietrznodesantowych, uznając je za zbyt kosztowne i ryzykowne.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 91c3417b27

Maciej Rosalak

Ofiarami mieczy i muszkietów konkwistadorów Pizarra – ale najbardziej ospy – padło 95 proc. mieszkańców Peru

Konny konkwistador w pełnej zbroi i z mieczem oraz wojownik inkaski z dzidą i drewnianą tarczą

RYS. MAREK SZYSZKO

A.D. 1532 / Hiszpański sen o Eldorado

Zagłada imperium Inków

Wśród licznych Hiszpanów, którzy po odkryciu Nowego Świata i podboju Meksyku (1521) przez Hernána Cortésa marzyli o mitycznej krainie złota – Eldorado, był pewien nieślubny syn kapitana armii królewskiej oraz chłopki. Zresztą kuzyn Cortésa. Zwał się Francisco Pizarro (1478–1541).

Od 24. roku życia uczestniczył w penetracji północnych wybrzeży Ameryki Południowej, jako jeden z pierwszych białych ujrzał Pacyfik, a w 1524 r. ruszył za zgodą gubernatora na czele 80 awanturników z Panamy na południe, aby sprawdzić pogłoski o wielkim państwie pełnym złota. Do tego państwa dotarł po wielu perypetiach, walkach i głodowaniu dopiero parę lat później, podczas drugiej wyprawy. Ze 160 wojaków zostało przy nim tylko 13, ale ci ujrzeli nareszcie złoto u nadzwyczaj gościnnych mieszkańców Tumbes na granicy Peru.

Gubernator nie chciał słyszeć o trzeciej wyprawie, w Hiszpanii Francisco Pizarro trafił do więzienia za długi, ale w końcu udało mu się dotrzeć na dwór Karola V, zainteresować go kolejnym źródłem dostaw drogocennego kruszcu i zawrzeć 26 lipca 1529 r. z dworem umowę, wedle której miał zorganizować wyprawę i podbić to wielkie, nieznane, a kapiące złotem państwo.

Państwo „dzieci Słońca”

Peru wchodziło w skład imperium Inków, które powstało trzy wieki wcześniej z głównym ośrodkiem w Cuzco, a obejmowało liczne plemiona i rozległe tereny od oceanu do Andów i od granicy z Kolumbią do dzisiejszego Chile. W linii południkowej ciągnęło się więc tysiące kilometrów. Miało imponująco rozbudowaną infrastrukturę drogową, zapewniającą sprawne zarządzanie i łączność z najbardziej nawet odległymi od stolicy prowincjami. Inkowie wznosili też zadziwiające do dziś budowle – świątynie, pałace i całe miasta – z precyzyjnie dopasowanych, wielkich bloków skalnych.

Wedle mitologii inkaskiej imperium założył Syn Słońca – Manco Capac. Słońcu – Inti – które stało na szczycie inkaskiego panteonu, poświęcono wielką świątynię w Cuzco. Tuż obok niego znajdowali się: Viracocha – Stwórca oraz Inti Illapa – Piorun. Składano im ofiary, także z ludzi.

eprasa.pl 91c3417b27

Pierwszym historycznym władcą był natomiast Pachacutec. On i jego następcy, zwani Sapa Inka, byli otaczani boską czcią oraz setkami żon i nałożnic, ogromnym dworem i służbą, mieli do dyspozycji wielotysięczną armię żołnierzy i urzędników. Sprawa następstwa tronu nie została jednak uregulowana i stąd bratobójcza walka po śmierci 11. Inki – Huayna Capaca – między jego synami Huascarem i Atahualpą, na którą akurat trafili Hiszpanie.

Zgodnie z umową zawartą w Madrycie Pizarro miał objąć urząd gubernatora podbitych w przyszłości terytoriów, uhonorowani też zostali jego wspólnicy – ks. Luque i Diego de Almagro – a do towarzystwa doszlusowało siedmiu dominikanów, trzech urzędników królewskich oraz trzech przyrodnich braci Francisca Pizarra: Hernando, Juan i Gonzalo (tylko ten pierwszy był z prawego łoża). Na początku 1531 r. wraz z 200 podkomendnymi Pizarro wyruszył z Hiszpanii na podbój Peru poprzez ocean i Wyspy Perłowe, lądując na koniec morskiej podróży w Zatoce św. Mateusza.

Po ciężkim marszu dotarli Hiszpanie do Tumbes. Miasto zostało jednak w międzyczasie zniszczone wojną domową pomiędzy synami 11. Inki, a mieszkańcy zachowali się nieprzychylnie. Konkwistadorzy uparcie przemierzali jałowe wybrzeże, tocząc walki z tubylcami. Pod koniec września 1532 r. założyli osadę San Miguel. Nieopodal Huancubamby Pizarro spotkał się z wysłannikiem Atahualpy, któremu zaproponował pomoc dla króla, oczekując w zamian gwarancji bezpieczeństwa, kwater i żywności. Mieli się spotkać w siedzibie Inki – Cajamarce. Atahualpa przybył tam po Hiszpanach, których lekceważył przekonany o swej miażdżącej przewadze liczebnej. Wyglądało na to, że chciał zwabić Hiszpanów w głąb imperium i ich zgładzić.

Pizarro też szykował podstęp. Wzorem Cortésa zamierzał zwabić pewnego siebie władcę do miasta jedynie z częścią sił, schwytać go i mając w ręku cennego zakładnika, zgromadzić wspaniały łup i rządzić jego państwem. W przeciwieństwie do swych wojaków nie uległ trwodze na wieść, że Atahualpa zbliża się na czele 40-tysięcznej armii. Bezczelnie zażądał od imperatora – poprzez wysłanego doń duchownego ojca Vincente'a Valverde – aby przyjął nową wiarę oraz hiszpańskie zwierzchnictwo. Gdy ten odmówił i ze wzgardą rzucił podaną mu Biblię na ziemię, na znak dowódcy konkwistadorów z domów, ulic i zaułków w pobliżu głównego placu Cajamarki wysypali się ukryci tam wcześniej hiszpańscy piechurzy i jeźdźcy, uzbrojeni w straszliwą dla tubylców broń: rapieromiecze i muszkiety.

Masakra i złoty okup

Był 16 listopada 1532 r.

Gdy zakonnik ze zbezczeszczonym Pismem Świętym zawołał do Hiszpanów: „Czy nie widzicie, że podczas gdy my stoimy i tracimy czas na rozmowy z tym pełnym pychy psem, okoliczne pola zapełniają się Indianami? Ruszajcie natychmiast! Rozgrzeszam was!", ustawieni w szyku Hiszpanie z okrzykiem „Santiago!" natarli na zaskoczonych Indian. Zdwojony echem huk wystrzałów brzmiał jak pioruny, a widziane przez nich po raz pierwszy konie z metalowymi jeźdźcami na grzbietach przypominały jakieś mityczne monstra, dzwoniące przy tym przywiązanymi do uzd dzwoneczkami.

Tratowani końskimi kopytami, cięci długimi mieczami, przebijani ostrymi pikami bezbronni właściwie tubylcy bezradnie ginęli. W końcu ich tłum runął do panicznej ucieczki, która – jak zawsze w takich wypadkach – zakończyła się masakrą. Zginęło wtedy może 2 tys., a może aż 4 tys. inkaskich żołnierzy. Wokół lektyki króla ofiarnie ginęli jego wierni dworzanie, aż w końcu lektyka runęła, a „boski" władca legł u stóp najeźdźców. Przed ciosami ich mieczy Pizarro zasłonił go własnym ciałem, krzycząc: „Niechaj nikt, komu życie miłe, nie waży się uderzyć Inki!".

Portret Francisca Pizarra

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Gdy wiadomość o ujęciu Atahualpy przez wrogów rozniosła się wśród usiłujących jeszcze walczyć inkaskich wojowników, ci natychmiast złożyli broń. W ich ślady poszła reszta armii stojącej w odwodzie, która straciła ochotę do walki na wieść o losie króla.

Nikt spośród Hiszpanów nie zginął i tylko sam ich dowódca został lekko zraniony. Cena, którą Francisco Pizarro zapłacił za pokonanie armii Atahualpy, ujęcie jego samego żywcem i ułatwiony podbój wielkiego państwa, nie była więc wysoka. Ocalenie życia władcy

eprasa.pl 91c3417b27

Inków nie było zaś podyktowane chrześcijańskim miłosierdziem, lecz wynikającym z chciwości wyrachowaniem. Inka spełnił jego oczekiwania.

Gdy zaproponował zwycięzcom okup za swą wolność, wypełniając złotem całą salę, Hiszpanie przyjęli to gromkim śmiechem. Kiedy jednak Pizarro wyrysował na wysokości ok. 2 m czerwoną linię, do której miały sięgać skarby, a król się zgodził dać im glejty nadzorców ich ściągania z całego imperium, zaczęto realizować kontrakt.

W Pachacamac, gdzie znajdowała się sławna wyrocznia, Hernando Pizarro na oczach przygnębionych Indian sprofanował świątynię i zabrał złote trofea. Uwięziony przez ludzi Atahualpy Huascar obiecał Hiszpanom jeszcze większy okup niż jego rywal. Gdy Pizarro zażądał od Atahualpy sprowadzenia Huascara do Cajamarki, ten skrycie kazał go zabić, zrzucając winę na swych nadgorliwych poddanych.

A najeźdźcy rozjeżdżali się po indiańskim imperium, które kapitulowało, ulegli zaś mieszkańcy oddawali złote ozdoby i przedmioty kultu, otrzymując w zamian zarazki ospy i innych śmiertelnie groźnych chorób. Po spenetrowaniu ziem Peru konkwistadorzy szukali cennego kruszcu na ziemiach dzisiejszego Ekwadoru, Boliwii i Chile, niosąc wszędzie – nawet nieświadomie – śmierć. Powstawały wciąż nowe ogniska zarazy, skąd rozprzestrzeniała się ona dalej i dalej…

Pizarro kazał przetapiać niemal wszystkie złote przedmioty, które obficie spływały do Cajamarki. Spuścizna wspaniałej kultury Indian południowoamerykańskich zamieniała się podczas jednego miesiąca w sztaby – łatwiejsze zarówno do podziału wśród zdobywców, jak i do wysłania za ocean. Piątą ich część wydzielono dla cesarza, a transport do Hiszpanii Pizarro powierzył bratu Hernando mocno skonfliktowanemu z Almagrem, który to wspólnik pojawił się właśnie w Tumbes.

Wartość złotego okupu za życie Atahualpy obliczono na 1 326 539 złotych pesos i 51 610 marek srebra (1 marca = 230 g srebra, a 1 peso de oro = 4,6 g czystego złota). Dowódca zagarnął dla siebie 2350 marek srebrnych i 57 220 pesos oraz złoty tron Inki, wyceniony na 25 tys. pesos. Duże udziały otrzymali oficerowie, a jeźdźcy dwukrotnie więcej niż piechurzy. Natomiast 250 zbrojnych ludzi Almagra otrzymało skromne wynagrodzenie, gdyż nie brało udziału w pojmaniu Inki. Tym bardziej spieszyli się, by ruszyć na Cuzco…

Francisco Pizarro i jego ludzie ruszają na podbój Peru

FOT. WIKIPEDIA

Wcześniej Diego de Almagro przyczynił się do śmierci Atahualpy, organizując sfingowany proces. Pretekstem była śmierć Huascara i rzekome organizowanie powstania przeciw Hiszpanom. Pomocnikami Almagra okazali się skarbnik królewski oraz tłumacz Felipillo, pragnący jak najszybciej posiąść pewną kobietę z królewskiego haremu. Skazali pojmanego króla – któremu nie pomogło świadectwo spłacenia okupu wystawione przez Pizarra – na stos. W obawie przed śmiercią w płomieniach król zgodził się przyjąć chrzest. Ochrzczony „Juan" Atahualpa pod koniec lipca 1533 r. został uduszony garotą. Na pocieszenie (?) urządzono mu uroczysty pogrzeb, a ciało złożono w kościele.

Nie doczekali…

Francisco Pizarro i Diego de Almagro jeszcze w zgodzie zajęli wysokogórskie Cuzco 14 listopada 1533 r. Rzezi nie trzeba było dokonywać i Pizarro nawet zabronił rabować mieszkańców. Aby zaś skutecznie zarządzać zdobywanym terytorium, powołał następców Atahualpy – najpierw został nim Tupa Hualpa, a gdy umarł – Manco Inka. Z pałaców i ze świątyń Cuzco zabrano złoto wycenione na 580 tys. pesos oraz srebro wartości 250 tys. marek. Sporo przypadło żołnierzom Almagra, ale wzajemna nieufność i zawiść, która tliła się między nim a Pizarrem i jego braćmi od początku wyprawy do Peru, prowadziły do zatargów, konfliktów, a w końcu otwartej wojny.

Jeszcze zanim do niej doszło, Pizarro założył hiszpańskie ośrodki w peruwiańskich Cuzco i Limie oraz ekwadorskim Quito. Almagro natomiast bez większego powodzenia atakował ziemie chilijskie. Sytuację komplikowały przybywanie kolejnych hiszpańskich konkurentów do władzy i złota oraz budowa kolejnych sojuszy w zmiennych konfiguracjach. Indianie – zarówno Inkowie, jak i inne plemiona – również walczyli między sobą i popierali to jedną, to drugą stronę konkwistadorów. Na wymarłe od zarazy miasta i wioski nikt większej uwagi nie zwracał. Ospa dokonywała śmiertelnego żniwa bezgłośnie. Ta i inne zarazy zabiły podczas konkwisty peruwiańskiej 95 proc. nieodpornej na europejskie wirusy i bakterie miejscowej ludności!

A rywale walczyli coraz bardziej zajadle, hiszpańska i indiańska krew lała się strumieniami, a główni bohaterowie wyprawy do Peru z początku lat 30. XVI w. schodzili ze sceny jeden po drugim. Oto jakby kalendarium inspicjenta owego mrożącego krew w żyłach przedstawienia:

Rok 1534. Indiański przywódca powstania przeciw Hiszpanom – Quizquiz – ginie zamordowany przez pobratymców.

eprasa.pl 91c3417b27

Rok 1536. Juan Pizarro ginie w Cuzco oblężonym przez zbiegłego z niewoli Manco Inkę. Gdy jednak Almagro „wyzwala" miasto, więzi pozostałych braci Francisca – Hernanda i Gonzala. Ten drugi zdołał zbiec, a pierwszego Almagro sam uwolnił po zapewnieniu Francisca, że cały spór skieruje do rozsądzenia przed królewski trybunał. Nie dotrzymał słowa.

6 kwietnia 1538 r. Pod Las Salinas bitwę armii obu rywali przegrał Almagro. Został uduszony cztery miesiące później, a z nim życie stracili także jego stronnicy.

26 kwietnia 1541 r. Syn Diego – zwany Almagrem Młodszym – zamordował Pizarra na czele 20 spiskowców krzyczących: „Śmierć tyranowi!". Zaskoczyli Pizarra w jego własnym domu. Chociaż mężnie samoczwart się bronił, godzinę przed północą padł pod ciosami napastników.

16 września 1542 r. Na płaskowyżu Chupas wojsko samozwańczego gubernatora Almagro Młodszego pokonał, a jego samego ujął i stracił, pełniący obowiązki gubernatora Vaca de Castro.

18 stycznia 1546 r. Pod Anaquito buntownicy pod wodzą Gonzala Pizarro rozbili wojska wicekróla Blasco Núnez de Vela. Bunt spowodowały przepisy skierowane „przeciwko siejącym zamęt".

9 kwietnia 1548 r. Pod Jaquijaguamą część buntowników, którym obiecano przebaczenie, przeszła pod królewskie sztandary, Gonzalo poniósł klęskę i wkrótce po bitwie został stracony.

A Manco Inka po ucieczce spod Cuzco zorganizował w górach nowe państwo z siedzibą w Vilcabambie. W 1544 r. zamordowali go szukający schronienia w górach almagryści. Potomkowie Manco Inki, nieniepokojeni przez Hiszpanów w górskim państewku, rządzili jeszcze prawie 30 lat. Sytuacja zmieniła się w 1572 r. Wraz ze śmiercią Tupaca Amaru – ostatniego władcy Vilcabamby – zakończył się ostatecznie podbój Peru. Nie doczekał tego ani ks. Luque, ani jego następca na peruwiańskim biskupstwie ks. Vincente Valverde, zamordowany w 1541 r., ani skarbnik Riquelme, który przyczynił się do skazania na śmierć Atahualpy. Z głównych bohaterów przeżył o sześć lat ów moment tylko Hernando Pizarro – ale po spędzeniu 21 lat w więzieniu w Hiszpanii.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Żegnaj, Przyjacielu...

Maciej Rosalak

To był wybitny badacz dziejów, z którym – od studiów historycznych na Uniwersytecie Warszawskim – miałem szczęście przyjaźnić się aż do Jego śmierci w końcu czerwca bieżącego roku. Wiek 72 lat nie musi wyznaczać kresu pożytecznej pracy uczonego. A w osobie **prof. dr. hab. Marka Kazimierza Kamińskiego** polska nauka historyczna straciła wybitnego znawcę polityki okresu drugiej wojny światowej, a zwłaszcza sytuacji i losów Polski. Jego kariera naukowa – wiodąca ku Instytutowi Historii PAN – była niełatwa, tak jak zresztą i innych kolegów, którzy odmawiali wstąpienia do PZPR. Zamiast legitymacji partyjnej pomagał Mu charakter, pracowitość i zdolności. Wśród licznych publikacji niezatartym Jego dokonaniem pozostanie zaś w polskiej historiografii pionierski cykl znakomicie udokumentowanych książek poświęconych stosunkom polsko-czechosłowackim od 1918 do 1960 r.

FOT. IH PAN

Aby zebrać wystarczający materiał źródłowy, w ciągu wielu lat penetrował nie tylko archiwa krajowe, lecz także w Pradze i Londynie. Kolejne książki mógł – bez cenzury i nacisków politycznych – publikować dopiero po 1989 r. Oto ta imponująca seria, która ukazała się w latach 1990–2014: „Polsko-czechosłowackie stosunki polityczne 1945–1948", „Polska i Czechosłowacja w polityce Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii 1945–1948", „Konflikt polsko-czeski 1918–1921", „Edward Beneš kontra gen. Władysław Sikorski. Polityka władz czechosłowackich na emigracji wobec rządu polskiego na uchodźstwie 1939–1943; Edvard Beneš we współpracy z Kremlem. Polityka zagraniczna władz czechosłowackich na emigracji 1943–1945", „Kształtowanie się stosunków polsko-czechosłowackich w latach 1948–1960", „Szkice z dziejów Polski i Czechosłowacji w latach trzydziestych XX wieku".

Pisał piękną polszczyzną: prostą i nienaganną. Unikał patosu – tak w pisaniu o historii, jak w życiu – a nie unikał ironii. Niektórzy koledzy mieli mu za złe chłód i pewną uszczypliwość w obejściu, ale to był tylko taki pancerz, za którym chronił ogromną wrażliwość. Poznałem Go w gronie kolegów z dość podobnych rodzin – inteligenckich, o niewysokim w PRL statusie materialnym, mieszkających z dala od centrum, ale wyznających tradycyjny, polski system wartości. Dzieci ze środowisk tzw. nomenklatury trzymały się raczej osobno. Gdy w Grudniu 1970 r. dotarły wiadomości o masakrze na Wybrzeżu i postanowiliśmy założyć tajną organizację, w głowach mieliśmy – zamiast „naprawiania socjalizmu" – sztyletników A.D. 1863, POW i AK. Opatrzność chciała, że po studiach poznałem Marka z moją koleżanką z dziennikarstwa Marysią, a po roku zostałem świadkiem na ich ślubie. Następnie, w ciągu niemal 50 lat, mogłem niejednokrotnie stwierdzić, jak bardzo Marek był kochającym mężem Marysi i ojcem udanego syna – Maciusia...

Zawsze dążyliśmy do spotkań w znaczących dla ojczyzny momentach, a w stanie wojennym, gdy Marek został dystrybutorem podziemnych wydawnictw, wprowadził mnie do stałego rozdzielnika. Ostatnio spotykaliśmy się rzadziej, ale niedawno Marek powiedział znaczące dla mnie słowa: – Kiedy znów się widzimy, mam wrażenie, że rozstaliśmy się wczoraj, nadal mówimy na jednej fali... Cóż, Przyjacielu, mam nadzieję, że kiedy znów się spotkamy – tam, dokąd już poszedłeś – powiesz to samo... ©℗

eprasa.pl 91c3417b27

Wywiad / Z Iainem Ballentyne'em, brytyjskim marynistą, autorem książek o okrętach podwodnych

rozmawia Piotr Włoczyk

Zabójcy U-Bootów

Niemiecki okręt podwodny na ilustracji autorstwa Augusto Ferrera-Dalmau FOT. WIKIMEDIA COMMONS

PIOTR WŁOCZYK: Dlaczego pisze pan w swojej książce, że 9 maja 1941 r. popełniony został jeden z największych błędów w historii wojen?

IAIN BALLENTYNE: Ponieważ ten jeden incydent w dużej mierze zaważył na przebiegu działań wojennych na Atlantyku. Sukces, który wówczas osiągnęli Brytyjczycy, był kluczowy w ich zmaganiach z U-Bootami.

Co się stało tego dnia z kpt. Fritzem-Juliusem Lempem?

Gdy doszło do tego incydentu, był on już wypalony, zmęczony walką. Chociaż dowodzący niemiecką flotą podwodną adm. Karl Dönitz, widząc, że Lemp potrzebuje odpoczynku, chciał go przekonać do objęcia jakiejś funkcji na lądzie, ten wciąż odmawiał powrotu. Cały czas chciał być na morzu. Takich kapitanów U-Bootów było więcej. Bez przerwy wracali na morze, jakby byli uzależnieni od tego życia, aż w końcu ginęli wraz ze swoimi okrętami. Trudno tu mówić o niekompetencji Lempa, ponieważ był to jeden z najskuteczniejszych niemieckich podwodniaków. Po prostu popełnił tego dnia ogromny błąd, który okazał się fatalny dla Kriegsmarine.

Cała historia zaczęła się zwyczajnie – Lemp, zaczajony na południe od Islandii, chciał zaatakować kolejny przepływający tamtędy konwój...

Sprawy szybko przybrały jednak dla niego niebezpieczny obrót. Okręty osłony wzięły na celownik jego U-110, obrzucając go bombami głębinowymi. Lemp schodził coraz głębiej i robił zwroty, śmiejąc się i mówiąc – jak później zeznała załoga – „Chyba nie myślicie, że dam się złapać, żeby mnie rozstrzelali?".

Bał się zemsty Brytyjczyków za „Atenię"?

Na to wygląda. To on 3 września dowodził okrętem podwodnym, który zatopił ten wielki statek pasażerski. Jednak wiele wskazuje na to, że była to pomyłka – Lemp myślał, że jest to okręt Royal Navy. Nawiasem mówiąc, była to pierwsza brytyjska jednostka zatopiona w tamtej wojnie. Kapitan U-110 mógł się więc obawiać, że Brytyjczycy potraktują go bardzo ostro.

Lemp robił wszystko, by umknąć tropiącym go okrętom Royal Navy, ale tego dnia nie miał szczęścia. Zrzucane przez nie bomby głębinowe w końcu śmiertelnie uszkodziły jego U-Boota. Kiedy Lemp

eprasa.pl 91c3417b27

zrozumiał, że nie ma szans, chciał tylko uratować swoją załogę.

Czyli nie był typem fanatyka, który prędzej zginie, niż trafi w ręce wroga.

Wszystko wskazuje na to, że nie był takim typem kapitana, choć tacy też się przecież zdarzali. Przeczytałem protokoły z przesłuchań załogi U-110. Wśród marynarzy istniał konflikt pomiędzy nielicznymi nazistowskimi fanatykami i całą resztą. Lemp był gdzieś pomiędzy nimi, starając się załagodzić atmosferę. Dość powiedzieć, że pozwalał załodze puszczać zabroniony w Kriegsmarine jazz…

Jak wyglądała operacja wynurzenia?

Załoga zgłaszała problemy z oddychaniem – najprawdopodobniej uszkodzone baterie wydzielały trujący gaz. Lemp wydał rozkaz wynurzenia, ale aparatura była zniszczona i wydawało się, że już nic nie uratuje okrętu. Tymczasem nagle, w jakiś cudowny sposób, U-110 wystrzelił w górę. Nie wiadomo na 100 proc., co było tego przyczyną, w każdym razie załoga była tym mocno zdziwiona. Na powierzchni czekały już na nią trzy okręty Royal Navy.

Tymczasem Lemp miał na pokładzie coś, co w żadnym razie nie mogło trafić w ręce wroga…

Tak – enigmę i dokumenty z kodami. Lemp myślał, że U-Boot zatonie bardzo szybko i Brytyjczycy nie dostaną w swoje ręce tego wywiadowczego skarbu. Kiedy jednak opuścił wraz z załogą okręt, z przerażeniem zobaczył, że jednostka wciąż unosi się na wodzie…

Dlaczego ładunki wybuchowe nie zadziałały i nie posłały U-110 na dno?

Trudno powiedzieć, co dokładnie sprawiło, że okręt mimo starań załogi nie zatonął. Kapitan musiał być naprawdę przerażony, gdy zobaczył, jak do jego okrętu podpływają brytyjskie łodzie z marynarzami szykującymi się do abordażu. Zrozumiał, że popełnił fatalny błąd, ale było już za późno. Brytyjczycy dostali w swoje ręce bezcenne narzędzie…

Jak zginął Lemp?

Ta sprawa budzi wiele wątpliwości, historycy podają różne wersje jego śmierci. Najpewniej jednak po prostu utonął, chcąc wrócić na pokład, by naprawić swój błąd. Większość jego załogi przeżyła.

Kapitan Fritz-Julius Lemp w rozmowie z adm. Karlem Dönitzem FOT. NAC

Brytyjczycy musieli jeszcze przekonać Niemców, że U-110 poszedł na dno wraz z bezcenną enigmą, co ostatecznie im się udało. Musieli jednak bardzo uważać z wykorzystywaniem wiedzy, którą zdobyli dzięki błędowi Lempa…

Tak, musieli być bardzo ostrożni, by Niemcy nie zorientowali się, że ktoś patrzy w karty Kriegsmarine. Nie mogli przesadzić z wykorzystywaniem tych informacji. Mimo to nie brakowało podejrzeń. Jakiś czas po tym incydencie oficer niemieckiego wywiadu przyszedł do Dönitza i zapytał, czy przypadkiem Brytyjczycy nie czytają rozkazów wysyłanych enigmą do U-Bootów? Dönitz stwierdził, że to niemożliwe… Niemcom nie mieściło się w głowach, że komuś udało się zdobyć ich enigmę. Dzięki przejęciu cennej zawartości U-110 Brytyjczycy wiedzieli, co planują U-Booty. Ale oczywiście musimy tu też oddać zasługi Polakom, którzy jako pierwsi wzięli się do łamania enigmy!

To był jeden z najważniejszych punktów zwrotnych wojny na Atlantyku, ale nie da się powiedzieć, że to właśnie przejęcie enigmy z U-110 było czymś, co rozstrzygnęło wojnę z U-Bootami. To był cały splot okoliczności: wypracowanie odpowiedniej taktyki konwojowania statków z zaopatrzeniem, tworzenie coraz lepszych środków wykrywania okrętów podwodnych, coraz lepszych samolotów do walki z U-Bootami, praca łamaczy kodów, szpiegów, którzy działali wokół baz Kriegsmarine. Dopiero to wszystko razem sprawiło, że U-Booty zostały poskromione.

Jak wyglądały główne rozdziały tej batalii o Atlantyk?

Jeżeli chodzi o sukcesy U-Bootów, to przełom lat 1939 i 1940 wyglądał dla Niemców bardzo dobrze. Dysponowali wówczas elitarną grupą kapitanów, którzy doświadczenie bojowe zdobywali jeszcze w czasie wojny domowej w Hiszpanii. U-Bootów nie było jeszcze tak wiele, ale konwoje były jeszcze wówczas relatywnie słabo chronione. Brytyjczycy mieli po prostu za mało okrętów. Inna rzecz, że taktyka i technologia używane przez Brytyjczyków nie stały jeszcze na wysokim poziomie. Do ataków dochodziło głównie w nocy i w wynurzeniu. Niemcy notowali olbrzymie sukcesy nie tylko w starciu ze statkami towarowymi. Już na początku wojny okazało się, że używanie lotniskowców do walki z U-Bootami jest bardzo ryzykowne. 17 września 1939 r. w starciu z U-Bootem zatopiony został HMS „Courageous". Bardzo głośna była brawurowa akcja U-Boota pod dowództwem Günthera Priena, do której doszło 14 października 1939 r. w zatoce Scapa Flow na Orkadach. Zatopiony został wówczas pancernik HMS „Royal Oak".

To był bardzo dobry czas dla U-Bootów. Na tyle dobry, że Winston Churchill autentycznie obawiał się, że dostawy zostaną tak bardzo ograniczone, iż Wielka Brytania będzie zmuszona usiąść z Niemcami do negocjacji.

Rok 1941 był dla Kriegsmarine również świetny, jeżeli chodzi o walkę z konwojami.

Tak, potem jednak zrobiło się dużo trudniej – do gry weszli Amerykanie. W 1942 r. Niemcy wciąż odnosili na tym polu sukcesy, ale alianci zyskiwali przewagę techniczną w sprzęcie do wykrywania U-Bootów, a dowódcy konwojów radzili sobie coraz lepiej ze zwalczaniem zagrożenia z głębin. Royal Navy, wraz z US Navy, kanadyjską flotą, a także m.in. polską i holenderską, wyćwiczyły się w tym fachu.

eprasa.pl 91c3417b27

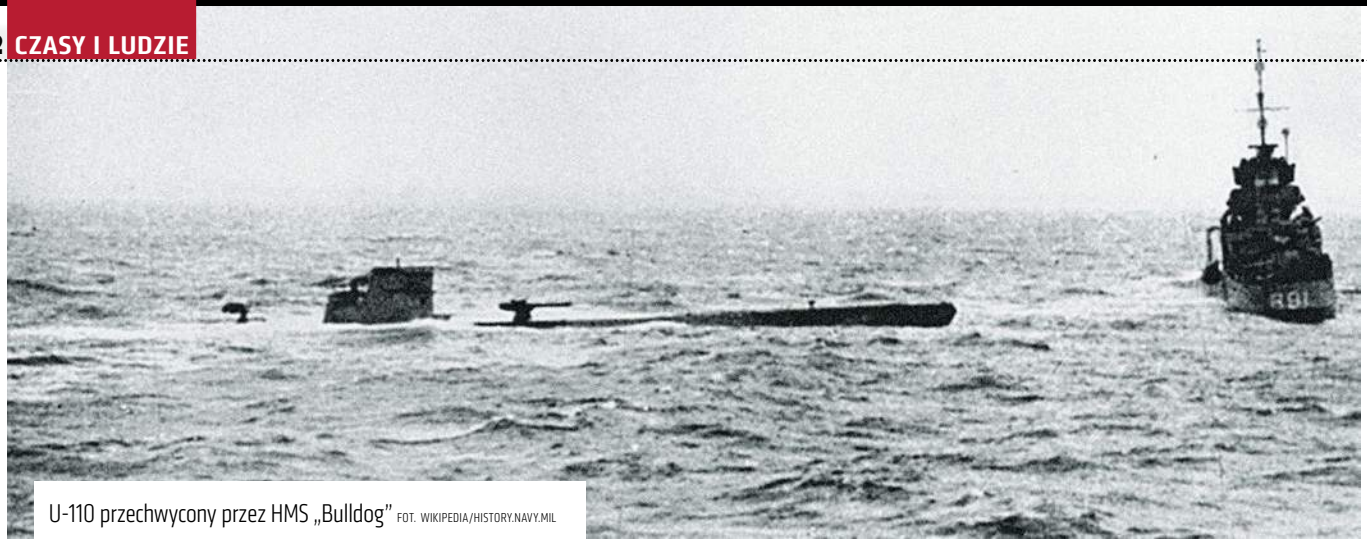

U-110 przechwycony przez HMS „Bulldog" FOT. WIKIPEDIA/HISTORY.NAVY.MIL

Brytyjczycy doczekali się wręcz prawdziwych „zabójców U-Bootów", czyli kapitanów konwojów, takich jak Frederic John Walker, Donald Macintyr czy Peter Gretton. Wejście do służby wyspecjalizowanych samolotów do walki z U-Bootami było dla Niemców wielkim ciosem. W końcu szala zaczęła się na dobre przechylać w jednym kierunku. W maju 1943 r. Dönitz zdecydował się powiedzieć Hitlerowi, że trzeba się wycofać z Atlantyku. To był tzw. Czarny Maj. Niemcy zrozumieli, że alianci zbyt dobrze sobie radzą ze swoimi konwojami.

Dönitz chwalił się, że to on wymyślił taktykę „wilczych stad". Czy faktycznie tak było?

Najprawdopodobniej tak. Pod koniec pierwszej wojny światowej Dönitz był młodym kapitanem okrętu podwodnego. Bardzo frustrowało go uruchomienie przez Brytyjczyków konwojów. Stało się oczywiste, że ataki pojedynczych okrętów podwodnych nie mają sensu. Gdy Dönitz trafił do niewoli, miał czas, by rozmyślać nad najlepszymi sposobami na rozbicie konwoju i koordynacją ataku z różnych kierunków, by dostać się do jego cennego wnętrza. Ten temat zajmował go również w międzywojniu.

Gdy wybuchła wojna, a on dowodził flotą podwodną, koordynował wszystko ze swojej kwatery, widząc na wielkiej mapie konwoje i swoje „wilcze stada". Wybierał najlepsze miejsce do ataku i wydawał rozkaz. We wczesnej fazie wojny nocne ataki z powierzchni niwelowały brytyjską przewagę w postaci sonaru. Centralne dowodzenie „wilczymi stadami" miało jednak swoje plusy i minusy.

Jakie były minusy?

Problemem była łączność radiowa konieczna do skoordynowania działań kapitanów poszczególnych U-Bootów i zebrania informacji o skuteczności ataku. To były prawdziwe „żniwa" dla alianckich wywiadów. Dzięki temu odkrywali położenie „wilczych stad" oraz ich zamiary. Mogli ostrzegać konwoje i kierować je na bezpieczniejsze wody.

A gdy w końcu opracowano radar powierzchniowy pozwalający „dostrzec" U-Booty w nocy, Niemcy mieli nie lada problem...

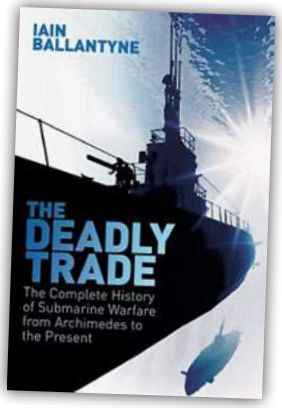

Dowództwo Kriegsmarine chciało ewidentnie powtórzyć to, co niemal im się udało w czasie pierwszej wojny światowej. Wtedy sytuacja była chyba jeszcze groźniejsza dla Wielkiej Brytanii?

Bez wątpienia. Wiosną 1917 r. U-Booty były bardzo bliskie zagłodzenia Wielkiej Brytanii i zniweczenia wysiłku wojennego sojuszników. Niewiele wówczas brakowało, by Londyn musiał podjąć negocjacje z Berlinem. To była pierwsza bitwa o Atlantyk.

Z czego wynikała tak spektakularna skuteczność U-Bootów w pierwszej wojnie światowej?

Z bardzo prostej rzeczy. Brytyjczykom zajęło trochę czasu zrozumienie, że odpowiedzią na zagrożenie ze strony U-Bootów muszą być konwoje. Gdy w 1917 r. pojawił się system konwojów, sytuacja zmieniła się diametralnie.

Dönitzowi marzyła się olbrzymia, licząca tysiąc jednostek, flota podwodna, co jednak nigdy się nie zdarzyło. Czy Hitler przykładał do tej broni wystarczająco dużą wagę?

Zacznijmy od tego, że Hitler był trochę jak Napoleon – nie rozumiał marynarki wojennej. Chociaż przywódca III Rzeszy był pod wrażeniem niemieckich pancerników, to bał się, że te potężne jednostki, które były niezwykle drogie i skupiały w sobie prestiż jego państwa, Royal Navy mogłaby łatwo zatopić. Wydawało mu się to bardzo ryzykowne.

Kiedy na przełomie lat 1940 i 1941 okazało się, że U-Booty są bardzo skuteczne, Hitler poparł plany Dönitza. Jednak to nie oznaczało od razu uprzywilejowania, jeżeli chodzi o produkcję. Dysponujemy zapisem powojennej rozmowy Dönitza i brytyjskiego oficera wywiadu marynarki m.in. na temat rozwoju niemieckiej floty podwodnej. Dönitz narzekał, że cały czas musiał walczyć z pozostałymi dwoma rodzajami sił zbrojnych o zasoby na budowę łodzi podwodnych. Nie mógł przeżyć, że nie jest w stanie zbudować na tyle ogromnej floty, by przeciąć Atlantyk na pół.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Iain Ballantyne

jest redaktorem naczelnym prestiżowego brytyjskiego magazynu o okrętach wojennych „Warships International Fleet Review", a także autorem wielu książek na temat historii najsłynniejszych jednostek oraz najbardziej spektakularnych zmagań na morzach. W Wielkiej Brytanii ukazała się niedawno jego książka na temat historii okrętów podwodnych pt. „The Deadly Trade".

eprasa.pl 91c3417b27

Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

SZCZEGÓŁY NA **WWW.GINTROWSKI.PL**
LUB **FUNDACJA@GINTROWSKI.PL**

MECENAS KONCERTU:

PGNiG

ORLEN

PARTNERZY

PPL Porty Lotnicze

centrum historii zajezdnia

PARTNER WSPIERAJĄCY:

WARS

eprasa.pl 91c3417b27

1989–1991 / Polacy na Litwie a upadek ZSRS, część 2

Polska Republika Sowiecka?

Mikołaj Iwanow

Pomysł utworzenia polskiej republiki w składzie ZSRS nie przeszedł w głosowaniu mimo płynących z Moskwy obietnic poparcia...

Wbrew rozpowszechnionej opinii dążenie Polaków Wileńszczyzny do autonomii w okresie poprzedzającym upadek Związku Sowieckiego wcale nie wynikało z ulegania Polaków propagandzie komunistycznej albo ich szczególnej komunizacji. Wileńszczyzna nigdy nie była oazą komunistyczną. Wręcz przeciwnie, członkostwo Polaków w KPZS było na jeszcze niższym poziomie niż innych narodów ówczesnego Związku Sowieckiego. Na Litwie w 1985 r. bazę członkowską Komunistycznej Partii Litwy stanowili: w 70,2 proc. Litwini, 17,5 proc. Rosjanie, 4,2 proc. Polacy, 3,1 proc. Białorusini, 2,6 proc. Ukraińcy i w 1,0 proc. Żydzi.

Pod względem upartyjnienia poszczególnych grup narodowościowych w ostatnim roku przed rozpadem Związku Sowieckiego w Litewskiej SRS do partii należało 11,27 proc. ogólnej liczby ludności rosyjskiej w tej republice, 5,06 proc. Litwinów i zaledwie 3,5 proc. Polaków. Jeszcze mniejsza była partycypacja Polaków w kluczowych strukturach partii komunistycznej. Polacy stanowili zaledwie 1,9 proc. etatowych pracowników miejskich i dzielnicowych komitetów partii, Litwini odpowiednio 65,1 proc., Rosjanie zaś 27,3 proc. Dlatego zupełnie nie odpowiada rzeczywistości teza głoszona przez ówczesnego lidera litewskiego ruchu ludowego Sąjūdis i późniejszego przewodniczącego Rady Najwyższej niepodległej Litwy Vytautusa Landsbergisa, że rejony solecznicki i wileński to najbardziej zbolszewizowana część Litwy.

Fakt niedokonany

Dla Polaków autonomia w mniemaniu niedoszłych jej architektów miała stać się swoistym zabezpieczeniem przed groźbą przekształcenia ich w obywateli drugiej kategorii w odradzającym się państwie litewskim. Tę obawę ludności polskiej dostrzeżono w Moskwie i próbowano wykorzystać w celu uratowania zbankrutowanej władzy komunistycznej. Istniały ku temu liczne przesłanki obiektywne. Najważniejszą z nich była społeczna i ekonomiczna sytuacja ludności polskiej w Litewskiej SRS. Brak reprezentacji

eprasa.pl 91c3417b27

Panorama Wilna FOT. ADOBE STOCK

RYS. KRZYSZTOF WRZYKOWSKI

Polaków w elitach rządzących wpływał na marginalizację zamieszkanych przez nich regionów kraju.

Rejon wileński pod względem powierzchni mieszkaniowej przypadającej na jednego mieszkańca zajmował ostatnie miejsce wśród wszystkich rejonów republiki. Tak samo było w przypadku liczby przedszkoli i żłobków, liczby szkół, dostępu do telefonów. Pod względem liczby średniego personelu medycznego na 10 tys. mieszkańców rejon wileński zajmował przedostatnie 43. miejsce, pod względem liczby lekarzy 42., pod względem liczby łóżek szpitalnych – 39. Był to przecież trzeci pod względem wielkości terytorium rejon republiki. Dlatego u podstaw planu autonomizacji Wileńszczyzny leżała przede wszystkim obawa Polaków przed gwałtowną ich denacjonalizacją i litwinizacją.

Obawy te nie były bezpodstawne. W dobie pieriestrojki niektóre litewskie media zaczęły otwarcie głosić teorię, że na Litwie nie ma Polaków, są jedynie spolonizowani Litwini, którym trzeba ułatwić powrót na łono narodu. Jednym z czołowych ideologów tej koncepcji został prof. Zigmas Zinkiewičius, który m.in. pisał: „Ogromną rolę w procesie wyniszczenia języka litewskiego w Kraju Wileńskim odegrał długi czas oderwania tego regionu od Litwy w okresie międzywojennym. Polska administracja prowadziła wówczas otwartą politykę prześladowania języka litewskiego. Szczególnie ciężkie były lata wojny i pierwszy okres po jej zakończeniu, kiedy polscy partyzanci zabijali ludzi mówiących po litewsku".

Istotnym czynnikiem pojawienia się planu autonomizacji, i realnych działań w kierunku jego wdrożenia, było powstanie na Litwie 3 maja 1990 r. nowej partii politycznej – Polskiej Partii Praw Człowieka, na czele której stanęło dwóch deputowanych do Rady Najwyższej: Jan Ciechanowicz i Anicet Brodawski. Obydwaj byli gorącymi zwolennikami koncepcji Wschodniopolskiej Republiki Związku Sowieckiego, obejmującej Wileńszczyznę i Grodzieńszczyznę. Uzyskując mandaty na Wileńszczyźnie w wyborach do Zjazdu Deputowanych Ludowych ZSRS wiosną 1989 r., Ciechanowicz i Brodawski wcale nie ukrywali swych poglądów. Ich wybór był świadectwem społecznego poparcia dla idei Republiki Polskiej.

Jednocześnie z założeniem partii, nie bez poparcia Moskwy, powstał polskojęzyczny organ prasowy – gazeta „Ojczyzna". Wychodząca od kwietnia do sierpnia 1990 r. gazeta była aktywnym propagatorem idei autonomizacji. O szerokim poparciu dla tej idei świadczy również to, że w wyborach do Rady Najwyższej Litewskiej SRS w lutym 1990 r. z ośmiu wybranych Polaków, którzy uzyskali mandat i utworzyli parlamentarną frakcję polską, sześciu było aktywnymi uczestnikami ruchu na rzecz autonomii.

W tym samym czasie wiosną 1990 r. Rady Samorządów rejonów solecznickiego i wileńskiego, działając na zasadzie taktyki „faktów dokonanych", postanowiły ogłosić terytorium obu rejonów

eprasa.pl 91c3417b27

Polskim Rejonem Narodowościowo-Terytorialnym. W skład rejonu powinny wejść: rejony solecznicki i wileński, miasto Podbrodzie, gminy podbrodzka, maguńska z rejonu święciańskiego, połukniańska, trocka, starocińska i karacińska z rejonu trockiego oraz jawnuńska z rejonu szyrwinckiego, czyli obszary zamieszkane przez większość polską. Stolicą miała być Nowa Wilejka (część Wilna), natomiast hymnem „Rota", flagą – biało-czerwona. Rejon miał obejmować terytorium ok. 4930 km kw. z ludnością 215 tys. mieszkańców.

1 czerwca 1990 r. w Zawiszańcach w rejonie solecznickim odbył się II Zjazd Deputowanych do Rad Terenowych Wileńszczyzny, na którym zebrało się 213 delegatów z rejonów: solecznickiego, wileńskiego, szyrwinckiego, święciańskiego i trockiego. Zjazd zwrócił się z apelem do Rady Najwyższej Republiki Litewskiej (niepodległość Litwy została proklamowana 11 marca 1990 r.), w którym wzywano „do utworzenia w granicach rejonu wileńskiego, solecznickiego, części święciańskiego, szyrwinckiego i trockiego samorządnej jednostki narodowościowo-terytorialnej z własnym Statutem" i szeroką autonomią. W odpowiedzi Rada Najwyższa powołała specjalną komisję rządową, która całkowicie odrzuciła możliwość autonomii dla regionu.

Walka trwa

Walka o autonomię na tym jednak się nie skończyła. 6 października 1990 r. odbył się w Ejszyszkach w rejonie solecznickim drugi etap II Zjazdu Deputowanych Rad Samorządów Wileńszczyzny. Uczestniczyło w nim 209 delegatów z rejonów: wileńskiego, solecznickiego, szyrwinckiego, trockiego, święciańskiego i Wilna. Zjazd ten – wbrew decyzji Rady Najwyższej Litwy – uchwalił „Deklarację o powołaniu Polskiego Narodowościowo-Terytorialnego Kraju w składzie Republiki Litewskiej". Na zjeździe prowadzono również gorącą dyskusję na temat połączenia wszystkich ziem Związku Sowieckiego zasiedlonych przeważnie przez Polaków i proklamowanie Wschodniopolskiej Republiki w składzie ZSRS. Propozycja ta jednak nie uzyskała poparcia w głosowaniu, mimo płynących z Moskwy obietnic.

Na zjeździe ukonstytuowała się Rada Koordynacyjna ds. utworzenia „Kraju" lub „Rejonu", która natychmiast przystąpiła do rozmów o uznaniu decyzji zjazdu przez Litwinów. Z czasem licząca 60 osób Rada Koordynacyjna wyłoniła prezydium, w skład którego weszli głównie deputowani do parlamentu Litwy. Rozpoczęły się trudne pertraktacje. Rada Najwyższa Litwy pozostała jednak nieugięta. Nie uznano podmiotowości ani samej Rady, ani Zjazdów Deputowanych Wileńszczyzny.

Na przełomie lat 1990 i 1991 sytuacja polityczna w ostatnim imperium Europy zmieniła się gwałtownie. Siły zachowawcze przeszły do kontrataku. Wydawało się, że agonia Związku Sowieckiego może trwać w nieskończoność. 13 stycznia 1991 r. jednostki armii sowieckiej w Wilnie dokonały masakry cywili pod wileńską wieżą telewizyjną. Los litewskiej niepodległości zawisł na włosku. Rozegranie polskiej karty na Wileńszczyźnie znów nabrało aktualności. W obawie przed kolejnymi represjami ze strony Moskwy władze Litwy wykonały pojednawcze gesty po adresem Polaków. 29 stycznia 1991 r. Rada Najwyższa Litwy wprowadziła pięć poprawek do tekstu ustawy „O mniejszościach narodowych", w których w ogólnikowy sposób ujęła część postulatów polskich autonomistów. Zaproponowano zmianę nowego podziału administracyjnego tak, aby wszystkie polskie gminy znalazły się w obrębie jednego regionu. Przyjęto ustawę o konieczności zreorganizowania i udoskonalenia edukacji wyższej w języku polskim, zaspokajającą bieżące potrzeby ludności polskiej. Jak się później okazało, te wszystkie propozycje były obietnicami bez pokrycia. Po upadku ZSRS o nich po prostu zapomniano.

W takiej sytuacji 22 maja 1991 r. w Mościszkach w rejonie wileńskim odbył się trzeci i ostatni etap II Zjazdu Deputowanych Rad Wileńszczyzny z udziałem 201 delegatów. Prace zjazdu odbywały się w atmosferze rozczarowania dotychczasowym stanem stosunków polsko-litewskich na Wileńszczyźnie. Zjazd przeważającą większością głosów (195) poparł ideę autonomii i zatwierdził Statut Wileńskiego Polskiego Kraju Narodowo-Terytorialnego, który zakładał jego daleko posuniętą autonomię w ramach Republiki Litewskiej, w granicach terytorialnych określonych przez uchwałę zjazdu w Ejszyszkach.

„Ośrodkiem administracyjnym" Kraju miała być dzielnica Wilna – Nowa Wilejka. Kraj zgodnie ze statutem miał posiadać własną wybieraną w sposób demokratyczny władzę ustawodawczą (Sejm), wykonawczą (Zarząd) i sądowniczą (Sąd Krajowy i sądy rejonowe). Ich działalność miała być zgodna z konstytucją i ustawami Republiki Litewskiej. Zgodność tę miał kontrolować pełnomocnik rządu Litwy, który miałby również prawo inicjatywy ustawodawczej w Sejmie Kraju oraz prawo do zwoływania jego nadzwyczajnych sesji. Zgodnie ze statutem wszystkie akty prawne Republiki Litewskiej dotyczące polskiej mniejszości w pierwszej kolejności powinny były być zatwierdzane przez Sejm i Zarząd Kraju Wileńskiego, natomiast centralne litewskie akty prawne naruszające prawodawstwo Kraju jego władze miałyby prawo blokować.

Przemarsz Polaków przez Wilno, 2008 r. FOT. SFU/WIKIPEDIA

eprasa.pl 91c3417b27

Litewski demonstrant i sowiecki czołg FOT. WIKIMEDIA

Głową polskiego Kraju statut proklamował przewodniczącego jego Sejmu, który jednocześnie z urzędu miał także sprawować funkcję wiceprzewodniczącego prezydium parlamentu Litwy. Sejm Kraju Wileńskiego miał posiadać również prawo inicjatywy ustawodawczej w parlamencie ogólnolitewskim „w kwestiach dotyczących Polaków". Wśród innych obowiązków Sejmu odnotujmy powoływanie sędziów i prokuratorów. Szef Zarządu Kraju (rządu) miał z urzędu zasiadać w rządzie Republiki Litewskiej.

Do kontrowersyjnych artykułów statutu można zaliczyć ustanowienie obywatelstwa Kraju Wileńskiego, a także prawo posiadania z wyboru obywatelstwa Rzeczypospolitej Polskiej. W Kraju na równych zasadach miały być używane języki polski, litewski i rosyjski (sic!). Kraj Wileński miał posiadać samodzielny budżet oraz własny odrębny system podatkowy. Zasady relacji budżetu Kraju i budżetu Republiki Litewskiej powinna była regulować odrębna ustawa.

Mimo przyjęcia tak radykalnego statutu delegaci zjazdu nie mieli żadnych intencji separatystycznych. Ich działania polegały na uzyskaniu jedynie daleko posuniętej autonomii w składzie niepodległej Litwy. Świadczy o tym wyraźnie to, że na zjazd został zaproszony „ojciec" litewskiej niepodległości, przewodniczący Sąjūdis i ówczesny przewodniczący Rady Najwyższej Litwy Vytautas Landsbergis. Jego wystąpienie jednak rozczarowało uczestników zjazdu. Zajął on w kwestii autonomii stanowisko bezkompromisowe. Wezwał z trybuny zjazdu do zarzucenia dalszych działań w sprawie uzyskania większej samodzielności. Projekt autonomii nazwał próbą stworzenia „jakiegoś malutkiego państewka w Afryce", niezdolnego do samodzielnego istnienia. „Można kupić władze waszego państewka, a może i jego ludność" – podkreślił. Zarzucił także polskim działaczom, że tworzą „jakiś nowy naród", „sowieckich Polaków".

Mimo negatywnego stanowiska władz centralnych Litwy uchwalony Statut Wileńskiego Polskiego Kraju Narodowo-Terytorialnego członkowie Rady Koordynacyjnej złożyli do Rady Najwyższej Litwy jako projekt ustawy, naiwnie oczekując jego zaakceptowania. Projekt ten, podobnie jak inne postulaty polskich autonomistów, nie został jednak nigdy przyjęty przez władze Litwy.

Mimo wszystko – za Litwą

19 sierpnia 1991 r. w Moskwie doszło do próby komunistycznego puczu. Został on poparty przez liczne grono polskich komunistów na Litwie, wśród których było wielu autonomistów. Zdławienie puczu symbolizowało koniec planów utworzenia polskiego regionu autonomicznego. Władze Republiki Litewskiej przystąpiły do działań represyjnych wobec autonomistów. 4 września 1991 r. Rada Najwyższa Republiki Litewskiej, wbrew obowiązującemu prawu, dokonała zawieszenia samorządów w rejonach wileńskim i solecznickim, rozwiązując tamtejsze rady samorządowe. Wprowadzono zarząd komisaryczny, który trwał aż do wiosny 1993 r. Działacze na rzecz autonomii stali się celem działań organów ścigania, jednak Prokuratura Generalna, nie znajdując dowodów na działalność sprzeczną z prawem, zmuszona była umorzyć postępowanie w 1995 r.

Działań polskich autonomistów na Wileńszczyźnie nie poparły władze III Rzeczypospolitej Polskiej. Zwyciężyła tzw. wielka polityka międzynarodowa. Tuż po puczu Janajewa delegacja autonomicznej Rady Koordynacyjnej – jej przewodnicząca Leonarda Sapkiewicz, zastępca przewodniczącego Stanisław Pieszko, Anicet Brodawski i Walentyna Subocz – udała się do Warszawy. 31 sierpnia delegacja spotkała się w Warszawie z ówczesnym szefem Kancelarii Prezydenta RP Jarosławem Kaczyńskim. O czym rozmawiali? Czy Polska była w stanie jej pomoc? Wyrwanie Litwy ze śmiertelnych objęć konającego sowieckiego komunizmu było dla Polski rzeczą najważniejszą.

Ostatnią kropkę w historii niedoszłej polskiej autonomii postawiono 13 stycznia 1992 r., kiedy w czasie trwania rządów komisarycznych w rejonach wileńskim i solecznickim minister spraw zagranicznych RP Krzysztof Skubiszewski podpisał w Wilnie Deklarację o przyjaznych stosunkach i dobrosąsiedzkiej współpracy między Litwą i III RP.

Utworzony w 1991 r. przez litewskich Polaków Polski Kraj Narodowo-Terytorialny teoretycznie istniał tylko kilka miesięcy. Czy było to spowodowane moskiewską intrygą? To pytanie retoryczne. Źródła historyczne zaprzeczają tezie, jakoby ruch autonomiczny Polaków miał cechy separatystyczne, mimo pojawiania się takich głosów wśród tej społeczności. Wszystkie formalne akty organów ruchu autonomicznego zakładały budowę nowej jednostki administracyjnej właśnie w ramach wybijającego się na niepodległość państwa litewskiego.

Ten niezwykle burzliwy okres w historii polskości kresowej, mimo licznych kontrowersji, pozwolił Polakom Wileńszczyzny, ale także Białorusi, przejść głęboką odnowę, skonsolidować swe szeregi, wyłonić nowe polskie elity, częściowo oczyścić się ze spuścizny komunistycznej i ostatecznie znaleźć swe upodmiotowienie polityczne.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 91c3417b27

Marian Zacharski

1939 r. / Wizyta na polskim froncie

Wrzesień '39 oczami Szwajcara

Szwajcarski pułkownik trafił na front jako neutralny obserwator. W archiwum zachował się jego sensacyjny raport na temat przebiegu walk

1 września 1939 r. armia III Rzeszy zaatakowała Polskę. Już po czterech dniach walk sytuacja polskiej armii stała się nadzwyczaj trudna. Każdy wnikliwy obserwator dostrzegał zbliżającą się klęskę. Niemiecka propaganda zdecydowała się wykorzystać zaistniałą sytuację, aby pochwalić się swoimi sukcesami na froncie, a jednocześnie podjąć próbę psychologicznego zastraszenia Anglii i Francji, które od 3 września znalazły się w stanie wojny z ich państwem. Naczelne Dowództwo Wehrmachtu (Oberkommando der Wehrmacht) zaprosiło akredytowanych w Berlinie wojskowych attaché do wyjazdu na polskie tereny już opanowane przez niemieckie oddziały.

Zaplanowana wizyta miała trwać cztery dni (od 12 do 15 września 1939 r.). Jej program przewidywał:

– 1. dzień – wylot z Berlina do Królewca, gdzie zaplanowano nocleg.

– 2. dzień – wizytowanie polskiej ufortyfikowanej linii obrony w okolicach Mławy. Nocleg przewidziano w Olsztynku (Hochenstein).

– 3. dzień – wizyta w siedzibie dowództwa 1. Korpusu dopiero co przerzuconego do pałacu Radziwiłła w Starejwsi położonej nad rzeką Liwiec ok. 9 km od Węgrowa. Przed zajęciem przez Niemców znajdowało się tu polskie lotnisko operacyjne XV Dywizjonu Polowego, z którego startowały do nalotów na pozycje niemieckie bombowce PZL-37 Łoś. Biorąc odwet, 10 września Niemcy zbombardowali wiele obiektów zarówno w okolicach lotniska, jak i w samej wsi. Nocleg ponownie w Olsztynku.

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

eprasa.pl 91c3417b27

Niemieccy żołnierze w okopach pod Warszawą FOT. NAC

– 4. dzień – wyjazd do Królewca i odlot do Berlina.

Jednym z zaproszonych przez OKW gości był płk Hans von Werdt – urodzony w 1884 r. w Salzburgu syn oficera austriackiej armii i inżyniera kolei państwowych oraz hrabiny Christiane von Gatterburg, wybitny oficer armii szwajcarskiej, w latach 1938–1943 attaché wojskowy w Berlinie. W znacznej części opieram się na jego raporcie.

Oryginalny plan wizyty, który zakładał wylot z lotniska w Berlinie o godz. 5, już na początku, „ze względu na toczące się jeszcze sporadyczne walki w regionie wyszczególnionym w programie wizyty", musiał zostać zmodyfikowany. Ostatecznie samolot z gośćmi wystartował o godz. 14. Następnego dnia, aby odrobić stracony czas, zaplanowano przelot samolotem na operacyjne lotnisko polowe znajdujące się w wiosce Kranek w pobliżu Przasnysza. I tym razem do starannie przygotowanego planu wkradł się chaos. Załoga samolotu po zbliżeniu się do lotniska docelowego otrzymała rozkaz powrotu do Królewca. Tym razem przegrali z gęstą mgłą. Ostatecznie o godz. 10 zaproszeni goście przesiedli się w Królewcu do samochodów, którymi dotarli w rejon polskich umocnionych linii obronnych pod Mławą.

Szwajcarski oficer bardzo żałował, że kłopoty logistyczne uniemożliwiły mu przeprowadzenie dłuższych rozmów z oficerami, a także zwykłymi żołnierzami. Interesowały go wszelkie szczegóły dotyczące uzbrojenia, dowodzenia i wyszkolenia niemieckich jednostek liniowych. Trudno się dziwić, bo jego kraj też był na liście potencjalnych celów III Rzeszy do opanowania w Europie.

W czasie pierwszego krótkiego briefingu goście poznali strukturę i nazwiska dowódców niemieckiej armii na wschodzie. Głównodowodzącym był gen. płk Walther von Brauchitsch, a szefem sztabu generał artylerii Franz Halder. Wojska podzielone były na grupę północną dowodzoną przez gen. płk. Fedora von Bocka (szefem sztabu był gen. por. Eberhard von Salmuth) i grupę południową, na czele której stał gen. płk Gerd von Rundstedt (szefem sztabu był gen. por. Erich von Manstein). Punkt dowodzenia grupy północnej znajdował się w Olsztynie (Allenstein). W trakcie wizyty goście mieli okazję poznać się z dowództwem 1. Korpusu (gen. por. Wodrich) wchodzącego w skład 3. Armii dowodzonej przez gen. artylerii Georga von Küchlera.

Korpus ten, wychodząc z Prus Wschodnich, zmierzał w kierunku Warszawy. Na początku operacji w jego skład wchodziły dwie dywizje piechoty i dopiero po rozpoczęciu walk skład korpusu powiększył się o jedną dywizję piechoty, jedną dywizję lekką, jedną dywizję pancerną oraz brygadę kawalerii. Do zaprezentowania tego zgrupowania w akcji nie doszło z powodu opóźnienia przyjazdu, rozwoju sytuacji na polu walki i rozkazu o przeniesieniu dowództwa korpusu do Siedlec.

Goście zostali jedynie nieomal w przelocie poinformowani o kilku wybranych szczegółach.

Generał, trzymając mapę na kolanach, przedstawił dotychczasowe rezultaty walk, a następnie podpułkownik ze sztabu korpusu (od spraw taktycznych) przybliżył organizację 1. Korpusu. Dowodzący tą formacją miał do dyspozycji dwóch adiutantów, szefa sztabu, dwie grupy prowadzące tematy związane z taktyką oraz wywiadem. Dużą jednostką była grupa kwatermistrzowska odpowiadająca za uzupełnianie zapasów materiałów wojennych, zaopatrzenie w żywność, sprawy medyczne, weterynaryjne oraz serwis sprzętu zmechanizowanego. Korpus był jednostką taktyczną. W jego skład nie wchodziły formacje pociągów pancernych.

Bunkry pod Mławą

W głównym punkcie wizyty zaproszono wojskowych attaché w rejon polskich fortyfikacji pod Mławą, zapoznając ich wcześniej z przebiegiem walk o ten rejon. Według Niemców w pierwszym dniu uderzenie nie przyniosło spodziewanego skutku. Późnym popołudniem przerwano atak. Głównym powodem było nieoczekiwane napotkanie przez formacje pancerne przeszkód trudnych do przejścia. Drugiego dnia dokonali precyzyjnych analiz i rozpoznali słabe punkty w polskiej strefie obronnej. W trzecim dniu o godz. 9 niemieckie formacje uderzyły ponownie i około południa przełamały polskie pozycje. U podstaw tak szybkiego przebicia się leżało dodatkowe, wspólne z sąsiadującym korpusem uderzenie z lewej flanki.

Wedle informacji zebranych przez szwajcarskiego oficera rozciągające się na ok. 20 km fortyfikacje pod Mławą bronione były przez dwie dywizje zawodowe i jedną dywizję złożoną z rezerwistów. Patrząc z czysto wojskowego punktu widzenia, wynikało z tego, że każda z dywizji miała bronić obszaru rozciągającego się na przestrzeni ok. 7 km. Było to zadanie trudne do wykonania, ponieważ budowa fortyfikacji w żadnym wypadku nie była ukończona. Fakt ten był dla niego więcej niż zaskakujący, ponieważ ten konkretny fragment obszaru Polski leżał w bezpośredniej bliskości Prus Wschodnich i z wojskowego punktu widzenia winien pełnić funkcję istotnej osłony dla całej polskiej armii. W związku z tym musiał być za wszelką cenę utrzymany przez co najmniej taki okres, jaki był wymagany na przygotowanie nowych linii obrony w głębi terytorium. Dla szwajcarskiego oficera było niezrozumiałe, dlaczego

eprasa.pl 91c3417b27

Niemiecki czołg. Scena z rekonstrukcji bitwy pod Mławą FOT. ADAM KLICZEK, HTTP://ZATRZYMUJECZAS.PL (CC-BY-SA-3.0)

ta kluczowa linia obronna nie została w pełni ukończona.

W momencie wybuchu wojny główna część fortyfikacji składała się z trzech rzędów bunkrów, które, według opinii wyrażonej przez niemieckich oficerów, zbudowane były z wyraźnie lepszej jakości betonu niż ich czeskie odpowiedniki. Ściany strony wychodzącej w kierunku wroga miały grubość od 0,5 do 1 m. Dodatkowym zabezpieczeniem były 20–metrowe ziemne nasypy lub 1–2-metrowe hałdy z dużych kamieni. Szczeliny strzelnicze wydawały się, zdaniem Szwajcara, niepotrzebnie duże, a także pozwalały jedynie na ostrzał z boków obu stron. Wewnątrz było miejsce dla 4–5-osobowej załogi. Z tyłu bunkra w odległości 20–30 m znajdował się wykop prowadzący do słabo zabezpieczonych drewnianym rusztowaniem okopów.

Wymiary bunkrów: od ziemi do szczeliny – ok 1,5 m, szczelina – 30 x 50 cm, powyżej szczeliny – 2 m.

W odległości 50–100 m od bunkra w kierunku nieprzyjaciela rozciągnięte były przeszkody z drutu wysunięte na odległość 30 m. Niestety, nie przygotowano tego typu zabezpieczenia na flankach. Jądrem tej przeszkody był drut kolczasty rozciągnięty bezpośrednio nad ziemią i dlatego stanowił raczej formę drutu „do potykania się". Poza tym, według oceny autora tego raportu, kołki podtrzymujące drut były za małe.

Miejscami przygotowano bardzo dobre pułapki antyczołgowe. Nieomal idealne wkomponowanie w teren umożliwiało ich odkrycie jedynie z bliskiej odległości lub z samolotu. Przedpole było zaminowane. W celu przykrycia obszarów pośrednich utworzono okopy strzeleckie, dokładnie takie same jak używane w końcu pierwszej wojny.

Linia obrony była jednak tylko częściowo ukończona. Istniały długie odcinki z jedynie podwójnymi lub nawet pojedynczymi rzędami bunkrów. Pułapki przeciwczołgowe były gotowe tylko w niewielu miejscach, stalowe teowniki na długich odcinkach wkopane były tylko dwu–, a niekiedy nawet jednorzędowo. Setki metrów teowników leżało na ziemi w miejscach, gdzie miały być wkopane. Niedopatrzenie czy brak czasu?

Czego zupełnie zabrakło obrońcom fortyfikacji? Wsparcia lotnictwa oraz czołgów. Efekty działań polskiej artylerii były udane, ale jej udział był zdecydowanie za skromny. Początkowo bunkry ostrzeliwane były haubicami (pociski kalibru 10,5 cm). W trakcie zwiedzania kompleksu goście mogli dostrzec wiele śladów trafień w szczeliny, ale według ogólnej oceny główna rola tego typu ostrzału sprowadzała się do nękania obrońców. Prawdziwą walkę ze szczelinami prowadzono za pomocą pocisków przeciwpancernych kalibru 3,7 cm wystrzeliwanych z odległości do 100 m. Tego typu niemiecka taktyka mogła być efektywnie zastosowana jedynie z powodu braku czołgów po polskiej stronie, na których musiałby skupić się ich atak, który z kolei odciążyłby załogę broniącą kompleksu fortyfikacji.

Wedle szwajcarskiego oficera szybki upadek (niem. Der rasche Fall) kompleksu obronnego pod Mławą narzucał następujące wnioski:

– dobrze obmyślona i przygotowana linia obrony nie na wiele się zdała z powodu jej nieukończenia;

– zwykły rząd bunkrów już nie był wystarczający. Chyba że byłby wsparty potężną artylerią, lotnictwem lub silnym, trudno dostępnym terenem. W tym konkretnym przypadku zabrakło wszystkich tych elementów. Nawet gdyby brakujące elementy były jednak obecne, nadal nowoczesna obrona wymagała dostatecznej głębi przy rozmieszczaniu poszczególnych obiektów fortyfikacyjnych. Tego typu doświadczeń dostarczył już przebieg pierwszej wojny światowej;

– linia bunkrów do skutecznej obrony wymagała poważnego wsparcia artylerii, nawet gdyby ostatecznie sprowadzało się to do moralnego podnoszenia na duchu załóg bunkrów.

Polskie drogi

W kolejnym punkcie swojego raportu Szwajcar omówił zagadnienie blokowania i niszczenia dróg. Już w pierwszym zdaniu jasno stwierdził, że ze względu na płaski jak patelnia teren tego typu operacje były zdecydowanie trudniejsze niż w jego górzystym kraju. Jedyny zorganizowany system blokowania dróg, który miał okazję zobaczyć, polegał na wkopywaniu w ziemię z jednej strony zaostrzonych drewnianych kołków. Nie była to zbyt efektywna metoda. Łatwo było taki twór zniszczyć lub po prostu obejść poboczem. Jednakże niszczenie dróg przez obrońców nie wymagało aż tak wiele wysiłku, bo ich jakość była co najmniej dyskusyjna. Jak tego sam doświadczył w czasie przemieszczania się samochodem na trasie Królewiec–Mława, a potem do Starejwsi, miękka nawierzchnia łatwo ulegała erozji, spowolniając lub całkowicie uniemożliwiając normalny ruch kołowy, a także powodując nieco szybsze zmęczenie maszerujących oddziałów piechoty.

Najwięcej pracy miały niemieckie oddziały saperów z naprawą lub odbudową mostów wysadzanych przez wycofujące się oddziały wojska polskiego. W ogólnej ocenie autora raportu saperzy zebrali dobre noty. Ich skuteczność w sposób zdecydowany wspomagana była tym, że były to w większości oddziały zmotoryzowane. Tylko w przypadku znacznej liczby zniszczonych obiektów w konkretnym rejonie ich wysiłki wspierali regularni żołnierze korpusu. Przy okazji pobytu wśród saperów goście mieli okazję przyglądać się budowie ośmiotonowego mostu pontonowego o długości 120 m.

W kolejnych fragmentach raportu szwajcarski oficer sprecyzował organizację oraz zadania tzw. Etappendienst. W tym konkretnym przypadku była to służba zajmująca się oczyszczaniem terenów walk nie tylko z ciał poległych żołnierzy, lecz także wszelkiego zniszczonego sprzętu wojskowego. Członko-

eprasa.pl 91c3417b27

wie tej służby wyróżniali się brązowym kolorem uniformów i żółtymi opaskami na ramionach z napisem „Deutsche Wehrmacht". Większość z nich była w starszym wieku i miała związki z Arbeitsdienst.

Według niemieckich oficerów walczące jednostki zobowiązane były do pewnego rodzaju samowystarczalności, co w praktyce sprowadzało się do zakupu lub, znacznie częściej, odbierania żywności firmom i mieszkańcom zajętych w walkach terenów. Wśród wyjątków od tej reguły był chleb (750 g na żołnierza dziennie), rum lub Branntwein (0,05 litra jako dodatek do herbaty), papierosy (6 szt. lub 1 cygaro i 4 papierosy albo tylko 3 cygara). Te „dobra" dostarczane były z piekarni i magazynów wojskowych. Wielkości przydziałów dla żołnierzy i oficerów niczym się nie różniła. Dodatkowo każdy oddział zobowiązany był do posiadania kilku porcji „dla gości". Chodziło w tym przypadku o oficerów łącznikowych oraz gońców z meldunkami.

Przy każdej armii funkcjonował wydział propagandy, który codziennie publikował tzw. żołnierską gazetę.

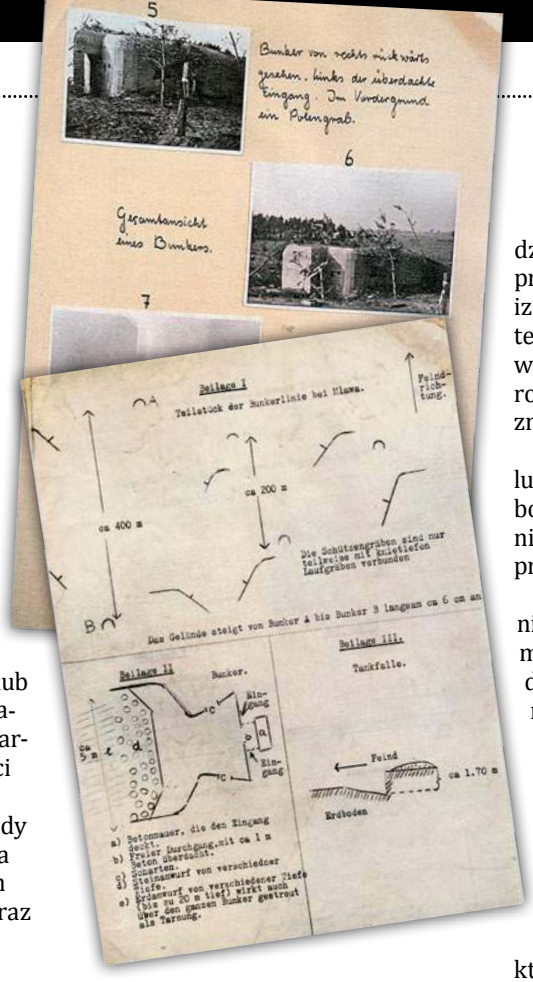

Strony szwajcarskiego raportu FOT. ZBIORY AUTORA

Przyczyny klęski

Na koniec Szwajcar skoncentrował się na sprawach dotyczących Polaków i na wnioskach, które nasuwały się z ich walk obronnych.

Polski żołnierz – jak pisze – ogólnie był uważany i przedstawiany jako odważny, twardy w obronie, jednak można było u niego dostrzec elementy nastroju paniki. Mówiąc o polskiej ludności cywilnej, pisał, że w momencie rozpoczęcia wojny wielka jej liczba uciekła ze swoich domostw. W przypadku okolic Mławy i obu stron Narwi mógł on naocznie obserwować jej powrót. Widok ten określił jako niewyobrażalnie smutny. Przybywali całymi rodzinami pieszo lub na furmankach, byli obdarci, wygłodzeni, apatyczni, z niewielkim dobytkiem, tu i tam na sznurku ciągnęli krowę lub nieśli pod pachą gęś. Do furmanek zaprzężone były niemiłosiernie wychudzone konie, które, pomimo ich obecnego wyglądu, wywodziły się z pięknej i delikatnej rasy.

O odwiedzanym terenie pisał, że była to równina z gdzieniegdzie na horyzoncie widocznymi lekkimi pofalowaniami. Obszar był bardzo słabo zasiedlony, domostwa mocno od siebie oddalone. Drewniane domki parterowe, brudne, okropne. Na północ od Narwi beznadziejna pustka, ziemia koloru żółtawego, ugory, dzikie pastwiska. Zapomniane pogranicze! W miarę przesuwania się na południe od Narwi powoli pojawiały się pola uprawne, zadbane łąki i piękne połacie lasów. Osiedla miały domy z cegły lub drewna. Miasta z domami dwupiętrowymi, ale także liche, wyświechtane. Nawet w tych miejscach można było odnieść wrażenie prymitywnego życia. Domostwa w miejscowościach położonych w pobliżu linii obronnych były w znacznej części spalone. W wioskach z drewnianymi domami, jeżeli cokolwiek się zachowało, to kominy. Ulice, z wyjątkiem kilkusetmetrowej cementowej nawierzchni, były nieutwardzone. Po godzinnej jeździe samochodem w deszczu widać było, jak jezdnia zamieniała się w gęste, lepkie błoto.

Na koniec przemyślenia o przyczynach sukcesów armii niemieckiej. Sprowadzały się one do:

– doskonałej współpracy wojsk pancernych z Luftwaffe;

– zaskakującej szybkości prowadzenia operacji, co w tym konkretnym przypadku pozwoliło im skutecznie izolować polskie armie. To operacyjne tempo zawdzięczali nie tylko udziałowi wojsk pancernych i Luftwaffe. Kluczową rolę w tym procesie odgrywały także zmotoryzowane bataliony saperów;

– systematyczne i szybkie zakłócanie lub niszczenie, za pomocą nalotów bombowych, połączeń kolejowych utrudniając tym sposobem zorganizowane przegrupowania polskich wojsk;

– zdecydowanie szybszy, w porównaniu z pierwszą wojną światową, przemarsz oddziałów piechoty, co osiągnięto dzięki pozbawieniu żołnierzy konieczności przenoszenia na plecach ciężkiego sprzętu, który dowożono do punktów docelowych transportem kołowym;

– innym czynnikiem, który bardzo pomógł niemieckiej armii w czasie kampanii wrześniowej w Polsce, były korzystne warunki pogodowe.

Oficer szwajcarski zwrócił także uwagę na niektóre niedociągnięcia, które pojawiły się po polskiej stronie, umożliwiające armii niemieckiej szybkie zwycięstwo. Wśród nich były m.in.:

– niedokończona budowa i zbyt słabo bronione flanki fortyfikacji w okolicach Mławy. Gdyby była w pełni gotowa, to istniało prawdopodobieństwo, że polskie dywizje zamknięte później przez niemiecką 3. Armię w rejonie Kutna zdołałyby wcześniej przekroczyć Wisłę;

– słabość polskiego lotnictwa wojskowego umożliwiająca panowanie Niemców w powietrzu;

– zbyt mała ilość broni przeciwpancernej;

– różnice w jakości czołgów, ich liczbie oraz, ogólnie mówiąc, w możliwościach technicznych;

– wyższość niemiecka zarówno w zakresie organizacji, jak i w gruntownych przygotowaniach;

– niedocenienie przeciwnika, które w polskiej armii obecne było aż do ostatniego piechura.

Puentą tego raportu było zalecenie dowództwu wojsk szwajcarskich szybkiego zainwestowania w rozwój obrony przeciwlotniczej i przeciwpancernej, a także dokonania dodatkowych analiz istniejących już linii obronnych zagrożonych ewentualnym atakiem niemieckich wojsk pancernych oraz Luftwaffe.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 91c3417b27

Stanisław Szukalski FOT. NAC

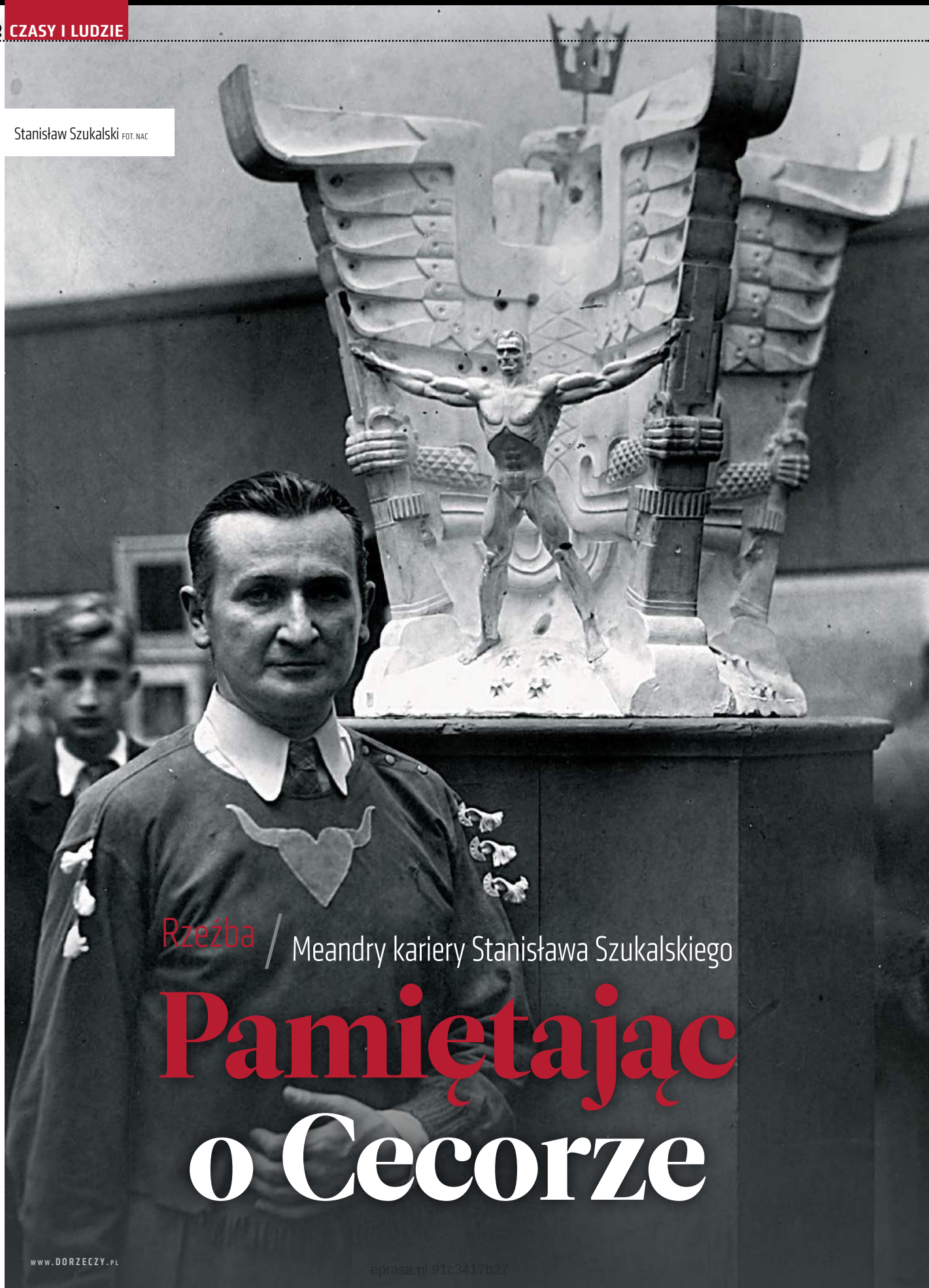

Rzeźba / Meandry kariery Stanisława Szukalskiego

Pamiętając o Cecorze

eprasa.pl 91c3417b27

Piotr Kosmala

Dostrzeżono w nim artystyczny geniusz, a towarzyszące zwykle wystawom jego prac skandale dawały popularność...

Jadł papier, jadł surowe ziemniaki, a nie chciał obcym żadnej swojej rzeźby sprzedać. Tak opisywał w 1935 r. „Wiadomościom Literackim" swój żywot artysty za oceanem Stanisław Szukalski – polski rzeźbiarz, od kilku lat przebywający w Ameryce. Te słowa, mniej lub bardziej przesadzone, uruchomiły kampanię, dzięki której „Stach z Warty" mógł powrócić do Polski opromieniony sławą wielkiego artysty i patrioty. Do jego przyjazdu walnie przyczynił się Ignacy Matuszewski.

Stanisław Szukalski zdobył uznanie świata artystycznego znacznie wcześniej, bo jeszcze podczas studiów – najpierw na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, a potem w Instytucie Sztuki w Chicago. Już wtedy dostrzeżono w nim artystyczny geniusz, a towarzyszące zwykle wystawom jego prac skandale dawały popularność, której mogłoby pozazdrościć mu wielu bardziej uznanych rzeźbiarzy. Doświadczenia ze środowiska artystycznego w Stanach Zjednoczonych nauczyły go tego flirtu z widownią, który w dzisiejszych czasach jest standardem promocji nowo powstających dzieł sztuki.

Kult bohatera

Wówczas, w latach 20. i 30. ubiegłego stulecia, standardem bynajmniej nie był. Jeszcze w Stanach darł Szukalski zaświadczenia o przyznanych mu wyróżnieniach, głosząc, że nikt nie ma prawa go oceniać. Krytykował krytyków sztuki („klika pasożytów") i wykładowców akademickich, ograniczonych formalizmem i wąskimi horyzontami. On gwarantował ich poszerzenie, garściami czerpiąc z tradycji słowiańskich, włoskiego futuryzmu czy nawet z południowoamerykańskiej sztuki prekolumbijskiej. Jednocześnie rzeźba stawała się sposobem na przedkładanie widzowi i innym twórcom niezwykłej filozofii patriotycznej, którą wypracował sam na przekór artystycznemu establishmentowi i krakowskiej Akademii. Było w niej miejsce i na mitologię słowiańską, i na historię Polski, i na kult bohatera. Nikogo nie pozostawiało to obojętnego – krytyka albo mu czapkowała, albo potępiała go w czambuł. Przełomowy okazał się konkurs na pomnik Adama Mickiewicza w Wilnie – wygrał projekt Szukalskiego, ale wskutek protestów nie został ostatecznie zrealizowany. Rzeźbiarz odebrał to jako ostateczny dowód na zmowę przeciwko prawdziwemu artyście, choć wizja nagiego poety karmiącego orła własną krwią wypływającą z serca była trudna do zaakceptowania nawet dla redaktorów życzliwego Szukalskiemu wileńskiego „Słowa".

Stanisław Szukalski „Cecora" FOT. B. GÓRKA/CSW

W 1929 r. Szukalski założył grupę artystyczną Szczep Rogate Serce, która miała rozwijać idee „Stacha z Warty", związane ze słowiańszczyzną i z tworzeniem sztuki narodowej. Sam założyciel znowu wyjechał do Ameryki, zza oceanu nadzorując działania „szczepowców". Niedawne sukcesy artystyczne – takie jak prestiżowa Międzynarodowa Wystawa Nowoczesnej Sztuki Dekoracyjnej i Przemysłowej w Paryżu, gdzie zdobył złoty medal i Grand Prix – nie przełożyły się niestety na sukces finansowy. Artysta znalazł się w trudnej sytuacji materialnej, której nie ułatwiały zawirowania w życiu osobistym.

Między Żółkiewskim a Mussolinim

Nie zmieniła jego sytuacji otwarta w 1935 r. wystawa rzeźb Szukalskiego w Chicago, na której pokazano m.in. jego kontrowersyjną pracę „Remussolini", zadedykowaną włoskiemu dyktatorowi. Wygląda na to, że wówczas to zapadła decyzja o kolejnym powrocie do Polski. Szukalski zmienił taktykę i nie poprzestawał już na informowaniu o swej sytuacji zaprzyjaźnionych „szczepowców". Poszedł do mediów, w polskiej prasie ukazały się artykuły opisujące podły los wybitnego polskiego twórcy. Kluczowy okazał się artykuł znanego reportażysty Aleksandra Janty-Połczyńskiego w „Wiadomościach Literackich". Prasa przypomniała także atencję artysty dla zmarłego niedawno Józefa Piłsudskiego (Szukalski zaprojektował sarkofag i pomnik Marszałka), co najwyraźniej uderzyło właściwą sanacyjną strunę.

O przywrócenie Szukalskiego Polsce upomniał się sam Ignacy Matuszewski, do niedawna minister skarbu, a w połowie lat 30. wpływowy redaktor wpływowej „Gazety Polskiej". Zaofiarował kupno przez redakcję oryginału lub odlewu rzeźby „Cecora", autorstwa Stacha z Warty, oraz umożliwił darmowy powrót artysty wraz z jego pracami z Ameryki do Polski na pokładzie transatlantyku MS „Piłsudski". Dzięki temu wsparciu Szukalski wraz z małżonką w styczniu 1936 r. pojawili się w Polsce.

Zwrócenie uwagi akurat na „Cecorę" nie mogło dziwić, praca był bowiem wyjątkowa nawet jak na samego Szukalskiego. Wykuta w alabastrze twarz była symbolicznym portretem hetmana Stanisława Żółkiewskiego, który poniósł w 1620 r. śmierć w walkach z Turkami, a jego obcięta głowa została nadziana na pikę i przesłana sułtanowi. Żółkiewski uchodził za symbol niepoddawania się nawet przeważającemu przeciwnikowi (przed śmiercią miał powiedzieć: „Będę walczył do końca, a po śmierci chociaż swoim ciałem utrudnię dostęp nieprzyjacielowi do Ojczyzny"), w wizji Szukalskiego przypomina zaś aztec-

eprasa.pl 91c3417b27

Stanisław Szukalski „Remussolini" FOT. NAC

kie bóstwo, ze szlachetnym obliczem ozdobionym bogatą w symbole ornamentyką, gdzie np. nakrycie głowy hetmana tworzą… wozy taborów (!).

Mecenat pułkownika

Nie dziwi także wspieranie sztuki wysokiej przez płk. Ignacego Matuszewskiego – syna młodopolskiego krytyka i pisarza; przyjaciela skamandrytów, który sam podejmował udane próby literackie. Wsparcie dla sztuki „Stacha z Warty" musiało być dla niego czymś naturalnym, oczywistym w obliczu geniuszu rzeźbiarza. Przesłanki polityczne także zapewne nie były bez znaczenia, choć korzyści propagandowe szybko ustąpiły kosztom – wystawy w Warszawie, Katowicach i Krakowie zakończyły się kolejnymi skandalami i procesami o zniesławienie.

Opłacenie przez „Gazetę Polską" powrotu z Ameryki nie kończyło jednak współpracy Matuszewskiego z Szukalskim. Gazeta zamówiła w 1936 r. u rzeźbiarza wykonanie nowego pucharu na międzynarodowe zawody balonowe Gordona Bennetta – rok wcześniej taki puchar zdobył dla Polski kpt. Zbigniew Burzyński i w kolejnym roku to kraj zwycięzcy fundował taką nagrodę. Projekt Szukalskiego ukazywał figurę nagiej kobiety stojącej na ziemskim globie okrytym ślimaczą muszlą i sięgającej ku promieniom Sol Invictus. Rzeźba miała podkreślać nierozerwalny związek Nieba i Ziemi oraz szybkość i pęd ku temu, co wysoko. Pucharowi towarzyszyły dwa medale okolicznościowe – jeden z postacią mitycznego Ikara; drugi, jako pamiątka towarzyszącej zawodom konferencji Międzynarodowej Federacji Lotniczej, z warszawską Syreną.

Przyjmę i odlew…

„Oczywiście, o ile p. Szukalski nie chce sprzedać oryginału, lecz odlew, przyjmę również i odlew pod jego dozorem dokonany, aczkolwiek przyznam, że wolałbym oryginał. Zaznaczam, że pragnę nabyć Cecorę nie dla siebie prywatnie (nie stać mnie na to), lecz dla redakcji »Gazety Polskiej« tak, iż rzeźba pozostałaby w rękach niejako publicznych…".

[z listu Ignacego Matuszewskiego do Mariana Konarskiego, ucznia Szukalskiego, z 28 września 1935 r.]

Kto po Matuszewskim?

Wsparcie „Gazety Polskiej" było kluczowe tym bardziej, że mimo kolejnych sukcesów (na paryskiej wystawie międzynarodowej w 1927 r. nagrodzono medal Szukalskiego z Mikołajem Kopernikiem) i kolejnych skandali zainteresowanie „Stachem z Warty" stopniowo malało. Rządzący podali mu zresztą pomocną dłoń raz jeszcze, tym razem w osobie wojewody śląskiego Michała Grażyńskiego, który najpierw doprowadził do zakupienia dla tworzonego Muzeum Śląskiego kilku rzeźb Szukalskiego, a potem zamówił jeszcze w jego pracowni trzy płaskorzeźby, w tym monumentalnego orła piastowskiego na ścianę gmachu Urzędów Niezespolonych w Katowicach.

Targi z Matuszewskim

„Niech Żechowski [chodzi o znanego malarza i ucznia Szukalskiego – Stefana Żechowskiego] skomunikuje się z sekret[arką] Matuszewskiego, p. Kazimierą Lisicką, »Gazeta Polska«, Szpitalna, Warsz[awa], w sprawie ceny Żeromskiego. Niech ceny nie obniża, bo Matusz[ewski] lubi za nic otrzymać coś…"

[z listu Stanisława Szukalskiego do Mariana Konarskiego, ucznia Szukalskiego, z 6 czerwca 1936 r.]

Czar prysnął w nieszczęsnym 1939 r. Śląskie prace zostały zniszczone przez Niemców, uznane za „sztukę zdegenerowaną" rzeźby przetopiono na złom, dokumentacja przepadła. Samemu rzeźbiarzowi udało się dzięki pomocy Amerykanów wydostać z Polski i wyjechać do Stanów Zjednoczonych. Tu kontynuował co prawda działalność artystyczną, ale znacznie więcej energii poświęcał badaniom lingwistycznym i związkom polskiego z „macimową" – językiem używanym jakoby przez pierwszych z ludzi. Większość jego dorobku rzeźbiarskiego z tego okresu (zmarł w 1987 r.) jest dzisiaj w posiadaniu kolekcjonerów amerykańskich, którzy zafascynowani postacią i twórczością „Stacha z Warty" stworzyli Archives Szukalski w Sylmar w Kalifornii. Miłośnikiem twórczości Szukalskiego jest sam Leonardo DiCaprio, który spędził dzieciństwo w sąsiedztwie Szukalskich w Kalifornii, traktował rzeźbiarza jak „przyszywanego dziadka" (ponoć inspirował się jego postacią, przygotowując rolę w „Titanicu") i od dawna pozostaje promotorem jego sztuki za oceanem.

Tymczasem w Polsce prac „Stacha z Warty" pozostało niewiele, jedynie z rzadka pojawiają się na wystawach i aukcjach. Może warto byłoby podjąć dzieło Ignacego Matuszewskiego i sprowadzić do Warszawy przynajmniej kilka z prac Szukalskiego? Czy nie mogłaby się tym zająć np. Polska Fundacja Narodowa?

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Pisząc artykuł, korzystałem m.in. z książki „Stach z Warty Szukalski. Szczep Rogate Serce" autorstwa prof. Lechosława Lameńskiego (Wydawnictwo KUL, Lublin 2007).

eprasa.pl 91c3417b27

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE WYJĄTKOWY ALBUM TYMOTEUSZA PAWŁOWSKIEGO
1920. BITWA WARSZAWSKA

100. ROCZNICA CUDU NAD WISŁĄ – STARCIA ZBROJNEGO POMIĘDZY POLSKĄ A BOLSZEWICKĄ ROSJĄ, KTÓRE ODMIENIŁO LOSY ÓWCZESNEJ EUROPY, A BYĆ MOŻE NAWET CAŁEGO ŚWIATA.

W historii Polski jest kilka wydarzeń, które zawarzyły na przyszłości całego narodu. Jednym z nich była bez wątpienia Bitwa Warszawska, jej wynik pozwolił bowiem Polakom zachować niezależność. I choć batalia stoczona latem 1920 roku w zasadniczym stopniu zadecydowała o obecnym kształcie Rzeczypospolitej, to wciąż pozostaje tematem wymagającym przypomnienia.
Autor książki w pełnej pasji opowieści precyzyjnie omawia przebieg Bitwy Warszawskiej, rozpoczynając od poprzedzających ją wydarzeń: pierwszych walk stoczonych już w 1918 roku, kampanii roku 1919 i wyprawy kijowskiej wiosną 1920 roku. Książkę kończy opis dalszego biegu wojny polsko-rosyjskiej i rozmów pokojowych.
Cennym uzupełnieniem są liczne archiwalne fotografie i mapy.

Bitwa Warszawska 1920 to opowieść nie tylko wojenna – porusza również kwestie polityczne, społeczne i gospodarcze. A co najistotniejsze, przypomina o bohaterach tamtych pamiętnych wydarzeń.

99 zł
oszczędność 98 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NR.
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10, 539 953 631** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 91c3417b27

Krzysztof Masłoń

Była córką sławnego ojca, któremu zawdzięczała wszystko. W dobrym i złym znaczeniu tych słów

Maria Iwaszkiewicz urodziła się 22 lutego 1924 r. w Warszawie, gdzie jej rodzice mieszkali przy ul. Górnej, przemianowanej następnie na Górnośląską. Cztery lata później Iwaszkiewiczowie, już z dwiema córkami, bo na świat przyszła młodsza ich pociecha – Teresa, przenieśli się do domu w Podkowie Leśnej, który wybudował dla swojej córki Stanisław Lilpop, teść Jarosława. I to był początek sławnego Stawiska, które już zawsze będzie domem Marii, niezależnie od wszelkich zmian miejsc, gdzie – już jako osoba dorosła – pomieszkiwała, z kolejnymi mężami, a w końcu swego długiego życia – sama.

A zamężna była trzy razy: ze Stanisławem Włodkiem, z którym miała syna i córkę, z Janem Wołosiukiem, ojcem jej trzeciego dziecka – syna oraz Bogdanem Wojdowskim. „O moich kochankach – powiedziała mi w wywiadzie, który z nią przeprowadziłem w 2007 r. – ojciec zawsze wyrażał się krytycznie. W ogóle nie lubił zięciów.

– Wszystkich? – spytałem.

– Może wyjątek uczynił dla Bogdana Wojdowskiego, mojego trzeciego męża. Często powtarzał: »Mój Boże! Jakie to byłoby okropne, gdyby mój zięć był złym pisarzem. Na szczęście jest znakomitym pisarzem i nikt mi nie powie, że foruję grafomana. Moja sytuacja byłaby wtedy fatalna!«.

– Anegdota dobra, ale ukazująca też wymagania stawiane członkom rodziny.

– Z Bogdanem przed ślubem mieszkaliśmy dłuższy czas razem i on co jakiś czas powtarzał: »Wyjdź za mnie«, na co nieodmiennie odpowiadałam: »A co to ja lepszego sobie nie znajdę?«. W końcu jednak wzięliśmy ślub, o czym nikogo nie poinformowaliśmy, i dopiero po jakimś czasie mówię o tym ojcu, a on na to:

FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

1924–2019 / Życie i twórczość córki Jarosława Iwaszkiewicza

Pierwsza partia Warszawy

eprasa.pl 91c3417b27

Herb Podkowy Leśnej FOT. WIKIPEDIA

»Ach, jak to dobrze! Bo myślałem, że on się rozmyśli«. Ale nie zapominajmy, że oni – myślę o moich rodzicach – ukształtowani byli jeszcze przez wiek XIX. Na przykład moja matka bardzo niechętnie przyjmowała w domu aktorki. Aktorów nie, bo lubiła przystojnych mężczyzn, ale na aktorki kręciła nosem. Z Teresą, moją siostrą, mówiłyśmy wtedy, że nos jej się wydłuża jak tapirowi. No więc do aktorek »robiła tapira«. Podobnie do rozwódek. Czesław Miłosz napisał kiedyś, że Janka – jego pierwsza żona – nie lubiła Jarosława, no i mamy. Prawda jest taka, że mama pokazywała jej swą niechęć. Zołza była zresztą z Janki straszna i złośliwa Warszawa natychmiast ochrzciła ją »Cyjankalska«, jako że z pierwszego męża była Cękalska. Taką miała w stolicy ksywę. Ale Czesław ją kochał i bardzo był biedny, jak ona umarła".

Racine w oryginale

Maria Iwaszkiewicz twierdziła, że poza domem w dużej mierze ukształtowała ją szkoła. Konkretnie – prywatne gimnazjum Kowalczykówny i Jawurkówny, do wojny mieszczące się w Warszawie przy ul. Wiejskiej. „Nauczycielkami były często zwariowane stare panny – wspominała w książce zatytułowanej »Z pamięci« – które uważały swoją pracę za posłannictwo. Historii uczyła Gościkiewiczówna, siwa starsza pani w czarnej sukni z żabocikiem. Pochodziła chyba z kresowej rodziny, bo mówiła dziabeł i misionarz. Do dziś pamiętam jej rozwiane włosy podczas wykładu o rewolucji francuskiej i błysk w oku. Miało to trwać dwie lekcje i moja klasa, uchodząca za bardzo niesforną, prosiła, by nie przerywać, nie robić pauzy. Na gimnastykę z panią Stągiewiczówną (spódnica, bluza i męski krawat) chodziłyśmy pod skarpę na boisko, przylegające do Rozbrat. Za to nauczycielka modelarstwa i plastyki wyszła za mąż i była w ciąży – to było coś nieprawdopodobnego.

Pani Danyszowa prowadziła chór, co bardzo lubiłam, przecież chciałam uczyć się śpiewu. Fizyki uczył profesor Ehrenfeucht ze znanej ewangelickiej rodziny. Ewangeliczką była też panna Rylke (nazywana z powodu długiej szyi »ciocią żyrafą«), nauczycielka geografii, która zginęła później w Oświęcimiu. Znakomita była łacinniczka, pani Cierniakowa, żona działacza ludowego, która wpoiła mi, że Horacy był największym poetą wszech czasów.

Znalazłam ostatnio kartkę z tematami maturalnymi z języka francuskiego. Każdy z nich byłby stosowny na pracę magisterską. Ja pisałam (pięć stron po francusku): »Porównanie idej rozprzestrzenianych przez salony XVII i XVIII wieku«. Przed maturą [egzamin dojrzałości zdała pani Maria w roku 1942 – przyp. K.M.] Mama czytała nam Racine'a w oryginale, a nas to tak strasznie nudziło, tak chciałyśmy już gdzieś lecieć! Koledzy od siatkówki strasznie się z nas z tego powodu wyśmiewali. To było już w czasie wojny, w konspiracji, gdy lekcje odbywały się w rozmaitych mieszkaniach na terenie całego miasta. Do dziś uważam, że największą zasługą Polaków w czasie okupacji był nie czyn zbrojny, ale tajne nauczanie. Obie panny Kowalczykówna i Jawurkówna zostały w czasie powstania rozstrzelane przez Niemców w alei Niepodległości".

Jedną z jej koleżanek z klasy była niesławnej pamięci Nena, po latach żona Pawła Jasienicy, na którego donosiła bezpiece. „Była to nieznośna osoba – wspominała pani Maria – z dobrej rodziny, nazywała się Zofia Darowska. Moi przyjaciele poznali ją od najgorszej strony. Jak na dansingu kobiety szły do tańca, to torebkę zawsze zostawiały przy stoliku, ale jeśli w pobliżu była Nesia, nie zostawiało się torebki, bo istniała obawa, że coś z niej zginie. Ale nie przychodziło mi do głowy, że jest na usługach służb specjalnych. O tym, że Jasienica się z nią ożenił, dowiedziałam się od pułkownika Rzepeckiego, który był świadkiem na ich ślubie. Przyszedł któregoś dnia do Czytelnika i mówi: »Patrz, Marysiu, to są fotografie ze ślubu Pawła«. Zatkało mnie. Pomyślałam: »Jezus, Maria! Ten człowiek nie wie, co robi!«. Ale co można było powiedzieć? Był samotny, potrzebował chyba kobiety w domu i skończyło się, jak się skończyło".

Sztuka jedzenia

Jeszcze konspiracyjnie zaczęła studiować archeologię, kontynuując naukę po wojnie i przerywając ją ze względów rodzinnych. Urodziła dziecko, zatrudniła się w Wytwórni Filmów Dokumentalnych, by w 1952 r. rozpocząć pracę w Czytelniku, z którym związała się na całe lata. W oficynie na Wiejskiej była redaktorką, a w latach 1957–1965 kierowała założoną tam kawiarnią.

Stopniowo coraz więcej pisała, publikując swoje artykuły i felietony m.in. w „Przekroju", „Życiu Warszawy", „Gazecie Podkowiańskiej". Publikowała też książki, najpierw o tematyce gastronomicznej, później dominować zaczęły wspomnienia. Jej „Gawędy o jedzeniu" (1967), „Gawędy o przyjęciach" (1975) czy „Z moim ojcem o jedzeniu" (1980) cieszyły się dużym powodzeniem. Trudno, żeby było inaczej, skoro autorka podpatrywała poczynania w kuchni samego Władysława Kucharskiego, który przygotowywał posiłki dla jej rodziny, wcześniej zaś dla m.in. księcia Białozorskiego i księżny Biszety Radziwiłłowej w Rzymie, a potem bankiety w pałacu w Jabłonnie. Do czegoś też się przydawały przepisy spisywane jeszcze przez prababkę pani Marii i przechowane w oprawionym w półskórek zeszycie nazywanym książką kucharską „ręczną". No bo i odręcznie w czasach zdecydowanie przedkomputerowych uwieczniane.

Opowiadała Maria Iwaszkiewiczowa o kuchni włoskiej i węgierskiej, francuskiej i rosyjskiej, ale przede wszystkim o swoim domu i swojej niezwykłej rodzinie. Tak powstała książka „Z pamięci" (2005), tak też narodziły się wydane właśnie „Portrety", w pewnym sensie przynależące do literatury mówionej, były bowiem nagrywane, gdyż ze względu na wiek autorka nie mogła już sama spisywać tego, co miała do powiedzenia o m.in. Pawle Hertzu i Irenie Krzywickiej, Słonimskim i Hanuszkiewiczu, Wajdzie i Hłasce.

eprasa.pl 91c3417b27

Ten ostatni w czasach, gdy właściwie nie miał mieszkania, nocował – bywało – i u niej, i u jej znajomych, a przez kilka miesięcy na Frascati, u legendarnej czytelnikowskiej postaci, Olimpii Grochowskiej. „[...] któregoś wieczoru – wspominała pani Maria – Marek poszedł na wódkę i wrócił rano. Ja wtedy pracowałam w Czytelniku jako kawiarka i wpadłam na chwilę do Olimpii. Około pół do dziewiątej rano przychodzi Marek i co widzi? Olimpia w szlafroku, a na stole – patelnia kotletów, miska sałaty i litr wódki. Jęknął: »O, Jezu!«, zakrył twarz ręką i uciekł do swego pokoju. A my w ten sposób wesoło zaczynałyśmy dzień".

Jarosław Iwaszkiewicz z córkami

FOT. ARCHIWUM MUZEUM W STAWISKU/FOTONOVA

Tej wódeczki we wspomnieniach pani Marii jest jakby przydużo, ale takie to też były czasy i wypada nam wierzyć, że akurat ona wraz z inną czytelnikowską redaktorką – Janką Borowiczową – „tak dużo wódeczki nie piła, tylko czasami".

Kolacja z Sartre'em

Jarosław Iwaszkiewicz w „Dziennikach" z lat 50. co rusz wzdychał: „Gdybym miał inną żonę", „Gdybym miał inną rodzinę" itd., itp. „Nie wygląda na to, by był z wami wszystkimi szczęśliwy" – prowokowałem panią Marię w wywiadzie z 2007 r.

„Czasami nas bardzo nie lubił, z pewnością – odpowiedziała. – Złościł się też na mamę, która szalała za wnukami. Bogdan [Wojdowski – przyp. K.M.] mówił złośliwie: »Bo zawiodła się na córkach«. Cóż, miałam trzech mężów, moja siostra dwóch, ciągle jakieś chłopy koło nas się kręciły".

„Warszawka" swatała ją swego czasu z Leopoldem Tyrmandem. Tak o tym pisał: „Była akurat po rozwodzie, szukała pociechy po przejściach i tarapatach pierwszego małżeństwa. Ja byłem właśnie po rozstaniu z Rysią [córką Józefa Stemlera, jednego z czterech uniewinnionych w procesie szesnastu, za sprawą której autor »Złego« się ochrzcił – przyp. K.M.]. Odetchnęliśmy po naszych przejściach przez parumiesięczną chwilę przy sobie. Potem poznałem ją z mym przyjacielem, Jankiem Wołosiukiem, nie wiedząc, że kroję romans". Cóż, uchodziła pani Maria za pierwszą partię stolicy...

Zdarzało się, że ojciec zabierał ją ze sobą za granicę, np. w 1957 r. do Wenecji. „Dość już mi było tego – opowiadała – że w pożyczonej sukni wieczorowej siedziałam w »Il Fenice« na operze. Ale potem była jeszcze kolacja: z Sartre'em i Simone de Beauvoir przy sąsiednim stoliku! Z Ireną Joliot-Curie; jej mąż już wtedy nie żył, a był uroczym człowiekiem, bo jeśli chodzi o nią, to była stara i okropna. Co tu mówić, otarłam się o prawdziwie wielki świat".

W tym domu twórczej pracy ojca podporządkowane było wszystko. Czy z rozpędu idealizowała potem i jego postać, i związek jej rodziców?

W wywiadzie, do którego się w tym miejscu odwołuję, wspominała: „Pisał: »Modliłem się do Hani«. Nie za Hanię, tylko do Hani. Cenił matkę i jej zdanie o wszystkim, ale najważniejsze – oni się bardzo kochali. Wiele widziałam w życiu, ale nie widziałam – pomimo tego wszystkiego, co się działo u nas i wokół nas – żeby ludzie tak się kochali jak oni".

To była jednak trudna miłość, nie tylko ze względu na preferencje seksualne twórcy „Panien z Wilka". Anna Iwaszkiewicz przeżywała załamania, chorowała psychicznie, przez dłuższy czas przed wojną leczyła się w zakładzie dla nerwowo chorych.

„– Uratowała ją – kontynuowała pani Maria Iwaszkiewicz – wojna. To, co robiła w czasie okupacji, było niesamowite. Odnalazła w sobie ogromną odwagę, przecież nawet chodziła do getta, by zanieść papiery Żydom, których ratowała. Ale o tym, co się działo w jej wnętrzu... do końca nie wiemy. Mam swoje doświadczenie i z mamą, i z Bogdanem. To tak jest, że intelekt, nawet wielki intelekt, idzie sobie jednym torem, a dusza zupełnie innym. Myślę, że Bogdana prześladowało okupacyjne ukrywanie się – po wyjściu z getta ucieczka, strach przed denuncjacją. Ale miał urojenia. W końcu lat 70. przyszedł, na przykład, do domu i mówił, że spotkał na ulicy swojego szmalcownika. Nie przyjmował tłumaczenia, że ten człowiek już na pewno nie żyje, że to musiał być ktoś inny, na nic. Proszę pana, przebywanie z człowiekiem nerwowo chorym jest bardzo trudne. On wytwarza wokół siebie coś w rodzaju pola elektromagnetycznego i czasem wydaje się to nie do wytrzymania. A mama miała z kolei coś w genach, przecież jej ojciec – dziadek Lilpop – popełnił samobójstwo, w tej rodzinie były podobne wypadki.

– Na stan psychiczny pani matki mogła wywrzeć wpływ aborcja, jaką przeszła w zakładzie psychiatrycznym. To sprawa wyjątkowo przykra i tajem-

eprasa.pl 91c3417b27

nicza, bo chora nie miała świadomości zabiegu.

– Mama chyba do końca nie wiedziała o tym, co się stało. Ja miałam wtedy dwanaście lat, to było straszne.

– Niemałą cenę zapłaciła pani za życie w wyjątkowej rodzinie…

– To ciekawe, zawsze doczepiali się do mnie mężczyźni słabi, wariaci, histerycy. W 1992 r. zjechał do Warszawy z Argentyny mój pierwszy narzeczony. Rozmawiałam z nim i nagle zachciało mi się śmiać, bo on – jak się okazało – miał wszystkie cechy moich mężów. Czyli błąd tkwi we mnie, nie w nich.

– Co też pani mówi!

– Widocznie tylko takich jak oni przyciągam. Wie pan, najbliższa mi dziś osoba to homoseksualista, wariat, człowiek nieodpowiedzialny. Nic na to nie poradzę. Zaręczam panu, że chciałabym być malutkim kobieciątkiem, któremu wszyscy mówią: »Marysia nie da rady«. A więc nie, Marysia da sobie radę, Marysia wszystko załatwi!

– A czy ojciec chciał, by Marysia pisała?

– Nie. Oj nie".

Dajcie mi sucharów…

Na szczęście stało się inaczej, bo z całą pewnością odziedziczyła Maria Iwaszkiewicz po ojcu talent literacki. A swoje „Portrety", choć daleka była od wszelkich poprawności, zabarwiła – jak we wstępie pisze Agnieszka Papieska – „ciepłym humorem, który nie ośmiesza bohatera, lecz zjednuje mu sympatię czytelników".

Miała 15 lat, jej siostra 11, gdy w Zakopanem wołał do nich siedzący w restauracji Kornel Makuszyński: „Zostańcie ze mną, a stary niech sobie jedzie do domu!". „U nas nigdy tak nie mówiono do dzieci, więc strasznie nam się to podobało" – komentowała pani Maria. Dodała: „Jest dla mnie niewyjaśnioną tajemnicą, dlaczego ludzie bezdzietni piszą najlepsze książki dla dzieci: Makuszyński, Brzechwa, Tuwim".

A pamięć miała znakomitą. To niesamowite, ale potrafiła odtworzyć np. rozkład pomieszczeń w redakcji „Wiadomości Literackich", dokąd ojciec zabrał ją w roku 1936: „W dużym pokoju – czytamy – w kącie siedział Władysław Broniewski, ówczesny sekretarz redakcji, oraz Marian Eile. Który wymyślał wszystkie rebusy i zgadywanki. Wiele lat temu spotkałam Eilego w Krakowie. »Marian – powiedziałam – przecież już tylko ty i ja wiemy, jak Grydz [Mieczysław Grydzewski – przyp. K.M.] mówił«. Teraz już tylko ja".

Broniła politycznej postawy ojca, można rzec, że była jego adwokatem. Pewnych spraw nie potrafiła jednak wytłumaczyć, choćby tragikomicznych okoliczności jego śmierci i pochówku w mundurze górniczym. Wracała natomiast do ostatnich chwil Jarosława Iwaszkiewicza:

„– Ojciec pogodził się ze śmiercią, choć wcześniej długo z nią igrał: »Jaki miły ten Kraków – mówił. – Sami nieboszczycy«. Siostra była u niego tuż przed śmiercią, wiedział, że umiera. Ja miałam wtedy taki śmiertelny ciąg: najpierw mama, ojciec, a potem pierwsza samobójcza próba Bogdana. Pierwsza z czterech. Wtedy mu się jeszcze nie udało – wiem, że to nie jest odpowiednie słowo, ale tak było. A ojciec przed śmiercią powtarzał tylko: »Dajcie mi sucharów i herbaty«, widocznie karmili go jakimś świństwem. Miał cukrzycę, krew się z niego wylewała, robiono mu transfuzję. Doktor Filipecki powiedział: »To jest żelazny organizm, ale nie ma w nim woli życia. On chce umrzeć«".

Zapytana o rolę, jaką odgrywał diabolizowany czasem Szymon Piotrowski, sekretarz ojca i jego prawa ręka, pani Maria odparła:

„– Miał go pilnować. Może nie donosił na nas, choć tego nie wiadomo do końca, ale ojciec wiedział o roli, jaką tamten pełnił. Pamiętam, że parę razy zwracał mi uwagę: »Tylko nie mów o tym Szymkowi«.

– A pani nie miała bezpośrednich kontaktów ze Służbą Bezpieczeństwa?

– Raz, w połowie lat 70. Wezwano mnie na przesłuchanie na Rakowiecką. Wspominam je bardzo nieprzyjemnie, mieli te swoje metody... Teraz myślę, że to była próba werbunku, ale się pewnie nie nadawałam. Bo też, co mnie pytali, od kogo wiem to czy tamto, odpowiadałam, że od Macha [pisarza, Wilhelm Mach – przyp. K.M.], a on już wtedy nie żył. Ale w pewnym momencie nie wytrzymałam i gdy usłyszałam: »To tak pani sądzi?«, powiedziałam: »Wezwano mnie tutaj, żeby pytać o fakty, a nie o to, co sądzę. Bo to, co sądzę, to moja sprawa«. Nigdy więcej podobnego wezwania nie dostałam. A Szymek donosił... na pewno.

– No to może lepiej, że ojciec pani miał tego świadomość?

– Ojciec był na niego skazany. Kto by ojca wyciągał z wanny – ani mama, ani ja, ani nikt inny. Kto by go woził do Warszawy ze Stawiska? Starego człowieka zawodzą nogi. Noszą go tyle lat i nie wytrzymują. Poza tym jest jeszcze taka tradycja polskich dworów – na co zwróciła mi uwagę moja przyjaciółka, Zosia Mycielska, siostrzenica Jerzego Stempowskiego – że zawsze wybitną rolę odgrywa w nich, jak w »Przedwiośniu«, Maciejunio. Najpierw Maciejunio jest służącym, potem człowiekiem do specjalnych poruczeń, a w końcu okazuje się najważniejszy.

Maria Iwaszkiewicz zmarła 23 marca 2019 r. Siedem dni później pochowana została na cmentarzu w Brwinowie, blisko grobu rodziców. Odeszła interesująca i, z pewnością, niezrealizowana pisarka, założycielka Muzeum Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów i jego honorowa kustosz, ale przede wszystkim jakże ważna postać literackiej Warszawy. Jeszcze z prawdziwego zdarzenia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 91c3417b27

Brama wejściowa do niemieckiego obozu Gross-Rosen FOT. ARCHIWUM

Książka miesiąca / Golgota 125 tysięcy

Łaska dla kapo

Do obywatela prezydenta Rzeczpospolitej Polskiej w Warszawie. 8 października 1947 roku. Wyrokiem Sądu Okręgowego w Świdnicy – Wydział Zamiejscowy w Wałbrzychu dnia 14 czerwca 1947 roku w sprawie numer V.K.134/47 skazany zostałem na mocy artykułu 2 dekretu z dnia 31 sierpnia 1944 roku pozycja 377/46 na karę śmierci.

Tak zaczynał się, napisany w 1947 r., list Nusyna Wekselmana do Bolesława Bieruta. Wekselman był kapo w jednej z filii niemieckiego obozu Gross-Rosen. Komunistyczny „prezydent" przychylił się do jego prośby i – biorąc pod uwagę jego dobre sprawowanie w więzieniu – darował mu życie.

Ministerstwo Sprawiedliwości zawiadamia – czytamy w dokumencie nadzoru sądowego – że Obywatel Prezydent Rzeczpospolitej skorzystał z przysługującego mu prawa łaski w stosunku do Nusyna Wekselmana skazanego wyrokiem Sądu Okręgowego w Świdnicy na karę śmierci, zmieniając karę śmierci na karę dożywotniego więzienia.

Co ciekawe, Bierut jednocześnie odrzucił wiele podobnych próśb kierowanych do niego w imieniu skazanych na śmierć żołnierzy podziemia niepodległościowego. Między innymi Danuty Siedzikówny „Inki" czy rtm. Witolda Pileckiego. Oni zostali zamordowani „w majestacie prawa", Wekselman został zaś ocalony. A po ośmiu latach odsiadki został wypuszczony na wolność.

Co młody kapo robił z obozie? Był przełożonym kolumny roboczej żydowskich więźniów. I swoją władzę nad nimi bezwzględnie wykorzystywał.

Znęcał się w sposób systematyczny nad podległymi mu więźniami – mówił skazujący go sędzia – bijąc ich prawie codziennie bez powodu lub za błahe wykroczenie regulaminowe. Ręką lub trzciną w sposób nieludzki i to z własnej inicjatywy, bez jakiegokolwiek nacisku ze strony władz niemieckich. Oskarżony stosował szczególny sposób uderzania ręką, wywołujący u pobitych nie tylko szczególnie silne bóle, lecz nawet w kilku wypadkach poważne następstwa dla zdrowia.

Oskarżony zmuszał podwładnych mu robotników żydowskich biciem do przesadnej wydajności pracy na rzecz nieprzyjacielskiego państwa niemieckiego, urządzał marsze przyspieszone na wzór wojskowy, prowadząc swą kolumnę do pracy lub z pracy. Tych, którzy nie dotrzymywali kroku lub pozostawali w tyle marszu lub z wyczerpania ustawali w pracy, kopał lub bił ręką czy trzcinką z dużą siłą i z rozmachem w różne części ciała, przeważnie w głowę.

Sprawa była o tyle szokująca, że Wekselman sam był Żydem.

To tylko jedna z wielu wstrząsających historii opisanych przez Agnieszkę Dobkiewicz w książce „Mała Norymberga". To zbiór reportaży o oprawcach – esesmanach i więźniach funkcyjnych – służących w niemieckim obozie koncentracyjnym Gross-Rosen i jego filiach. Kompleksie, który po wojnie został nazwany „imperium małych piekieł".

Bez wątpienia była to nazwa adekwatna. Dla co najmniej 125 tys. więźniów, którzy przeszli przez ten kompleks, była to prawdziwa golgota. Wyczerpująca, katorżnicza praca w kamieniołomach, głód, brutalność strażników. Pobicia, egzekucje, szarganie ludzkiej godności. Krematorium. Życie ludzkie w Gross-Rosen nie miało żadnej wartości.

Historie opisane przez Agnieszkę Dobkiewicz napisało życie. To właśnie dlatego są tak fascynujące i – często – niejednoznaczne. Pokazują, do czego zdolny jest człowiek, gdy otrzyma nieograniczoną władzę nad drugim człowiekiem. Albo gdy walczy o życie.

Skala popełnionych w tym miejscu zbrodni przeraża – pisze autorka – ale gdy wchodzi się na teren byłego obozu, widać wyrównane ścieżki, przyciętą trawę i pozostałości fundamentów stojących tu kiedyś budynków. I słychać tę straszną niepokojącą ciszę. Nam, współczesnym, bardzo trudno dostrzec tutaj dramaty konkretnych ludzi i zrozumieć, co znaczą kromka chleba, niechcący wylany talerz zupy czy zepsute okulary, które uniemożliwiają przeżycie. Bo życie w obozie nie było bohaterskie. Podobnie jak śmierć. Ludzie umierali po cichu, w smrodzie, brudzie, wśród insektów i w poczuciu, że nikt się o tym nie dowie. Dlatego postanowiłam za pomocą zbioru reportaży zapełnić obóz Gross-Rosen prawdziwymi ludźmi i opowiedzieć ich historie.

Cel ten bez wątpienia Agnieszka Dobkiewicz osiągnęła. Ofiary Gross-Rosen już nie są anonimowe. ©℗

Piotr Zychowicz

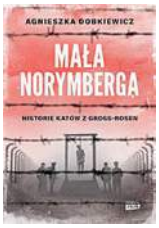

AGNIESZKA DOBKIEWICZ „MAŁA NORYMBERGA. HISTORIE KATÓW Z GROSS-ROSEN"
ZNAK

eprasa.pl 91c3417b27

Gorące lato 1920 r.

O tym, co działo się w Warszawie, gdy zbliżała się Armia Czerwona, opowiada w interesujący sposób Joanna Rolińska. Autorka wykorzystała prasę, dzienniki i wspomnienia świadków tamtych dni. W efekcie powstał mozaikowy obraz, niebędący jednak patriotyczną czytanką. Bo też nie wszyscy przejęli się nadciągającym niebezpieczeństwem. Jarosław Iwaszkiewicz pisał, że w ciągu miesiąca „hulaszcze, puste życie Warszawy zanikło". Coraz bardziej raziły „strojne, rozbawione tłumy". Coraz krytyczniej przyglądano się ludziom w kawiarniach i restauracjach. Od przygrywających tam muzyków żądano, i to brutalnie, by poszli do wojska.

Strajkowali tramwajarze, pracownicy wodociągów i kanalizacji oraz innych służb miejskich. Kłopoty z żywnością spowodowały duży wzrost cen i były rajem dla „paskarzy". Panowała epidemia czerwonki, nakazano więc podawać do chłodnych napojów wyłącznie słomki jednorazowego użytku.

Organizacje kobiece zakładały gospody dla żołnierzy, rozdawały im na ulicach żywność i napoje. Zauważano jednak, że niektóre panie wykorzystują tę działalność do „flirtu i lansu". Do Armii Ochotniczej napływało wielu ludzi, a jednocześnie prasa podawała informacje o rozstrzeliwaniu dezerterów w cytadeli.

Francuskiego oficera Charles'a de Gaulle'a uderzał spokój mieszkańców. Nie wiedział, czy był to wyraz wiary w siłę polskiej armii, czy rezygnacji narodu, którego niepowodzenia nie poruszają. Jednak można było widzieć kolejki ludzi przed bankami i tłumy na dworcach kolejowych.

Co trzeci mieszkaniec Warszawy był Żydem. Leopold Julian Kronenberg znalazł się na pierwszym miejscu wśród składających ofiary na cele obrony. Niektóre organizacje żydowskie wzywały do wstępowania do Armii Ochotniczej, mundury założyli wychowankowie Domu Sierot prowadzonego przez Janusza Korczaka. Żydowskich ochotników przyjmowano do wojska z oporami, gdyż część Żydów przejawiała sympatię dla bolszewików. Gdy prowadzono przez Warszawę czerwonoarmistów, zostali obsypani pomarańczami i kwiatami. Takie zachowanie budziło niechęć wobec Żydów, przeradzającą się czasem w słowną, a nawet fizyczną agresję.

Toczyło się też jednak zwykłe życie, które odzwierciedlają ogłoszenia prasowe wybrane przez autorkę. A wśród nich i takie: „Chłopczyka ochrzczonego 3-miesięcznego oddam miłosiernym katolickim paniom na wychowanie, mogę dopłacić". ©℗ *Tomasz Stańczyk*

JOANNA ROLIŃSKA
„LATO 1920"
BELLONA

Wymodlone zwycięstwa

To raczej nie jest książka dla ateistów. Autor pisze o nadprzyrodzonych interwencjach w historię doczesną, o „zwycięstwach za pomocą nieba". Cuda dzieją się jednak we współdziałaniu człowieka z Bogiem, potrzebna jest więc modlitwa. Do wymodlonych zwycięstw zalicza autor m.in. przełomową bitwę z muzułmanami pod Lepanto, bitwę pod Chocimiem, a także Bitwę Warszawską. Bolszewiccy jeńcy opowiadali, że nad idącym w szeregach polskich żołnierzy ks. Ignacym Skorupką widzieli Matkę Boską. A Józef Piłsudski był czcicielem ostrobramskiego wizerunku Madonny. Być może jest on przykładem siły modlitwy. ©℗ *(t.s.)*

WINCENTY ŁASZEWSKI
„ZWYCIĘSTWA Z POMOCĄ NIEBA"
ESPRIT

NORMAN M. NAIMARK
„LUDOBÓJSTWA STALINA"
INSTYTUT PILECKIEGO

LUDOBÓJCA STALIN

Stalin na Zachodzie miał zawsze wielu miłośników. Stada lewicowych intelektualistów (tzw. pożytecznych idiotów) do dziś starają się bagatelizować i usprawiedliwiać przerażające zbrodnie ZSRS. Przeciwko temu wystąpił amerykański profesor. Udowadnia, że Stalin należał do największych morderców w dziejach, a jego zbrodnie wypełniają definicję ludobójstwa. ©℗ *(p.z.)*

DAMIAN K. MARKOWSKI
„OSTATNI DZIEŃ HANACZOWA"
BELLONA

OBRONA HANACZOWA

Dramat kresowych Polaków tępionych przez UPA rozgrywał się także w Małopolsce Wschodniej. Autor opisuje dramat wsi Hanaczów, bazy samoobrony, w której chronili się Polacy, a także Żydzi. Wieś była silnie atakowana przez UPA w lutym i kwietniu 1944 r. Dzięki odsieczy z innych wsi udało się stworzyć ratunkowy konwój dla Polaków z Hanaczowa. Wieś ostatecznie spacyfikowali i spalili Niemcy. ©℗ *(t.s.)*

JANUSZ ODZIEMKOWSKI
„OSTATNIA BIJE GODZINA... ARMIA OCHOTNICZA GEN. JÓZEFA HALLERA 1920"
IPN

OCHOTNICY 1920

Ponad 100 tys. rodaków ze wsi i z miast dobrowolnie wstąpiło latem 1920 r. do Armii Ochotniczej, świadcząc o tym, że „za ojczyznę każdy w Polsce z własnej woli gotów złożyć krew i życie". Wnieśli oni ducha bojowego do wojska od miesiąca bitego i uchodzącego przed bolszewikami. Generał Józef Haller wysłał na front jako zwarte formacje 20 ochotniczych pułków piechoty i kawalerii. Ponad 40 stanowiło uzupełnienia. ©℗ *(m.r.)*

eprasa.pl 91c3417b27

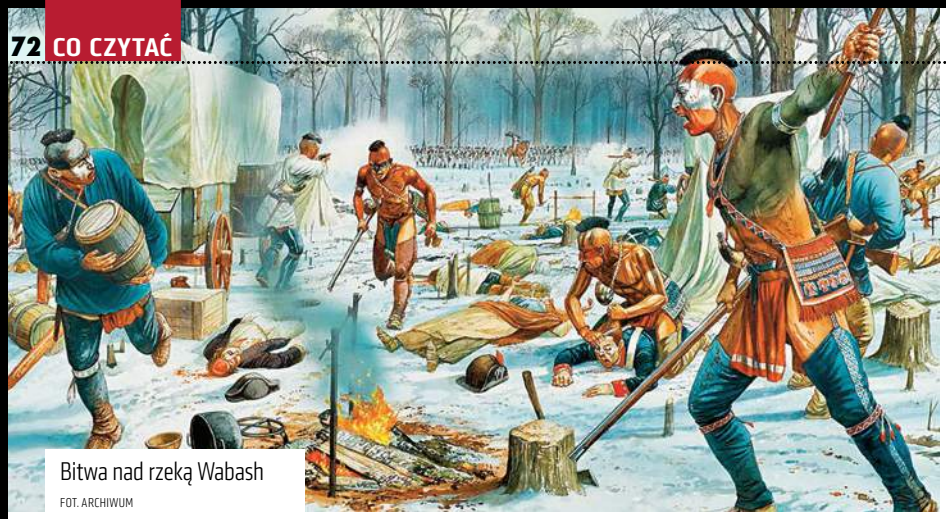

Bitwa nad rzeką Wabash
FOT. ARCHIWUM

Pierwsi w USA

Dużo do myślenia daje ta znakomita książka, ale może budzić sprzeczne uczucia. Już sam podtytuł: „Ludzie, którzy zbudowali Amerykę" nasuwa pewną wątpliwość. A może powinien brzmieć: „Ludzie, którzy zdemolowali Amerykę"? Czy nie jest bowiem tak, że w wyniku osadnictwa białych Amerykanów (właśnie: już Amerykanów, a nie kolonistów brytyjskich) zniszczona została Ameryka czerwonoskórych?

Oto po zwycięskiej wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych zostaje w 1783 r. podpisany traktat pokojowy z Wielką Brytanią. Na jego mocy królestwo zza morza nie tylko uznaje 13 zbuntowanych stanów północnoamerykańskich za osobne państwo, lecz także „zrzeka się" na jego rzecz rozległych terenów na północnym zachodzie – od Appalachów do Missisipi. Ów obszar, ponad dwukrotnie większy niż obecne państwo polskie, zamieszkiwały od niepamiętnych czasów plemiona indiańskie, ale ich, rzecz jasna, nikt o zdanie nie pytał.

W ciągu jednego pokolenia Amerykanie założą tu stany: Ohio, Michigan, Indiana, Illinois i Wisconsin. Autor uchwycił moment, gdy pierwsi osadnicy po przekroczeniu Appalachów osiedlają się wzdłuż rzeki Ohio, zaczynając od założenia osady Marietta. Umożliwiła to spółka nobliwych obywateli z Massachusetts – z pastorem i emerytowanym generałem na czele – która podpisała z władzami USA kontrakt na zakup znacznych połaci tych ziem. McCullough na podstawie pamiętników, listów i oficjalnych dokumentów w pasjonujący sposób odtwarza historię pionierów, na ogół pracowitych, bogobojnych i mężnych. Poznajemy poszczególne rodziny i rody, ich zasługi i dramatyczne nieraz koleje losu. W drugim pokoleniu stworzą już prawdziwie cywilizowaną krainę.

Podziwiamy, jak uprawiają ziemię, hodują bydło, budują domy, forty, budynki użyteczności publicznej i świątynie, polują, pomagają sobie wzajemnie. Oraz… stają do walki z okrutnymi Indianami, którym nie wiedzieć czemu coraz mniej podobają się coraz liczniejsi sąsiedzi, którzy zajmują ich ziemie i wybijają zwierzynę po lasach. I oto – również nie wiedzieć czemu – z pewną satysfakcją czytamy, jak to Mały Żółw wraz ze swymi dzielnymi wojownikami z plemienia Miami sprawił krwawą łaźnię najpierw karnej ekspedycji Josiaha Harmara, a potem – wraz z Szaunisami Błękitnej Kurtki i ze wsparciem jeszcze ośmiu innych plemion – rozgromił nad Wabash w 1791 r. 1,5-tysięczną wyprawę US Army pod wodzą Arthura St. Claira. Cóż, parę lat później po bitwie pod „zaporą pni" musiał skapitulować… ©℗

Maciej Rosalak

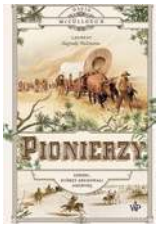

DAVID MCCULLOUGH
„PIONIERZY. LUDZIE, KTÓRZY ZBUDOWALI AMERYKĘ"
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Idziemy se hore, ej wysoką percią…

Regularne wojska górskie państw europejskich powstawały w XIX w.: austriaccy Strzelcy Tyrolscy (1816), a następnie Strzelcy Alpejscy włoscy (1872) i francuscy (1888). Niemcy wpadli na taki pomysł dopiero podczas pierwszej zimy wielkiej wojny (1914/1915). Potem Strzelców Śnieżnych (narciarskich) zastąpili w Reichswerze i w Wehrmachcie – a z czasem także w Waffen-SS – Strzelcy Górscy. Strzelcy Ardeńscy pojawili się w 1940 r. w Belgii.

U nas działacze góralscy i zarazem Strzelcy (Feliks Gwiżdż, Andrzej Galica, poeta Władysław Orkan – formowali Drużyny Podhalańskie, a w 1914 r. prowadzili młodzież góralską do Legionów. Walczyło w nich ok. 2 tys. Podhalan. Odznaczali się, wedle świadków, wielką odwagą i zbójnicką fantazją. Jak pisał Orkan: „Idziemy se do dołu, dołu ku dolinie, / Kazda nasa kulka wraha nie ominie, / Idziemy se hore, ej wysoką percią, / Wrahowi znienacka zjawimy się śmiercią".

W 1918 r. na Podhalu powstała pierwsza kompania wysokogórska WP. Na wzór dobrze mu znanej tyrolskiej – zorganizował ją podczas konfliktu o Spisz zapalony taternik i narciarz, kpt. Władysław Ziętkiewicz. Tworzono liniowe pułki i dywizje podhalańskie. Podziwiano ich w 1920 r. w majowej paradzie na ulicach Kijowa czy wśród żołnierzy 21. Dywizji Piechoty Górskiej w sierpniowej Bitwie Warszawskiej (kpt. Ziętkiewicz dowodził batalionem w 3 p.p). W 1939 r. dywizja ta staczać będzie tragiczne boje podczas kampanii wrześniowej na lewym skrzydle Armii Kraków… ©℗

Maciej Rosalak

WOJCIECH B. MOŚ
„WOJSKA GÓRSKIE II RZECZYPOSPOLITEJ 1918–1939"
AVALON

eprasa.pl 91c3417b27

Krew bratnia koło Sanoka

Przemoc stosowana podczas polsko-ukraińskiego konfliktu nie znika z pola zainteresowań prof. Jarosława Syrnyka. Właśnie na półkach księgarskich ukazała się kolejna – po wydanej niedawno książce „Trójkąt bieszczadzki" – publikacja jego autorstwa, obrazująca przebieg konfrontacji polsko-ukraińskiej tym razem na terenie powiatu sanockiego. Podobnie jak w pierwszej pracy profesor przyjął dość ciekawą perspektywę badawczą, ukazując rozgrywające się na tym terenie wydarzenia z punktu widzenia zwykłych ludzi, mieszkańców ziemi sanockiej. Przemoc postrzegana jest przez profesora jako element panowania, używany przez podziemie ukraińskie, polskie, polskich renegatów komunistycznych, polskich (w formacjach komunistycznych znajdowały się również osoby związane lub sympatyzujące z antykomunistycznym podziemiem) i sowieckich okupantów. Z perspektywy zwykłego człowieka jej stosowanie było oczywistym złem, a konsekwencją śmierć często niemających nic wspólnego z toczoną walką cywili.

Z badań prof. Syrnyka wynika, że w latach 1944–1947 w powiecie sanockim śmierć poniosło 1,3 tys. osób, z czego 79 proc. stanowili cywile. Nawet jeśli się weźmie pod uwagę, że nie zawsze jest możliwe stwierdzenie, czy zabity był rzeczywiście cywilem czy członkiem siatki organizacyjnej ugrupowań podziemnych lub współpracownikiem komunistycznych organów bezpieczeństwa, to i tak liczba ofiar jest z pewnością pokaźna.

Pomimo że tytuł pracy dotyczy lat 1944–1947, jej zaletą jest nakreślenie działalności funkcjonujących w niemieckich strukturach okupacyjnych zarówno polskiej (tzw. granatowej), jak i ukraińskiej policji. Zabrakło tylko informacji, że ta pierwsza powstała na zasadach przymusowych (dopiero od 1941 r. pojawili się w niej ochotnicy), natomiast w tej drugiej znaleźli się sami wolontariusze. W początkowej części książki został opisany mało znany epizod związany z faktem dokonania przez niemieckie siły policyjne masowych aresztowań działaczy lokalnej siatki OUN. Jest to o tyle ważne, że represje niemieckie wobec OUN-owców często umykają uwadze polskich historyków. Po dezercji ukraińskich policjantów z posterunku Ukrainische Hilfspolizei w Lutowiskach 10 z nich, na czele z referentem organizacyjnym OUN w powiecie sanockim Mychajło Falem „Ostapem", zostało 24 kwietnia 1944 r. w Tarnowie rozstrzelanych.

Wrocławski naukowiec opisał także zbrodnie popełnione 24 stycznia 1946 r. w Karlikowie (16 ofiar) i 25 stycznia 1946 r. w Zawadce Morochowskiej (62 ofiary, z których część przed śmiercią poddano okrutnym torturom) przez oddziały wojskowe reżimu komunistycznego. W odwecie za popełnione przez LWP zbrodnie dwie sotnie UPA Wołodymyra Hoszki „Myrona" i Stepena Stebelskiego „Chrina" zniszczyły 20 marca 1946 r. w Jasielu placówkę WOP. W walce zginęło 24 żołnierzy, a 79 wzięto do niewoli, z czego jeden zbiegł, a 16 zwolniono. Ponieważ część z nich, dokładnie 38, ludność rozpoznała jako uczestników masakr w Zawadce Morochowskiej i Karlikowie, zostali oni rozstrzelani. Oczywiście opisów podobnych zdarzeń w książce jest znacznie więcej.

Generalnie pracę prof. Jarosława Syrnyka, bardzo szczegółową i opartą na bogatym materiale źródłowym, stanowiącą swoiste kalendarium nakręcającej się przemocy, ze względu na nowatorskie spojrzenie należy polecić do przeczytania wszystkim zainteresowanym i uznać za znakomity materiał do dyskusji o tragicznych wydarzeniach, które rozgrywały się w powiecie sanockim w latach 1944–1947. ©℗

Arkadiusz Karbowiak

JAROSŁAW SYRNYK
„PRZEMOC I CHAOS. POWIAT SANOCKI I OKOLICE: SIERPIEŃ 1944–LIPIEC 1947 R. ANALIZA ANTROPOLOGICZNO-HISTORYCZNA"
IPN

Pan na Dzikowie

Biografia Zdzisława Tarnowskiego (1862–1937) to znakomita lektura dla czytelników interesujących się arystokracją, jej życiem codziennym, myślistwem, słynnymi stadninami i kolekcjami dzieł sztuki.

Polowaniach były pasją Tarnowskiego. Brał udział w polowaniach z psami gończymi w Antoninach u Potockich – „najsłynniejszych jesiennych polskich łowach w wielkim stylu".

Tarnowski był znakomitym hodowcą koni Chwalił się żonie: „Mam najlepsze w Austro-Węgrach stado". Jego konie uzyskiwały nagrody na międzynarodowych konkursach.

Arystokrata lubił się portretować, a modelem był świetnym: „wysoki, postawny, przystojny, dostojny". Nie doszedł jednak do porozumienia z Wojciechem Kossakiem. Malarz pisał do żony: „Zdzisiowi 3000 kor. za portret to dużo. Biedactwo, myślał, że będzie to paręset, najwyżej kilkaset koron! (sic). No, moja droga, idiota czy co? Nie jadę więc do Dzikowa i wcale się tym nie gryzę".

Na zamku w Dzikowie znajdowały wspaniałe zbiory sztuki, zgromadzone przez pradziadków Tarnowskiego. On sam nie miał pasji kolekcjonerskiej, ale kupił rękopis „Pana Tadeusza". Niestety, sprzedał „Lisowczyka" Rembrandta do Stanów Zjednoczonych. Wywołało to prawdziwą burzę. Uznano sprzedaż arcydzieła za czyn antypatriotyczny. Jednak Tarnowski wspierał Macierz Szkolną Śląska Cieszyńskiego, a podczas wojny z bolszewicką Rosją wyposażył i umundurował 55 ochotników. Byli wśród nich jego synowie Jan i Artur. ©℗

Tomasz Stańczyk

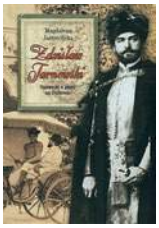

MAGDALENA JASTRZĘBSKA
„ZDZISŁAW TARNOWSKI. OPOWIEŚĆ O PANU NA DZIKOWIE"
LTW

eprasa.pl 91c3417b27

Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Trafić w czas

/ **Dzika nienawiść Hitlera do Polaków zaczęła się w kwietniu 1939 r.** i miała w sobie coś z psychotycznej zemsty odrzuconego kochanka

W roku 1938, w tym samym czasie, gdy niemieckie koncerny zbrojeniowe stawały do przetargów na sprzęt dla Wojska Polskiego (m.in. koncern Arado oferował nam swoje hydroplany, a Zeiss nowoczesną optykę dla ORP „Ryś"), ukazała się książka niejakiego Kurta Lücka „Der Mythos vom Deutschen in der polnischen Volksüberlieferung und Literatur". Przyznam od razu, że książki tej nie miałem w ręku, tak jak zresztą pewnie nikt od dziesięcioleci; nie wspomina o Lücku nawet Krzysztof Rak w swoim „Niespełnionym sojuszniku Hitlera", najlepszej monografii niedoszłego zbliżania polsko-niemieckiego w latach 30.

Wszystko, co na ten temat wiem, wiem z nieocenionej „Silva rerum" Mieczysława Grydzewskiego, który o hitlerowskim rewizjoniście polsko-niemieckiej historii pisze głównie w kontekście zbudowanej przez niego nowej interpretacji bitwy pod Grunwaldem (w wydaniu „Iskier" są to strony 583–584). Ta bitwa w wizji Lücka nie była wcale śmiertelnym starciem narodów polskiego i niemieckiego, jak zwykła to przedstawiać polska literatura. Była starciem zakonu krzyżackiego, zdominowanego przez Niemców, ale rządzącego tylko jednym z wielu niemieckich państw i nierepreze-ntującego Niemców jako takich, oraz Królestwa Polskiego (w unii personalnej z Litwą), wielokulturowego, a więc także w części niemieckiego. Lück, a za nim Grydzewski, wylicza walczących po stronie polskiej niemieckich rycerzy i mieszczan, kwoty, jakimi sfinansowały armię Jagiełły niemieckie miasta, przywołuje niemieckie nazwiska poddanych króla polskiego, wyróżnionych za męstwo w bitwie nadaniami bądź nobilitacjami.

Wszystko to służy generalnemu przekazowi książki: rzekoma odwieczna, tysiącletnia wrogość między narodami polskim i niemieckim to mit, stworzony przez Polaków w wieku XIX wskutek antagonizmu polsko-pruskiego. W istocie przez większość wspólnej historii żyliśmy w przyjaźni, współpracując zgodnie w cywilizowaniu regionu – i tak powinno być także teraz.

Jaka była merytoryczna wartość argumentów niemieckiego autora – nie mam pojęcia, bo i skąd. Książka jest dziś pewnie najbielszym z białych kruków i wiadomo, dlaczego spotkał ją taki los. Trudno sobie wyobrazić, by ktoś bardziej nie trafił we właściwy czas, niż to się stało udziałem Herr Lücka.

A jednak sam fakt, że taka książka była swego czasu w hitlerowskich Niemczech napisana i wydana, jest mocnym dowodem przeciwko buńczucznie głoszonym tezom Piotra Gursztyna i innych brązowników, że jakiekolwiek zbliżenie Polski z III Rzeszą było z zasady niemożliwe, bo Hitler w swym rasowym obłędzie uważał nas za podludzi.

Tymczasem Hitler, jak to zresztą często u psychopatów bywa, potrafił wierzyć w to, co mu akurat pasowało. Jego dzika nienawiść do Polaków zaczęła się w kwietniu 1939 r. i miała w sobie coś z psychotycznej zemsty odrzuconego kochanka. Uznał nas za słowiańską trzodę i zapragnął wymordować wszystkich właśnie dlatego, że mieliśmy czelność odrzucić jego tak gorące i tak daleko idące awanse, jak to opisał wspomniany Krzysztof Rak.

Ale gdyby inaczej się potoczyła ta historia, to właśnie Kurt Lück i jemu podobni wyznaczyliby obowiązującą narrację o tysiącletnim, polsko-niemieckim braterstwie, a naziści, w ślad za swym Führerem, uznaliby nas za czystej krwi Normanów – z równą łatwością, z jaką w polskich góralach zobaczyli potomków germańskich Markomanów. ©℗

eprasa.pl 91c3417b27

Piotr Semka

/ Felieton

Brzemię Białych Lilii

W wieku 94 lat zmarł Jean Raspail – najwybitniejszy rojalista francuskiej literatury współczesnej. W Polsce jego dzieła miały szczęście znaleźć oddanego wydawcę, Bogusława Kiernickiego, który w wydawnictwie Dębogóra wydał najważniejsze dzieła mistrza: m.in. „Pierścień rybaka", „Króla zza morza" czy najbardziej proroczą z książek Raspaila – „Obóz wszystkich świętych".

Było coś w tych książkach z wierności rzeczom, które powszechnie uznano za przebrzmiałe. Coś, co przypominało determinację gen. Charles'a de Gaulle'a, aby w czasie swej prezydentury demonstracyjnie uczestniczyć w mszach świętych, jakby pokazując wszystkim, że republikańska Francja ma znacznie starsze korzenie niż dziedzictwo rewolucji 1789 r.

Jego ojciec – Oliver Raspail, menedżer jednej z fabryk w departamencie Indre-et-Loire – był zaprzysięgłym monarchistą. Jego opowieści o pięknie ducha Francji św. Ludwika i wierności sprawie Białych Lilii naznaczyły pisarza na całe życie.

„Monarchizm traktuję jako moją formę dandyzmu – sprzeciw jednostki wobec ujednoliconym masom" – pisał. Do końca życia wspierał jak mógł Alliance Royale – partię skupiającą zwolenników restytucji monarchii we Francji. Było to czysto symboliczne wsparcie, bo monarchiści w wyborach do europarlamentu w 2009 r. zdobyli jedynie 4244 głosów, czyli 0,025 proc. wszystkich głosów oddanych przez Francuzów. Raspail patronował też obchodom 21 stycznia ku czci zamordowanego w 1793 r. przez rewolucję króla Ludwika XVI. W swojej historycznej książce fantasy „Sire" opisywał, jak w lutym 1999 r. legalny sukcesor władców francuskich Filip Burbon zostaje namaszczony na króla Francji w koronacyjnej kwaterze w Reims.

Najbardziej proroczą jego książką był i jest „Obóz wszystkich świętych" z 1973 r. To w niej pisarz przepowiedział, że syty świat Zachodu doczeka się zalewu imigrantami z krajów Trzeciego Świata.

Napisał ją w domu swego przyjaciela nad Morzem Śródziemnym. „Z mojego pokoju widziałem lazur morza i pewnego dnia wyobraziłem sobie, że tą drogą przybędą kiedyś wszyscy ci, którzy uznają, że czas przybyć na kontynent sytości z racji swojej nędzy i poczucia krzywdy" – wspominał potem Raspail. Pisarz przewidział, że ta inwazja zmieni oblicze kulturowe Francji, którą kochał i w której był wychowany. Polskiemu czytelnikowi dramat, który zauważył i opisał, przywodził na myśl „Nie-boską komedię" Zygmunta Krasińskiego.

> / Odejście pisarza, którego pisarski format doceniali nawet zdeklarowani republikanie, **zignorował także prezydent Emmanuel Macron**

Za te niechętnie słuchane przez zwolenników Republiki proroctwa płacił. Mimo że zdobył w 1970 r. Grand Prix du Roman Akademii Francuskiej i parokrotnie był zgłaszany do zajęcia miejsca w tym gremium, np. na miejsce opuszczone przez zmarłego filozofa i teologa Jeana Guittona, nigdy nie zdobył w głosowaniach większości.

Gdy w 2004 r. w „Le Figaro" ukazał się jego artykuł „Ojczyzna zdradzona przez republikę" – o błędach polityki imigracyjnej – Międzynarodowa Liga przeciwko Rasizmowi i Antysemityzmowi pozwała go do sądu za rzekome „podżeganie do nienawiści" rasowej. Nie mniej niszcząca była etykietka „pisarza kontrowersyjnego", która ułatwiała jego utrącanie mimo niezaprzeczalnego talentu.

Odejście pisarza, którego pisarski format doceniali nawet zdeklarowani republikanie, zignorował także prezydent Emmanuel Macron. Amerykański „The New York Times" skomentował odejście pisarza jako autora dla „białych suprematystów".

Traf chciał, że dwa tygodnie po śmierci Jeana Raspaila ruch demonstrantów na rzecz walki z rasizmem w mieście St. Louis w Missouri wystąpił z petycją żądającą usunięcia pomnika Ludwika IX Świętego i zmiany nazwy miasta. Pomnik francuskiego władcy z epoki średniowiecza ustawiono przed tutejszym muzeum sztuki w 1904 r. Teraz demonstranci spod znaku Black Lives Matters oskarżają Ludwika, że uczestniczył w krucjatach, prześladował Żydów i był wzorem dla niemieckich nazistów. No cóż, Jeana Raspaila by to wcale nie zdziwiło. ©℗

eprasa.pl 91c3417b27

1848 r. / Wiosna Ludów w Galicji

Krew na lwowskim bruku

Lwowski ratusz płonący po austriackim ostrzale FOT. KRESY 24.PL

Tomasz Stańczyk

Austriacka artyleria zasypała pociskami centrum Lwowa, a żołnierze użyli broni wobec mieszkańców. Zginęło ponad 100 osób

W dzielnicy Kleparów znajduje się Góra Stracenia, a na niej wznosi się pomnik ku czci Teofila Wiśniowskiego i Józefa Kapuścińskiego, uczestników powstania 1846 r., działaczy Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, których egzekucja odbyła się właśnie tam w 1847 r. Rok później lwowianie chcieli uroczyście uczcić pamięć dwóch patriotów. Od kilku miesięcy trwała w Europie, a także w Austrii, Wiosna Ludów. We Lwowie Franciszek Smolka, Florian Ziemiałkowski i Józef Dzierzkowski ułożyli adres do cesarza, w którym postulowali wprowadzenie języka polskiego do administracji i likwidację pańszczyzny. We Lwowie powstała Rada Narodowa, zorganizowano Gwardię Narodową, zresztą na mocy prawa wydanego przez rząd. Była jed-

eprasa.pl 91c3417b27

nak solą w oku austriackiej generalicji. Gwardziści mieli na czapkach jednogłowego srebrnego orła, „na co biurokraci i wojskowość srogim spoglądali okiem" – pisał Juliusz Starkel, autor książki „Rok 1848". Dowódcą gwardii był płk Roman Wybranowski, oficer z 1831 r. We Lwowie liczyła teoretycznie 2880 ludzi i była uformowana w trzy bataliony, ale w istocie stan był niższy.

Patriotyczne emocje

Do obchodów na Górze Stracenia nie dopuścił gubernator Wilhelm von Hammerstein, zablokował ją kordonem wojska. Dzięki interwencji Wybranowskiego zdołano uniknąć krwawego starcia. „Padł jeden strzał, ale za to znamienny. Podpułkownik Gizzi, który przed rokiem eskortował Wiśniowskiego i Kapuścińskiego na miejsce stracenia i nieraz później z chlubą o tym opowiadał – wskutek rozdrażnienia, że dziś cześć największą oddaje całe miasto tym, których on wiódł na szubienicę – w łeb sobie strzelił..." – pisał Starkel.

Być może jednak austriacki oficer popełnił samobójstwo nie z powodu „rozdrażnienia", ale wyrzutów sumienia.

Obchody ku czci Wiśniowskiego i Kapuścińskiego przeniosły się na posiedzenie Rady Narodowej, gdzie Dzierzkowski wygłosił patriotyczne przemówienie także do kościołów, w których odbywały się nabożeństwa żałobne.

Patriotyczne nastroje wzbudził we wrześniu przyjazd do Lwowa gen. Józefa Dwernickiego, bohatera wojny z Rosją w 1831 r. Witały go tłumy lwowian, a gwardia narodowa defilowała przed wzruszonym generałem na pl. św. Jura. Wybór miejsca nie był przypadkowy. Przy placu znajdowała się katedra katolickiego obrządku unickiego, do którego należeli Ukraińcy, zwani wówczas Rusinami. W 1848 r. nastąpiło ich przebudzenie narodowe, zażądali podziału Galicji na część ukraińską i część polską. Administracja austriacka chwyciła w lot okazję i zaczęła wykorzystywać dążenia ukraińskie przeciw Polakom.

We wrześniu przypadała rocznica bitwy wiedeńskiej. Planowano uroczyste obchody. Wybranowski bał się, że mogą się one stać iskrą rzuconą na nagromadzony patriotyczny proch. Wspominał: „[...] nie tylko na ten program nie przystałem, lecz wręcz oświadczyłem, że gwardia narodowa wystąpi li tylko dla utrzymania porządku". Dał więc wyraźny sygnał, że jeśli dojdzie do konfrontacji wojska z ludnością, to Gwardia Narodowa nie stanie po jej stronie. Swoją drogą obchody rocznicy wiktorii wiedeńskiej w miejscach publicznych z powodu ulewy niezbyt się udały, odwołano też zabawę ludową.

W październiku Węgrzy zerwali z rządem cesarskim, w październiku zaczęło się powstanie węgierskie, a w Wiedniu wybuchła republikańska rewolucja.

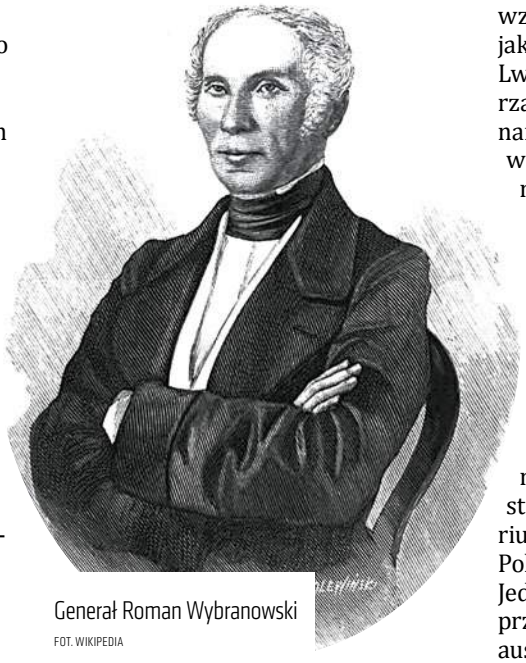

Generał Roman Wybranowski

FOT. WIKIPEDIA

Wszystko to działało elektryzująco na umysły lwowian. Jeszcze w sierpniu przybył do miasta inny bohater powstania listopadowego gen. Józef Bem. Twierdził, że Francja da 100 tys. sztuk broni i udzieli wsparcia finansowego, jeśli „ster spraw narodowych zostanie powierzony jemu i Wybranowskiemu i powołanej przez nich wojskowej Radzie Administracyjnej" – pisał Starkel, konkludując, że Bem dążył do wywołania powstania. We Lwowie niewielu jednak paliło się do powstania, a Bem nie mógł liczyć na Wybranowskiego. Dowódca Gwardii Narodowej wspominał: „Na moje i kolegów przedstawienia, jako dobry i życzliwy krajowi Polak, opuścił Galicję, chcąc udać się na Węgry". A tam już było gorąco. Bem został wkrótce bohaterem powstania węgierskiego.

Barykady na ulicach

We Lwowie ciągle zdarzały się incydenty między ludnością a austriackim wojskiem. Jeden z nich doprowadził do krytycznej sytuacji. Wieczorem 1 listopada 1848 r. austriacki kanonier ranił podczas sprzeczki jednego z gwardzistów, którego przeniesiono na odwach Gwardii Narodowej w ratuszu. Wiadomość ta wzburzyła lwowian, tym bardziej że – jak pisał Fryderyk Papée, autor historii Lwowa – widzieli, że do odwachu zmierza ksiądz, jak rozumiano, z ostatnim namaszczeniem. Po mieście rozeszła się wieść, że gwardzista odniósł śmiertelną ranę, został zamordowany. Jednak według Ludwika Jabłonowskiego, oficera gwardii, rzecz przedstawiała się inaczej: „Jakiś pijany gwardiak poszturkał się z kanonierami, ci widząc go samego, zawlekli do koszar i zamknęli i stąd wieść Bóg wie przez kogo roztrąbiona gruchła po mieście, że naszych mordują" („Złote czasy i wywczasy"). Jabłonowski podejrzewał, że bójka była prowokacją ze strony radykałów „centrałów", emisariuszy Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, działających wśród lwowian. Jednak historyk Papée był kompletnie przeciwnego zdania – to była prowokacja austriacka.

Tak czy inaczej wieść o zranieniu, a może i śmierci, gwardzisty wzburzyła miasto. Według Jabłonowskiego lwowianie byli podburzani. Na rynku „z beczek, studzien, stołów, przemawiali podpici oratorowie, otwarcie wywołując powstanie, by pomścić zamordowanego gwardiaka (który już uwolniony wysypiał się w łóżku o tej porze)".

Arystokrata z odrazą mówił, że na ulicach pojawiła się „ohydna, śmierdząca, zapita czerń". Poszedł do Wybranowskiego i poprosił, by mógł rozpędzić „motłoch", ale Wybranowski powiedział, że to załatwi sam. Jednakże Jabłonowski utrzymywał po latach: „Byłem gotowy uderzyć na wojsko, gdyby gwardie działać miały ochotę".

eprasa.pl 91c3417b27

Tłum, oburzony napaścią, domagał się odwetu. Dowódca gwardii i członkowie Rady Narodowej uspokajali ludzi, mówiąc, że pójdą do gen. Hammersteina z żądaniem ukarania sprawcy. Rzeczywiście tak się stało, a austriacki generał się zgodził, by odszukać w koszarach winnego.

Jednocześnie zapytał Wybranowskiego, dlaczego oddziały gwardii zaczynają pojawiać się na wyznaczonych placach alarmowych, i sugerował niedwuznacznie, że to początek rewolucji. Wybranowski zaprzeczył, oświadczając, że jest wprost przeciwnie, chodzi bowiem o utrzymanie spokoju i porządku w podekscytowanym mieście oraz opanowanie grożącego wybuchu gniewu.

Niespodziewanie rozległy się trzy strzały armatnie, oddane spod koszar artylerii w kierunku śródmieścia. Hammerstein utrzymywał, że strzelano ślepymi nabojami, by dać sygnał do alarmu austriackim żołnierzom. Generał obawiał się, że gwardziści zajmą arsenał. Jednak strzelano pociskami ostrymi. „Po dachach Sykstuskiej posypało kartaczami jak gradem" – relacjonował Jabłonowski, uznając strzały za ewidentną austriacką prowokację, by „rozbestwić motłoch" i mieć potem pretekst do spacyfikowania miasta. Tak jak stało się to w Krakowie w kwietniu. Wysłał wiadomość do Wybranowskiego, już wówczas generała, z propozycją, żeby gwardia rozproszyła ludzi na ulicach i zmusiła ich do pójścia do domu. Uważał, że w ten sposób przekreśli austriacką prowokację. Jednak Wybranowski stwierdził, że weźmie sprawy w swoje ręce. Utrzymywał też, że ludzie się już „wykrzyczeli". Jabłonowski wspominał „pijane tłumy przewalające się po rynku". W osobistej rozmowie z Wybranowskim proponował, że rozpędzi je nahajkami.

Tymczasem gen. Hammerstein wyprowadził wojsko z koszar na ulice. Juliusz Starkel twierdził z kolei, że wielu żołnierzy było pijanych. Mieli rozproszyć tłum, ale także Gwardię Narodową. Ze strony wojska padły strzały. W odruchu samoobrony lwowianie zaczęli wyrywać kamienie z bruku i budować barykady, byli wśród nich studenci, członkowie Legii Akademickiej, stanowiącej część gwardii.

„Odgłos strzałów zrobił swoje – relacjonował Starkel. – Na rynku w hurmie proletariatu, który mógł liczyć 300 do 400 głów, powstał krzyk: Zdrada! Do broni! Do barykad! – i w istocie rzucono się do zrywania bruku, wynoszenia beczek i pak ze sklepów, aby budować barykady". Było późny wieczór 1 listopada.

Wybranowski wysłał oficerów gwardii, by uspokoili rozemocjonowany tłum, ale nie posłuchali, a jego wysłannikom grożono nawet śmiercią „Z różnych kątów poczęły się wychylać groźne postacie z drągami żelaznymi, kosami na sztorc i bronią wszelkiego kalibru" – stwierdzał Starkel.

W obliczu zaostrzającej się sytuacji Wybranowski i członkowie Rady Narodowej wysłali do Hammersteina delegację z propozycją, by odwołał wojsko z ulic miasta, a wówczas gwardia przywróci porządek i doprowadzi do likwidacji barykad. Austriacki generał żądał jednak odwrotnej kolejności: niech najpierw barykady zostaną rozebrane, gwardziści rozejdą się do domów, a wtedy wojsko powróci do koszar.

W nocy gwardziści uspokajali wzburzenie na ulicach miasta, większość ludzi rozeszła się do domów, barykady rozbierano.

Miasto się pali

Nadszedł dzień 2 listopada. Wydawało się, że sytuacja została opanowana i zapanuje spokój, gdy niespodziewanie austriaccy żołnierze obrzucili obelgami dwóch gwardzistów, a jednego z nich przewrócili na ziemię i zaczęli bić kolbami. Wówczas z jednej z kamienic padł strzał do żołnierzy austriackich, którzy odpowiedzieli bezładną strzelaniną.

Był to przełomowy moment. Lwowianie znów zaczęli nawoływać się do stawiania barykad i do oporu z bronią w ręku. Barykady stanęły w centrum miasta na ulicach: Krakowskiej, Ormiańskiej, Dominikańskiej, Ruskiej, Teatralnej. „Miasto zbroiło się przeciw rozpasanemu żołdactwu" – stwierdzał Starkel.

Gdy Wybranowski poszedł z interwencją do Hammersteina w sprawie zachowania się żołnierzy, rozległ się huk dział.

Jabłonowski wspominał: „Po wszystkich stanowiskach stały wojska zmasowane, całą robotę zostawiając artylerii. Ponad ratusz, akademię, technikę, stary teatr zaczynały się już wznosić kłęby czarnych dymów [...]. Na rynku był prawdziwy sądny dzień. Artyleria miała od dawna ściśle obliczoną odległość, więc każda raca ognistym wężem padała w ratusz, a granaty półnabojami pod ostrym kątem ciskane, z przecudną dokładnością spuszczały się, nie pękając aż na bruku". Gwardziści usiłowali ugasić płomień w ratuszu, ratowali też archiwum i dokumenty urzędowe. Gdyby nie ulewa, być może pożar objąłby całe śródmieście Lwowa.

Porucznik gwardii Aleksander Center, ryzykując, że

Kawalerzysta Gwardii Narodowej FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 91c3417b27

Czapka kawalerzysty Gwardii Narodowej z Orłem, który drażnił Austriaków FOT. WIKIPEDIA

zostanie zastrzelony przez ludzi z barykad, wywiesił białą flagę na ratuszu, lecz Hammerstein nie zważał na ten sygnał. Kanonada trwała. Wystrzelono ok. 650 pocisków, w tym zapalających. W efekcie spłonęła prawie całkowicie biblioteka uniwersytecka.

Po ostrzale śródmieścia do akcji wkroczyli austriaccy żołnierze. „Hulali wśród ognia i dymu. Strzelali do wszystkiego, co wpadło pod lufę, do gwardzistów, księży, żebraków, kobiet i dzieci" – stwierdzał Starkel. Ludwik Jabłonowski widział kobiety stojące w oknach gmachu gubernatorstwa, które wskazywały żołnierzom, gdzie mają strzelać. „Były to żony urzędników Rusinów, pohulać rade".

Według oficjalnych danych na ulicach Lwowa padło 55 zabitych i 75 rannych. Jednak historycy szacują, że z powodu ostrzału artyleryjskiego i od kul żołnierzy austriackich zginęło ponad sto osób.

Wybranowski komentował we wspomnieniach, że użycie artylerii i wojska do spacyfikowania Lwowa była aktem „jak największego nierozsądku i wandalizmu ze strony tych, co nie wahali się w ślepocie i zapamiętałości swojej, dla poskromienia garstki szaleńców, tylu ludzi pozbawić życia, tyle narobić nieszczęść i zniszczenia, czego wszystkiego przy rozwadze i należytym utrzymaniu karności wojskowej można było uniknąć".

Opór na barykadach został złamany. Generał Hammerstein zarządził rozwiązanie Gwardii Narodowej, zakazał działalności klubów i stowarzyszeń. Przeprowadzono masowe rewizje w poszukiwaniu broni i wprowadzono sądy doraźne dla osób, które próbowałyby stawiać zbrojny opór.

„Na placu boju pozostali tylko generał Hammerstein i cholera" – konkludował Juliusz Starkel. Epidemia trwała od sierpnia 1848 do późnej jesieni 1849 r. Na cholerę zmarło w Galicji ponad 42 tys. ludzi.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Kres Kresów

Tomasz Stańczyk

Oczywiście, że wszystko zostało ustalone już w Teheranie, a później w Jałcie. Wschodnia granica Polski miała biec wzdłuż tzw. linii Curzona. Haniebną rolę w przypieczętowaniu dyktatu Stalina, na który zgodziły się Wielka Brytania i Stany Zjednoczone, odegrali jednak polscy komuniści. Nie bez powodu w kraju nazywano komunistyczną Polską Partię Robotniczą – Płatnymi Pachołkami Rosji. I właśnie w tej roli delegacja PKWN, marionetkowego „rządu", podczas rozmów na Kremlu w lipcu 1944 r. nie kwestionowała tzw. linii Curzona jako podstawy do wytyczenia granicy. Edward Osóbka-Morawski wspominał, że członkowie delegacji PKWN dziękowali mu za to, że nie poruszył w rozmowach kwestii Lwowa, „bo taki wniosek wobec stanowiska Rosjan mógłby być uważany za prowokacyjny". A tzw. linia Curzona miała dwa warianty, jeden z nich pozostawiał Lwów oraz borysławskie zagłębie naftowe po stronie polskiej.

W sytuacji, gdy komuniści nie zamierzali podnieść tego argumentu i poniechali obrony praw polskich do Lwowa, który traciliśmy, dość żałosne było podkreślanie przez Osóbkę-Morawskiego, że walczył o Puszczę Białowieską. Argumentował, że nie istnieje problem etniczny, bo żubry nie mają narodowości. Stalin wziął ołówek i mówiąc: „To po połowie", podzielił Puszczę Białowieską.

Jak stwierdza prof. Piotr Eberhardt w „Polskiej granicy wschodniej 1939–1945", chociaż granica miała biec wzdłuż tzw. linii Curzona, to delegacja PKWN nie podniosła mocnego argumentu, że w nocie pokojowej z 1920 r. bolszewicka Rosja uznała jej przebieg na północy za krzywdzący dla Polski i proponowała korektę: oddanie nam ziem na zachód od Niemna i Świsłoczy, gdyż są etnicznie polskie.

Delegacja PKWN, nieuznawana przez nikogo na świecie oprócz Moskwy, nie mając mandatu polskiego społeczeństwa, zrzekła się całej wschodniej Polski (180 tys. km kw.), zawierając 27 lipca 1944 r. układ ze Związkiem Sowieckim. Dwa dni później, gdy było już „posprzątane", przybył do Moskwy premier Stanisław Mikołajczyk.

Zdawał sobie sprawę, że utrzymanie granicy ryskiej jest niemożliwe. W rozmowach ze Stalinem walczył o Lwów dla Polski. Delegację PKWN namawiał do zajęcia wspólnego stanowiska. Od Bolesława Bieruta usłyszał jednak, że dla niego przyjaźń polsko-sowiecka jest ważniejsza niż sprawa granicy. A Wanda Wasilewska dodała, że tzw. linia Curzona jest dla Polaków bardzo sprawiedliwa...

Stalin potrzebował potwierdzenia granicy przez polski rząd uznawany przez Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone. Taki rząd, zdominowany przez komunistów – Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej – powstał w czerwcu 1945 r. Rząd TRJN dokończył haniebnego dzieła zrzeczenia się, bez specjalnych oporów i dyskusji, całości Kresów Wschodnich, podpisując układ ze Związkiem Sowieckim 16 sierpnia 1945 r. 4 lutego 1946 r. komunistyczna Polska ratyfikowała go. Tego dnia Polska formalnie straciła Kresy Wschodnie. ©℗

eprasa.pl 91c3417b27

Kontrola paszportowa na granicy polsko-łotewskiej. 1931 r. FOT. NAC

FOT. NAC

Od 450 r. p.n.e. / Długa droga do dzisiejszej kontroli tożsamości

Paszport

Tymoteusz Pawłowski

Paszporty przez długie lata pomagały władcom kontrolować własnych poddanych i ich podróże wewnątrz państwa. Dopiero od stu lat służą do kontroli podróży pomiędzy państwami

Początku paszportów – tak jak niemal każdego wynalazku – można szukać w kilku kręgach cywilizacyjnych. Oczywiście za autorów tego wynalazku uważają się Chińczycy; ponoć używali go już w czasach dynastii Han – ponad 2000 lat temu. Konkurują z nimi Arabowie, twierdząc, że ich system wprowadzony po śmierci Mahometa był znacznie dokładniejszy. Również Rosjanie mają ambicje być pierwszymi, można więc sobie wyobrazić wielkiego – choć anegdotycznego – rosyjskiego administratora Iwana Iwanowicza Paszportowa, który wynalazł instytucję nazywającą się „kontrola paszportowa".

Spór o pierwszeństwo rozstrzyga jednak Stary Testament, w którym można znaleźć opis dokumentu podróży wystawionego Nehemiaszowi przez króla Artakserksesa I – ok. 450 lat przed Chrystusem. Państwo perskie łączy z poprzednio wymienionymi nie tylko silnie rozbudowana administracja, lecz także to, że poddani nie pałali do niej sympatią.

Dokumenty podróży uzyskały swoją nazwę w Europie w samym końcu średniowiecza – po łacinie „passare portas" oznaczało „przejść przez bramę". W tym czasie był to raczej dokument ułatwiający podróże kupcom i uczonym w podzielonej religijnie i politycznie Europie. Pamiątką z tych lat jest prośba państwa wystawiającego dokument o „okazanie posiadaczowi tego paszportu wszelkiej pomocy, jaka może okazać się niezbędna w czasie pobytu za granicą".

Paszporty stawały się coraz popularniejsze, szczególnie w krajach rządzonych absolutnie. Największe znaczenie uzyskały jednak – paradoksalnie – w czasach walki przeciwko absolutyzmowi. W 1789 r. we Francji wybuchła rewolucja, ogłoszono Deklarację praw człowieka i obywatela i – zgodnie z zasadą wolności podróżowania – zlikwidowano paszporty. Wolność trwała krótko, gdyż w 1792 r.

eprasa.pl 91c3417b27

paszporty wprowadzono ponownie – najpierw we Francji, a potem we wszystkich podbitych przez nią państwach.

Za cara i Bismarcka

W połowie XIX w. zdawało się, że paszporty staną się obowiązkowym dokumentem każdego Europejczyka. Dokładne regulacje prawne wprowadzały kolejne państwa: Wielka Brytania w roku 1858, Francja w 1867 r., a Włochy w 1873. I – mniej więcej w tym momencie – zaczęto rezygnować z kontroli paszportowej. Koleje i parowce sprawiły, że podróże międzynarodowe stały się powszechne. Kontrola graniczna znacznie je spowalniała, a obowiązek paszportowy sprawiał, że malały dochody z handlu i – rozwijającej się – turystyki. Z paszportów więc zrezygnowano i po całej Europie można było podróżować bez nich. Niemal tak jak dzisiaj, ale swobodniej – nie wymagano nawet dowodów osobistych.

Oczywiście były niechlubne wyjątki. Jednym z nich była Rosja. W państwie carów wciąż istniał – wprowadzony w 1649 r. – obowiązek posiadania paszportów wewnętrznych. Wpisywano do nich miejsce zameldowania, od którego nie można było się oddalać dalej niż 30 wiorst (nieco ponad 30 km). Wybiegając nieco w przód, warto dodać, że wraz z obaleniem cara w 1917 r. obalono również paszporty. Nie na długo jednak – Związek Sowiecki wprowadził podobne dokumenty w roku 1923, a w 1932 r. powrócono do starej nazwy. System wewnętrznych paszportów potrzebnych do podróży międzymiastowych oficjalnie zlikwidowano dopiero w 1974 r., faktycznie natomiast w roku 1981. Do tej pory jednak odpowiednik dowodu osobistego w Federacji Rosyjskiej nazywa się paszportem, a muszą go posiadać wszyscy, którzy ukończyli 14. rok życia.

Drugim wyjątkiem były Niemcy. W 1879 r. wprowadzili obowiązek paszportowy wobec poddanych cara, a więc przede wszystkim wobec Polaków. W 1885 r. Bismarck wydał rozporządzenie, aby wysiedlić z Niemiec Polaków bez paszportu. „Rugi pruskie" objęły blisko 30 tys. ludzi, ale zamiast wzmocnić państwo niemieckie, osłabiły je. Działania

Berlina zostały uznane w Europie za niehumanitarne, doprowadziły do pierwszych rozdźwięków z Petersburgiem, które zaczęły się od ograniczenia autonomii „Niemców bałtyckich", a skończyły wybuchem wielkiej wojny w 1914 r.

Za komuny i potem

Pierwsza wojna światowa zmieniła świat na wiele sposobów. Jednym z nich było ponowne wprowadzenie obowiązku paszportowego. Początkowo było to rozwiązanie tymczasowe, tylko na czas działań wojennych, aby utrudnić życie szpiegom, zdrajcom i spekulantom. Gdy wojna się skończyła, okazało się, że paszporty są koniecznością: bez nich wszelkie ustalenia pokojowe dotyczące ziem i mieszkańców byłyby niemożliwe do zrealizowania. W 1920 r. w Paryżu zorganizowano więc międzynarodową konferencję poświęconą formalnościom celnym oraz paszportowym. Ustalono wówczas standardowy wygląd tego dokumentu.

Przez stulecia paszport był pisany na pojedynczej karcie papieru, stemplowany i podpisywany. Zawierał imię i nazwisko posiadacza, a czasem jego rysopis. Od 1920 r. miał być niewielką książeczką, opisaną w języku narodowym i francuskim, który jest językiem dyplomacji. Zaczęto wymagać również fotografii, choć nie określono dokładnie jakiej. Stąd też oprócz zdjęć – nomen omen – paszportowych można znaleźć stare dokumenty ozdobione portretem artystycznym czy zbiorowym.

W nowym wspaniałym świecie lat 20. okazało się, że istnieje duża grupa ludzi niemających ani paszportów, ani nawet ojczyzny, która by takie dokumenty mogła wydać. Liga Narodów – ówczesny odpowiednik ONZ, tylko skuteczniejszy – zaczęła wydawać „paszporty nansenowskie" (Fridtjof Nansen, norweski polarnik i odkrywca, był komisarzem LN do spraw uchodźców). Dokumenty te wydawano najpierw uchodźcom z Rosji, a później również z innych krajów. Do dziś są zresztą uznawane, choć zastąpiły je inne rozwiązania.

Podczas kolejnej wojny światowej kontrole paszportowe zostały znacznie zaostrzone, a w podbitych przez Niemców państwach wprowadzono dokumenty tożsamości. Podobnie zresztą uczyniono w krajach podbitych przez Rosjan, m.in. w Polsce. Wprowadzano wówczas dowody osobiste, zbliżone do sowieckich paszportów wewnętrznych nie tylko wyglądem książeczki, lecz także funkcją. W dowodach osobistych wpisywano tam miejsce zameldowania, co ograniczało możliwość podróżowania po Polsce, znalezienia pracy w innym mieście czy osiedlenia się w niektórych miastach, np. w Warszawie. Jednocześnie komunistyczne władze wprowadziły surowe ograniczenia w wydawaniu prawdziwych paszportów, nie pozwalając Polakom wyjeżdżać za granicę. Te szykany stopniowo zamierały wraz z rozpadem systemu, a paszporty zaczęto wydawać jeszcze przed 1989 r.

Przez ostatnie sto lat paszporty nieco się zmieniły. Wraz z upowszechnieniem transportu powietrznego wiele krajów używa kolejnego języka – angielskiego, który jest językiem lotnictwa i lotnisk. Często zastępuje on język francuski. W 1980 r. wprowadzano – dla ułatwienia pracy lotnisk – paszporty czytane maszynowo, opatrzone dwoma rzędami liter i cyfr pod zdjęciem. W XXI w. zaczęto wydawać paszporty biometryczne, zawierające jeszcze więcej danych, zapisanych w układzie scalonym. W polskich paszportach biometrycznych wydawanych od 28 sierpnia 2006 r. są zapisane wizerunek twarzy oraz odciski palców.

Czy we współczesnym świecie paszporty są potrzebne? Trudno odpowiedzieć na to pytanie podczas wakacji z COVID-em...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 91c3417b27

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

W DNIU WYBUCHU II WOJNY ŚWIATOWEJ KAZIMIERZ PIECHOWSKI MIAŁ 19 LAT. DZIAŁAŁ WÓWCZAS W HARCERSTWIE I W LISTOPADZIE 1939 ROKU WRAZ Z KOLEGĄ Z DRUŻYNY PRÓBOWAŁ PRZEDOSTAĆ SIĘ NA WĘGRY. ZOSTALI JEDNAK SCHWYTANI I TRAFILI DO WIĘZIENIA. W CZERWCU 1940 ROKU PIECHOWSKI ZOSTAŁ PRZENIESIONY DO OBOZU KONCENTRACYJNEGO AUSCHWITZ-BIRKENAU, OTRZYMUJĄC NUMER OBOZOWY 918. DOKŁADNIE DWA LATA PÓŹNIEJ PRZEPROWADZIŁ JEDNĄ Z NAJBARDZIEJ SPEKTAKULARNYCH UCIECZEK.

POMYSŁ UCIECZKI WYSZEDŁ OD MECHANIKA EUGENIUSZA BENDERY, KTÓRY NA TERENIE OBOZU ZAJMOWAŁ SIĘ NAPRAWĄ SAMOCHODÓW I MIAŁ DO NICH DOSTĘP.

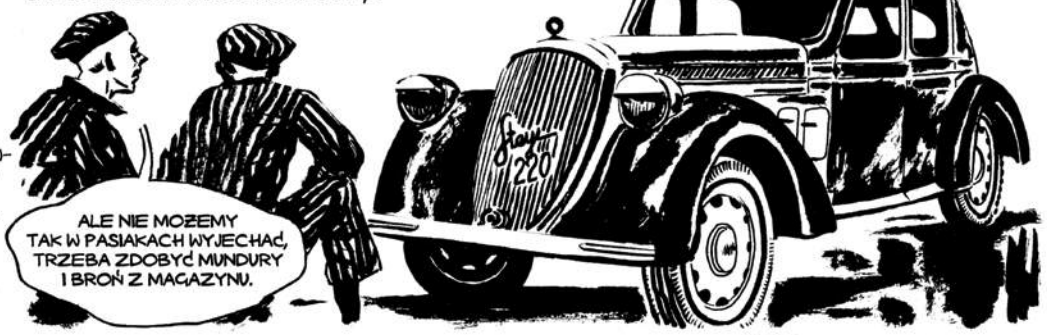

DO GRUPY UCIECZKOWEJ DOŁĄCZYLI: KSIĄDZ JÓZEF LEMPART ORAZ PORUCZNIK ARMII KRAJOWEJ STANISŁAW JESTER.

NA DZIEŃ UCIECZKI WYBRANO SOBOTĘ, BO TEGO DNIA PRACOWANO TYLKO DO GODZ. 12. MUSIELI TYLKO MINĄĆ BRAMĘ, GDZIE STRAŻNICY MIELI ZAPISANE W KSIĘDZE KAŻDE KOMANDO PRACY.

PRZEZ WŁAZ NA WĘGIEL (Z KTÓREGO WCZEŚNIEJ ODKRĘCILI ŚRUBY) DOSTALI SIĘ DO MAGAZYNU.

NASTĘPNIE SAMOCHODEM RUSZYLI W STRONĘ BRAMY. GDY BYLI JUŻ BLISKO, A STRAŻNICY NIE PODNOSILI SZLABANU, NOSZĄCY MUNDUR OFICERSKI KAZIMIERZ UCHYLIŁ DRZWI I KRZYKNĄŁ PO NIEMIECKU.

JESZCZE TEGO SAMEGO DNIA ROZESŁANO RYSOPISY UCIEKINIERÓW I ICH DANE, NIE UDAŁO SIĘ JEDNAK ZATRZYMAĆ KAZIMIERZA PIECHOWSKIEGO I JEGO KOLEGÓW. WSZYSCY, POZA STANISŁAWEM JESTEREM, PRZEŻYLI WOJNĘ. KAZIMIERZ PIECHOWSKI ZMARŁ W GRUDNIU 2017 ROKU W WIEKU 98 LAT.

eprasa.pl 91c3417b27

Sławomir Cenckiewicz

/ Felieton

Oskar Lange – ich patron!

W przededniu ostatnich wyborów prezydenckich napisałem w mediach społecznościowych, że stoimy wobec alternatywy: Tomasz Arciszewski albo Oskar Lange. W swej uproszczonej i publicystycznej wizji odwoływałem się do sporu o patronów warszawskich ulic, a zwłaszcza do przywrócenia ulicy Langego w miejsce Arciszewskiego na Mokotowie. Nie ukrywam, że w zasadzie moje krytyczne spojrzenie na Rafała Trzaskowskiego mógłbym oprzeć jedynie na tym jednym przypadku, którego wciąż zrozumieć nie potrafię.

Pamiętam, jak przed blisko 20 laty trafiłem na pracę amerykańskiego badacza Herberta Romersteina, który wspólnie z Erikiem Breindelem opublikował książkę „The Venona secrets. Exposing Soviet Espionage and America's Traitors" (Washington 2001) poświęconą amerykańskiej operacji dekryptażowej wymierzonej w sowiecką siatkę szpiegowską w USA. Warto w tym miejscu nadmienić, że Romerstein był m.in. śledczym Kongresu USA ds. komunistycznej działalności wywrotowej, a w latach 1983–1989 szefem Biura ds. Przeciwdziałania Sowieckiej Dezinformacji w Amerykańskiej Agencji Informacyjnej. Autorzy „The Venona secrets" omówili m.in. kilka dokumentów dotyczących Oskara Langego, któremu Sowieci nadali pseudonim Friend (s. 416–417).

Wynika z nich jednoznacznie, że np. w czasie pobytu Langego w Moskwie otrzymywał on za pośrednictwem sowieckiego kanału wywiadowczego (przez wicekonsula ZSRS w Nowym Jorku mjr. Stiepana Zacharowicza Apresjana) instrukcje, rady i pytania od Bolesława Geberta ps. Ataman (szyfrówka z 17 maja 1944 r.). Lange był również wykorzystywany w kampanii propagandowej zmierzającej do zatarcia złego wrażenia, jakie wywarło zamordowanie w Moskwie znanego socjalisty Henryka Erlicha (szyfrówka z 27 maja 1944 r.). Wykorzystano go także w rozmowach z przedstawicielami władz czechosłowackich. W wyniku gry z udziałem Langego prezydent Czechosłowacji Edward Benesz miał prosić premiera RP Stanisława Mikołajczyka o włączenie Langego do „kształtowania przyszłego polskiego rządu" (szyfrówka z 29 sierpnia 1944 r.).

Romerstein i Breindel piszą w swojej książce m.in.: „Gebert był agentem sowieckim o kryptonimie »Ataman«. Jednym z jego zadań dla NKWD było kontrolowanie Oskara Lange, rzekomo niekomunistycznego polskiego działacza, który sam się oddał Sowietom pod kontrolę". I dalej: „NKWD zdecydowało, że Lange otrzyma kryptonim »Friend« (Przyjaciel). Jako że Sowieci wierzyli, że Lange »niewątpliwie w przyszłości odegra w Polsce polityczną rolę«, musieli go wykorzystać. Lange był obywatelem amerykańskim, ale został mianowany w 1945 roku przez warszawski Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej polskim ambasadorem w Stanach Zjednoczonych. Był znany z prosowieckiej postawy, ale nie był członkiem partii komunistycznej. Według Artura Bliss Lane'a, byłego ambasadora Stanów Zjednoczonych w Polsce, Lange doradził mu, żeby za jego nominacją wstawił się Joseph E. Davies, zagorzały prosowiecki były ambasador Stanów Zjednoczonych w Związku Sowieckim. Jak się później dowiedział Lane, sam Stalin zasugerował Harry'emu Hopkinsowi w czerwcu 1945 roku, żeby zamianować Langego na to stanowisko".

Romerstein opublikował także swój pierwszy artykuł w języku polskim pod znamiennym tytułem „Patrioci Związku Sowieckiego. Wykorzystywanie amerykańskich komunistów pochodzenia polskiego przez sowieckie służby specjalne" („Glaukopis" 2006, nr 4). Pisał w nim jednoznacznie: „Gebert pozyskał Langego do współpracy z wywiadem sowieckim. Był to bardzo ważny werbunek dla NKWD. W jednej depeszy do Moskwy Gebert przekazał, że Lange jest »czołową postacią w sferze relacji sowiecko-polskich«. Chociaż Lange, będąc obywatelem amerykańskim, przez długi czas trzymał się z dala od spraw polskich, miał on dużo wartościowych kontaktów w Stanach Zjednoczonych, zwłaszcza w kręgach amerykańskich, rosyjskich i polskich socjalistów oraz wśród dziennikarzy. […] Lange pomógł Sowietom także w tzw. sprawie Erlicha".

Również Bolesław Gebert pisał przed laty o swojej przyjaźni z Oskarem Lange. W opublikowanych w okresie PRL wspomnieniach pt. „Z Tykocina za ocean" pisał m.in.: „Obaj byliśmy jednomyślni co do tego, że w imię polskiej demokracji należy podjąć szeroką akcję w USA, nie tylko wśród Polonii, ale w społeczeństwie amerykańskim w ogóle. Obaj byliśmy zgodni, że losy narodu polskiego związane są z ZSRR. Toteż jednym z naszych zadań jest przeciwstawienie się antyradzieckiej polityce sanacji".

Ulica Oskara Langego w Warszawie to hańba! ©℗

eprasa.pl 91c3417b27

Militaria.pl

Z DUMĄ WSPIERAMY

FUNDACJA IM.
CICHOCIEMNYCH
SPADOCHRONIARZY
ARMII KRAJOWEJ

WWW.FUNDACJACICHOCIEMNYCH.PL

GDYNIA ŚWIĘTOJAŃSKA 84 • **KATOWICE** GALERIA KATOWICKA • **KRAKÓW** DIETLA 51 • **ŁODŹ** MANUFAKTURA **POZNAŃ** POSNANIA • **SZCZECIN** AL. PIASTÓW 53
WROCŁAW OŁAWSKA 16 • **WROCŁAW** ALEJA BIELANY • **WARSZAWA** BLUE CITY • **WARSZAWA** TAMKA 49 • **WARSZAWA** WOLA PARK

eprasa.pl 91c3417b27